



ANITA BROOKNER



Opatrzność



Brookner Anita

Opatrzność

Kitty Maule, romanistka specjalizująca się w tradycji romantycznej, pracuje naukowo na niewielkiej angielskiej uczelni. Pomaga przygotować wykłady profesorowi historii, Maurice'owi Bishopowi. Z sukcesem prowadzi także własne seminaria i otrzymuje stałą posadę na uniwersytecie, ale życie zawodowe nie daje jej poczucia spełnienia. Kitty marzy o miłości, wiążąc swoje życiowe nadzieje z profesorem Bishopem. On wierzy w opatrzność, ona czeka na decydujący przełom w ich życiu. Imaginacja zderzona z rzeczywistością budzi wahania, rozterki i niepokoje.

3

Kitty Maule była osobą trudną do umiejscowienia. Miała rodzinę — każdy to wiedział — i znikła co piątek na cały weekend, przypuszczano więc, że mieszka na wsi, chociaż jej elegancja wskazywała, iż jest mieszkanką miasta. Kiedy się ją pytało o pochodzenie, zwykle udzielała informacji uproszczonych, gdyż historia jej rodziny była dość osobliwa. Kitty uważała, że opowiadanie tej historii jest zbyt męczące, bo wymaga tylu dodatkowych wyjaśnień, tylu przypisów dotyczących dziwnych cudzoziemskich zawodów, zwyczajów i obyczajów, przypisów, których większość ludzi by nie zrozumiała, a które jej wydawały się tak oczywiste jak kolor własnych włosów. Zwykle więc mówiła:

— Mój ojciec służył w wojsku. Umarł, zanim się urodziłam.

Była to prawda, ale nie cała, gdyż prawdą było też to, że ojciec, któremu przypisywała doniosłą rolę w historii rodziny, nigdy nie został zarejestrowany przez jej świadomość jako ktoś, kto istnieje, ale jest nieobecny. Po prostu nigdy dla niej nie istniał. Istnieli natomiast matka, i babka, i dziadek. Oni istnieli — i mieli istnieć nawet po własnej śmierci

jako ci, którzy pełnili w jej życiu rolę rodziców, jako świadkowie, że pochodzi z tego a nie innego plemienia, jako ci, którzy w sposób doskonały wykonywali swoją pracę, jako pewne środowisko. Mieli przetrwać w jej świadomości jako osoby, na które nie miał wpływu fakt, że kiedyś niemal przypadkowo wkroczyły na krotki czas w nurt konwencjonalnego życia angielskiego wojennego małżeństwa. Kitty jednak czuła się Angielką; stąd jej wyjaśnienie: „Mój ojciec służył w wojsku”. Zresztą nikt nigdy nie twierdził, że je, angielskość jest w jakiś sposób niedoskonała. Mimo to Kitty zdawała sobie sprawę, że pewna . » część ,e, osobowości jest przebiegła i czujna, i że ta część nie ufa ludziom, zwracając mniejszą uwagę na to, co mówią niż na słowa, których nie wypowiadają. Uważała owe cechy za oznakę jakiegoś defektu moralnego, toteż zawsze kiedy je sobie uświadamiała, wracała w pośpiechu do tego, co uznawała za swoje życiowe zadanie i co polegało na odkrywaniu prawdy, dobra i być może piękna, na dostrzeganiu w każdym człowieku jego najlepszych stron, na radowaniu się tym, co przynosiło życie i powstrzymywaniu się od opłakiwania tego, czego poskapiło. Prawdę powiedziawszy, taki właśnie stosunek do życia miał jej ojciec. ' ' Jej matka natomiast, Marie-Thérèse, pozostała małą francuską dziewczynką, którą rodzice przeznaczyci do roli żony; pozostała nią wbrew temu, że wyszła za mąż i owdowiała już dość dawno. Marie-1 herese była wieczną *pensionnaire*, kochającą dom, przypominającą mentalnością zakonną nowicjuszkę, spokojną i posłuszną tym swoim dziwnym rodzicom, dziadkom Kitty, konsekwentnie obalającym mit o angle skosci wnuczki, mit, w który ta wnuczka z taką żarliwością wierzyła i co do prawdziwości którego nie miał wątpliwości nikt, kto ją znał. Kitty miała dwa domy. Pierwszym było małe mieszkanko w Chel-

sea, gdzie trzymała fotografię ojca zrobioną podczas ostatniego jego urlopu z wojska, a drugim — dom dziadków na przedmieściu. Po przekroczeniu progu owego domu człowieka ogarniały natychmiast zapachy charakterystyczne dla mieszkań w jakiejś kamienicy znajdującej się w Paryżu, albo może gdzieś we francuskim mieście położonym dalej na wschód. Stały tu też typowe dla takich mieszkań meble i toczyły się powszednie, nie kończące się rozmowy. W pokojach panował półmrok i lekki zaduch, a wchodzącemu przychodziły na myśl posiłki celebrowane z należytych ceremoniałem. Uświadamiał też sobie od razu, że w tym domu całe godziny spędza się na rutynowych czynnościach — na wstawaniu, spożywaniu posiłków i picciu kawy, że na jedzenie kładzie się tu szczególny nacisk w przekonaniu, iż jest ono sprawą o ogromnej doniosłości, i że panuje tu wielki smutek, pośród którego upływają puste dni prostego życia. Tak, panuje tu smutek, który jednak nigdy nie przemienia się w rozpacz, czyli w stan znany angielskim lekarzom pod nazwą depresji. Ale smutek tak, wielki smutek. Kiedy Kitty wracała do swojego drugiego domu, do tego racjonalnego mieszkanka w Chelsea, wydawało jej się ono zupełnie pozbawione tego, co było charakterystyczne dla domu dziadków — zapachów, atmosfery, dźwięków, jedzenia. Wróciwszy tam, wyglądała nieraz przez okno, chcąc dostrzec jakieś oznaki życia i nie zdając sobie sprawy, że nigdy tego nie czyni w tamtym domu, na przedmieściu. Od czasu do czasu z narożnego pubu dobiegał krzyk, ale jej wydawało się, że nawet wtedy dzieje się bardzo mało. W niedzielne wieczory patrzyła na pustą ulicę z jakimś nieuchwytnym niepokojem i marzyła o tym, żeby być wreszcie kimś zdecydowanie określonym, gdyż czuła, że nie jest tą osobą, na którą wygląda. Spoglądała wtedy pytająco na fotografię Johna Maule'a, którego w myślach

nazywała „ojcem”, podczas gdy do dziadka zwracała się per „Papo”, a do babki per „Maman Louise”. Dziadkowie nazywali ją Thérèse. To właśnie imię przybierała, gdy wracała do nich. Znajdując się z dala od dziadków, była Kitty. I przeważnie czuła się jak osoba o imieniu Kitty. Nie zawsze, ale przeważnie.

Jej ojciec, John Maule, umarł, ale jej dziadkowie, rodzice matki, przeżyli go i mieli żyć jeszcze bardzo długo. Wzięli oni wdowę — jej matkę wraz z nią, małą Thérèse, z powrotem pod swoją opiekę. I tu zaczynała się cała osobliwość tego wszystkiego, gdyż dziadkowie nie byli tacy jak inni ludzie i wyglądało na to, że jest im pisane wyznaczyć w charakterze wnuczki ową wyspę inności, z którą późniejsza Kitty miała tyle kłopotów. Jej dziadek, Vadim, Rosjanin, którego rodzina zawędrowała do Francji w początkach wieku, w młodości należał do trupy akrobatów. Po kilkuletnich występach na prowincji i, co gorsza, na wiejskich jarmarkach — trupa osiągnęła apogeum swojej kariery, kiedy zaangażowano ją do paryskiej Olimpii. Pewnego wieczoru, po występie, jedząc kolację w małej *brasserie* wraz z dwoma braćmi stanowiącymi resztę trupy, Vadim poznał pewną płową blondynkę, dziewczynę, która wyglądała na śmiałą osóbkę i najwyraźniej dobrze się bawiła w towarzystwie swoich przyjaciół. Natychmiast się w niej zakochał. Płowa blondynka i jej przyjaciele byli na przedstawieniu w Olimpii i w sąsiadach z *brasserie* poznali akrobatów. Nie okazując wcale nieśmiałości, wznieśli kieliszki, trzymając je w czerwonych, popękanych dłoniach i z leciutką tylko kpina oddali artystom hołd. Wkrótce Vadim z braćmi i wesoła gromadka siedzieli razem, wygłaszając toasty na cześć wszystkich biesiadników po kolei. Dziewczęta były szwaczkami z rue Saint-Denis, a Louise, ta blondynka, miała ambitne plany na przyszłość.

W branży krawieckiej można przecież zrobić fortunę, mówiła. Chciała wyjechać do Londynu, gdzie mieszkała jedna z sióstr jej ojca, i tam się urządzić. Kiedy w mroźnym powietrzu ucichły pożegnalne okrzyki, Vadim już wiedział, że opuści trupę i pojedzie z tą dziewczyną. Bo dlaczego by nie? Decyzja przyszła mu bardzo łatwo.

Pobrali się, wyjechali do Londynu i znaleźli kilkupokojowe mieszkanie na Percy Street. Nie mieli łatwego życia, ale Louise była zdolna i stanowcza. Zaczęła od pracy chałupniczej, ale wkrótce szyła już suknie dla własnych klientek. Vadim dostarczał je klientkom, przemierzając ulice Londynu sprężystym krokiem akrobaty. W niedługi czas potem urodziła im się córeczka, Marie-Thérèse, którą Vadim woził w wózku i której policzki chętnie głaskali różni kupcy i sklepikarze z całej dzielnicy. Nie raz do jej malutkiej rączki wciskano ciepłą bułeczkę albo jakiś owoc. Dziewczynka zjadała je w domu, słuchając terkotu maszyny do szycia; rozmarzona i bierna, potrafiła, w odróżnieniu od obojga rodziców, godzinami siedzieć bez ruchu. Louise pracowała dniami i nocami. Jej śmiało patrzące, inteligentne oczy zasnuł teraz cień zmęczenia.

— Chodź, Marie-Thérèse — mówił Vadim — wymyślimy dla Maman jakiś dobry, gorący obiad.

Louise przerywała pracę na dziesięć minut i zjadała obiad, który jej córeczka niby to pomagała gotować.

— Dziękuję ci, gołąbeczko — mówiła, przechylając głowę w oczekiwaniu na całusa.

A potem wracała do maszyny i pracowała do późnej nocy.

W oczach Louise i Vadima momentem kulminacyjnym tego okresu ich życia były nie narodziny córki, lecz chwila, kiedy tryumfalnie zainstalowali się w salonie przy Grosvenor Street. Louise miała teraz tyle

klientek, że ani na moment nie odrywała się od zajęć, a Marie-Thérèse częściej spędzała czas w towarzystwie dziewcząt z pracowni niż z własną matką. Mimo to stanowiła powód do wielkiej dumy dla obojga rodziców. Była taka spokojna, taka łagodna, tak pełna wdzięku. Jak to się działo — zastanawiali się rodzice — że im, ciężko pracującym ludziom, udało się wydać na świat coś tak rozkosznie i w sposób tak oczywisty bezużytecznego? Ubierali ją w czarną sukienkę z małym, białym kołnierzykiem (było to bardzo *chic* — Louise uszyła tę sukienkę własnoręcznie) i nauczyli jak być recepcjonistką w salonie. Posłali ją do francuskiej szkoły. Maniery małej Thérèse były nieskazitelne. Klientki Louise bardzo polubiły dziewczynkę.

Pewnego dnia niedawno wypromowany kapitan John Maule towarzyszył swojej siostrze Barbarze, która przysłała do miary sukni ślubnej. Siedząc na niewygodnym złoconym krzeselku, podziwiał delikatną szyję i szczupłe przeguby Marie-Thérèse, mimo że — choć tego nie okazywał — matka dziewczyny przerażała go. Louise wydawała mu się gruba, zachrypnięta i prostacka. Nigdy w życiu nie widział włosów ufarbowanych na taki żółty kolor. Siedział więc na krzeselku i, wbrew własnemu chęciom, patrzył jak popiół opada z jej cygarniczki na gors sukni. Ta przerażająca kobieta była zdolna, zręczna i zmęczona. Barbara Maule aż poczerwieniała ze złości, kiedy Louise poprawiła jej fałdę w talii, obciągnęła dekolt, a potem, krzywiąc się, ułożyła tak jak poprzednio. Zniosła to jednak bez skargi, bo nie była dziewczyną atrakcyjną i wiedziała, że zabiegi Louise uczynią ją tak ładną, jak to tylko możliwe. Kiedy matka, starająca się jak najbardziej izolować Marie-Thérèse od pracowni, pozwoliła córce pójść na herbatę, John Maule ruszył za dziewczyną. Przychodził z siostrą do salonu jeszcze wiele razy i w koń-

cu podarował Marie-Thérèse pierścionek zaręczynowy. Pobrali się podczas jego urlopu poprzedzającego zaokrętowanie. Louise uszyła córce suknię ślubną. Siedziała całą noc, żeby dokończyć dzieła. Suknia była z blad różowego chińskiego jedwabiu. Louise dokonała tak śmiałego wyboru, chcąc podkreślić delikatność i biel cery córki. Zamiast welonu Marie-Thérèse miała mały sztywny toczek. Louise nigdy w życiu nie uszyła piękniejszej kreacji ślubnej.

Oboje z Vadimem ubrali córkę do ślubu, tak jakby Marie-Thérèse była bogatą klientką, która przyszła do ostatniej przymiarki. Vadim klęcząc wyrównywał dół, a Louise, odłożywszy cygarniczkę, wygładzała wąskie rękawy. Po piętnastu minutach kompletnej ciszy — gdyż Marie-Thérèse pogrążywszy się we własnych marzeniach milczała, podobnie jak rodzice — Vadim przysiadł na piętach.

— *Ça y est* — powiedział.

Louise cofnęła się z założonymi rękami i przyjrzała się córce. Na jej zwykle ponurej twarzy zagościł rzadki uśmiech. Zrobiła krok do przodu i uszczypnęła córkę lekko w policzki, dzięki czemu te zaróżowiły się nieco.

— *Ça y est* — zgodziła się i, szczypiąc Marie-Thérèse w brodę, dodała: — *Vas-y, ma filie.*

Na miesiąc miodowy Marie-Thérèse i John Maule pojechali nad morze. Był to okres poza sezonem. Odbywali nie kończące się spaceru, trzymając się za ręce, i opowiadali sobie o dzieciństwie. I sami byli jak dwoje dzieci, z których każde znalazło właśnie przyjaciela od serca. W nocy spali mocnym snem, obejmując się ramionami, a rano budzili się z łatwością właściwą młodości. On miał lat dwadzieścia jeden, a ona osiemnaście.

Ostatni dzień wakacji był zarazem ostatnim dniem urlopu Johna.

Marie-Thérèse odprowadziła go na dworzec Victoria, a potem wróciła na Grosvenor

Street, do domu rodziców. Nigdy więcej nie zobaczyła Johna Maule'a, gdyż John wkrótce poległ.

dziewięć miesięcy po ślubie urodziła dziewczynkę — Catherine Joséphine Thérèse.

Szok wywołany stratą wpłynął na Marie-Thérèse i na każde z jej rodziców w inny sposób. Vadim jako jedyny z całej trójki rozplakał się — jego śniada twarz o ładnych rysach aż się cała skurczyła. Louise rzuciła się w wir pracy. Pracowała zawzięcie, codziennie do późnego wieczora, szkicowała i szyła paląc i pokaszując. Dopuszczała do tego, że żółta farba na jej włosach wyblakła i że włosy stały się siwe. Kiedy córka przychodziła z dzieckiem na Gros-venor Street z cotygodniową wizytą, Louise nie mówiła nic, ale jej bystre, podkrążone oczy zauważały wszystko.

Widziała, że z Marie-Thérèse jest coś takiego. Marie-Thérèse była bardzo blada. Kiedy lekarz orzekł, że ma anemię i szmery w sercu, Louise nie zdziwiła się wcale. Jej siostra Berthe cierpiała na to samo. Louise zainstalowała kilku kolejnych uciekinierów i dipisów w idyllicznym małym domku na przedmieściu, który rodzice Johna Maule'a podarowali synowi i synowej w prezencie ślubnym. Kiedy jej wnuczka podrosła na tyle, że miała już iść do szkoły, Louise kupiła większy dom w Dulwich i urządziła w nim dwa mieszkania. Wiedziała, że Catherine odziedziczy niewielki spadek po Johnie Maule'u dopiero w wieku lat dwudziestu pięciu. A do tego czasu będzie mieszkała w domu, z matką.

Marie-Thérèse pokazała kiedyś córce piękną, bladą suknię ślubną, mówiąc:

— Kiedy przyjdzie odpowiedni czas, Maman Louise uszyje suknię ślubną i dla ciebie.

A potem położyła sobie dłoń na sercu, jak to często czyniła w tych czasach, i powiedziała niewyraźnie, że musi odpocząć.

— Maman Louise — zawołała dziewczynka — uszyjesz mi suknię ślubną?

— Tak, gołąbeczko — odparła Louise — a Papa upiecze tort.

— Słuchaj, Vadimie — mawiała Louise do męża po takich wizytach. — Jak długo to może trwać? Ona się wcale nie stara wyjść ponownie za mąż. Nic nie robi w tym kierunku. Siedzi w domu z dzieckiem, które jest inteligentne i które na pewno w przyszłości będzie chciało pójść między ludzi. Co my mamy z nią zrobić? Aha, potrzebna mi wstążka rypsowa do spódnicy panny Herbert — będziesz musiał pójść na Mortimer Street. Ten New Look wyciska z nas ostatnie poty. Dziewczeta w pracowni narzekają. Gdybym mogła, to bym zamordowała całego tego Diora. Ale pracowała dalej. Szyła balowe krynoliny, które w latach pięćdziesiątych przyniosły jej sławę znakomitej krawcowej. Czerpała satysfakcję z faktu, że hałaśliwe, tryskające energią debutantki, właśnie wchodzące w swój pierwszy sezon, w jej sukniach nabierają pewnej powagi i skromności. Dopiero nadejście minispódniczki wzbudziło jej poważny niepokój. Londyn zrobił się nagle pełen młodych, okropnych dziewczyn, upodabniając się do rue Saint-Denis z jej młodości. Beł atłasu, tafty i jedwabiu, klejonka do usztywniania i fiszbin do staników sukni balowych bez ramiączek — wszystko to stało się nagle niepotrzebne. Włosy Louise były teraz białe jak śnieg, jej twarz pomarszczona, a oczy przymrużone od dymu papierosów, które nieustannie ćmiła. Vadim natomiast nie zestarzał się ani trochę. Pozostał tak samo szczupły, giętki i śniady jak wtedy, kiedy Louise zobaczyła go po raz pierwszy na estradzie w Olimpii. Zajmował się domem, robił w nim wszystko, a poza tym załatwiał sprawy żony. Był postacią znaną w Soho, przez które przebiegał

sprężystym krokiem odbywającego trening akroba-ty — w swoim berecie i butach na miękkich podszwach.

Mimo to oboje czuli mijające lata. Nie nadążali. Kiedy debiutantki odkryły Nepal i zaczęły jeździć land roverami, doszli do wniosku, że mają już dosyć. Po zawale przebytych przez Louise wyprawili na emeryturę szwaczki z pracowni, rozwiązali umowę najmu i zamieszkali w górnej części domu w Dul-wich, żeby być blisko Marie-Thérèse. Louise prze-siadywała całymi dniami w mieszkaniu, paląc wbrew zaleceniom lekarza, stawiając pasjanse i czytając numery *Vogue'a* i *l'Officiel*, których ogromne sterty piętrzyły się w saloniku. Vadim, teraz spokojniejszy, urządzał wycieczki do sklepów i gotował.

Była to dziwaczna i nienormalna rodzina. Dla Kitty, która kochała Anglię tak jak może ją kochać tylko ktos, kto me jest w stu procentach Anglikiem, Louise, Vadim i Marie-Thérèse stanowili niemal powód do zażenowania. Posłali ją do szkoły z internatem, a ona — starając się porozumieć z koleżankami, które cechowała pewnością siebie, energia i życzliwość i które zapraszały ją do swoich domów na wakacje — była prawie zadowolona ze swej anonimowości, mimo iż żałowała, że nie znała ojca, którego blaknąca fotografia stała na nocnej szafce przy łóżku matki i mimo że czuła w sercu ukłucie na myśl o bladoróżowej sukni ślubnej. Wracając do domu z takich wizyt u koleżanek, zdawała sobie sprawę, że potrzebuje kilku dni, aby przeobrazić się z Kitty w Thérèse. Vadim, entuzjasta dobrej kuchni i kucharz w jednej osobie, ustawiał przed nią o różnych porach pełne talerze, zachęcając ją do spróbowania swojego ostatniego dzieła, które zwykle było ostre w smaku i bardzo oryginalne. Wskutek tego pokrzepiająca monotonia szkolnych obiadów zniknęła stopniowo z jej pamięci. Louise oceniała wdzięczną

sylwetkę wnuczki i jej zdrową, choć bladą cerę, i kiwała głową z uznaniem: dziewczyna będzie umiała nosić suknie. Marie-Thérèse, którą wdowieństwo przywróciło paniństwu, kręciła się powoli po małym mieszkaniu, podlewała kwiaty i czytała romantyczne powieści, uzależniła się od nich jak od narkotyku i czasami pożyczała je Kitty. Słuchali muzyki z radia, które Kitty kupiła za swoje pierwsze kieszonkowe, a Vadim surowo i krytycznie oceniał rytm nadawanych melodii, wybijając go dłonią, podczas gdy mięśnie jego nóg odruchowo napinały się i rozluźniały. Vadim prawie przez cały dzień nie wychodził z mieszkania, wykonując różne prace dla „swoich dziewczynek”. Louise — na górze — stawiała pasjansy. Jadali razem, bo tak było prościej, rozmawiając przy tym po francusku. Pod koniec posiłku, zgodnie z francuskim rytuałem, odkorkowywali butelkę wina; sałatkę jedli z tych samych talerzy co mięso i nie skąpili sobie chleba. Marie-Thérèse twierdziła, że kuchnia Papy jest za ciężka i, czując się zbyt najedzona, chwytiała powietrze ustami.

— *Petite nature* — mówiła Louise dobrodusznie i wbijała widelec w jabłko, aby potem, obracając je na nim, obrać ze skórki.

Na dwa lata przed otrzymaniem pieniędzy po ojcu Kitty przeprowadziła się do własnego mieszkania. Zachęciła ją do tego Marie-Thérèse, chociaż Vadim przyjął wieść o przeprowadzce z głębokim smutkiem. Kitty znalazła małe mieszkanie w Chelsea przy Old Church Street, w pobliżu rzeki, umeblowała je sprzętami o niewielkiej wartości kupionymi z drugiej ręki, i oddała się pracy naukowej, gdyż, zgodnie z przewidywaniami Louise, okazała się inteligentna. Na weekendy jeździła jednak do domu. Czasami, idąc ze stacji, widywała Vadima w baskijskim berecie i tenisówkach macającego owoce w sklepie warzywniczym, dla sprawdzenia czy są dojrzałe albo wacha-

jącego ryby w sklepie rybnym, albo domagającego się, żeby mu dano spróbować sera. Kitty aż cierpła skora na myśl, że sklepikarze muszą go bardzo za to me lubić. Ale równocześnie Kitty podziwiała Vadima za ,ego nieustępliwość. I żałowała, że nie żyje jej ojciec-Anglik. I zastanawiała się, które czasopisma o modzie kupić dla Louise.

Rodzinie przypominała jakąś zdumiewającą cudzoziemkę.

— Wiesz, kochanie, nie ma potrzeby, żebyś uczyła się aż tak pilnie — mawiała jej matka. — Chciałabym, żebyś więcej bywała między ludźmi. Nie doradzała jej, gdzie ma bywać, bo sama tego me wiedziała. Vadim rozpakowywał koszyk Kitty, z rozkoszą wdychając zapach świeżo zmielonej kawy, którą dla niego przynosiła. Louise interesowała się przede wszystkim jej ubraniem.

— Gotowe? — mówiła z niedowierzaniem. — Kupujesz gotowe rzeczy? *Mais tu es folle, ma filie.* Mogę ci uszyć sukienkę, jakiej nie ma żadna kobieta w Londynie. Vadimie, wyjmij z dolnej szuflady ten kawałek jedwabiu i przynieś mi go.

Tak więc Kitty spędzała prawie cały weekend w halce, bo Louise szła dla niej sukienkę. Tymczasem Marie-Thérèse obserwowała i ją, i dziadków albo, senna, słuchała radia, trzymając na kolanach zamkniętą książkę założoną chusteczką do nosa. Po kolacji oglądali razem telewizję, bo Vadim i Louise z dziecięcym zapałem śledzili różne seriale Marie Thérèse, którą szybko to nużyło i która mimo to uważała, że powinna siedzieć z nimi, ze wzruszeniem patrzyła na ożywione i zaabsorbowane twarze rodziców.

— Oni nie są zbyt szczęśliwi, prawda, Papo? — mówiła albo stwierdzała:

— Miałaś rację, Maman, ,ej chodzi o pieniądze tego człowieka.

— *Belle fille tout de même* — odpowiadała na to

Louise, patrząc na aktorkę zmrużonymi oczami, jakby brała z niej miarę. Spać chodzili wcześniej, bo Kitty pod koniec dnia ziewała z nudów. Znalazłszy się już w swojej sypialni, brała od Marie-Thérèse jedną z powieści, nie mogąc nawet myśleć o książkach, które powinna była czytać. Te książki czekały na nią na Old Church Street. Zajmowała się tradycją romantyczną.

Złożyła podanie o przyjęcie i została przyjęta na staż naukowy w małym, ale bogato wyposażonym prowincjonalnym uniwersytecie, słynnym z dwóch katedr — historii i mikrobiologii. Natychmiast tam ją zauważono, gdyż była tak dobrze ubrana.

— Milady Maule — stwierdziła od razu sekretarka kierownika katedry — musi spać na pieniądzach.

W ten sposób człowiek zdobywa sobie fałszywą reputację. Po kilku miesiącach ta sama sekretarka kierownika katedry powiedziała do swojej przyjaciółki:

— Ciekawe, po co ona traci czas na naszej uczelni, skoro może sobie pozwolić na kupowanie ciuchów w Paryżu.

W chwili gdy padała ta uwaga, Kitty znajdowała się w Chelsea i wyrzucała wilgotną kanapkę z mnóstwem różności w środku, którą Vadim wcisnął jej do koszyka, uważając, że po podróży będzie musiała się posilić. Jej dłonie pachniały tą kanapką. Zapach wydawał jej się przykry, umyła więc ręce kilka razy, zanim zasiadła do tradycji romantycznej. Przejście z jednego życia do drugiego nie zawsze było łatwe.

Po śmierci Marie-Thérèse, która pewnego wieczoru umarła szybko i spokojnie przy kolacji, staruszkowie stali się jeszcze starsi i wyglądało na to, że wrócili do mniej wspaniałego trybu życia z czasów paryskich, czasów poprzedzających londyńską karierę, która przyniosła im skromną zamożność. Suknia Louise była teraz przysypana popiołem, a jej opuch-

nięte stopy wciśnięte w kapcie. Vadim nie zadawał sobie trudu, żeby w domu zdejmować beret. I tylko podczas weekendów, kiedy przyjeżdżała Kitty, oddawał się ze sporą energią swej sztuce chaotycznego gotowania. Jajka na miękko witały Kitty, gdy się pojawiała, marząc o kawie, a filiżanki z zupą, chwiejące się na spodkach, urozmaicały popołudnia. Kitty przełykała to wszystko, bo bała się urazić dziadka, i z trudem zmuszała się do siedzenia przez cały długi dzień z Louise, której oczy były teraz słabe i zamglone. Zadawała obojgu pytania o przeszłość, starając się ich ożywić, gdyż pamiętała ich jako ludzi bardzo energicznych. Ale Louise mówiła tylko:

— Ach, gdyby ona jeszcze raz wyszła za męż!

— Ależ Maman Louise, ona jest teraz z ojcem — odpowiadała na to Kitty tonem, który jej samej wydawał się tak fałszywy jak modlitwy odmawiane w szkole.

Louise wzruszała na to ramionami, a na twarzy Papy pojawiał się wyraz politowania, jak gdyby Papa dopiero teraz zauważał, że jego wnuczka uległa wpływom obcej, sentymentalnej kultury. W jego świecie i w świecie Louise człowiek dostawał od losu młodość, energię i zdecydowanie. I nic więcej nie było mu dane. Ale wszystko mogło zostać odebrane. Tak jak to się stało w wypadku Johna Maule'a i Marie-Thérèse. Z biegiem czasu Kitty zaczęła obawiać się tych weekendów, których symbolem stało się podsuwane jej z miłością jedzenie. Nie chciała jeść i oświadczała to Vadimowi, po czym z bólem serca patrzyła jak on, przygnębiony, zabiera talerze do kuchni. Rozmawiali niewiele, gdyż wysiłki, które podejmowała by ich pocieszyć, okazywały się bezowocne. Vadim i Louise czekali na jakieś nowiny, ale ona nie miała im niczego do przekazania. Czasami Louise, ożywiana osobliwą złośliwością, budziła się ze swojej niemal

bezustannej drzemki, otwierała oczy, mierzyła Kitty wzrokiem i pytała:
— No dobrze, *ma filie*, a gdzie są twoi chłopcy? Kto odwiezie cię dziś do domu? Dla kogo myjesz głowę? A te twoje studia — czy skończysz je kiedyś wreszcie?

A potem, rozkładając w niemej prośbie opuchnięte dłonie, dodawała:
— Wiesz, ja tego twojego życia nie rozumiem. Czy twoi koledzy to prawdziwi mężczyźni? Czy Anglia jest tak zupełnie inna niż Francja? O czym rozmawiacie przy herbacie i ciasteczkach? Opowiedz mi — mówiła dalej z błyskiem w oku, ale równocześnie smutno rozkładając ręce — opowiedz mi o Anglii.

II

Jedząc kolację w samotności, Kitty Maule próbowała uwinąć się z tym posiłkiem jak najszybciej, odwracając równocześnie własną uwagę od jedzenia. Wolała stawiać sobie tacę na kolanach niż siadać samotnie przy stole. Jedząc czytała, słuchała radia albo nawet chodziła po pokoju.

Mogło to na kimś sprawiać wrażenie, że pracę zwaną trawieniem zgadza się wykonywać tylko mimochodem. Jej apetyt zmalał od czasu śmierci matki, która nastąpiła jakieś trzy lata temu i była śmiercią osobliwie spokojną. Matka zapadła się w krzesło, a jedna jej mała dłoń poruszała się po omacku wśród skorupki orzecha włoskiego. Kitty wciąż czuła lekko kwaśny zapach obierzyn jabłka pozostawionych przez babkę i miała przed oczami dziadka, po którego policzkach płynęły łzy i który wołał: — Marie-Thérèse! Marie-Thérèse! Dziadkowie jakoś pogodzili się z tą śmiercią, jednak

Kitty od tej pory, zasiadając do jedzenia, słyszała żalosne wołanie:

— Marie-Thérèse! Marie-Thérèse!

Żołądek jej się ścisnął, a ręce zaczynały drżeć. Znajomi przestali ją zapraszać. Wolała zostawać

w domu, gdzie mogła skupić się na karmieniu ptaków okruchami ze swego talerza. Czasami czuła się zupełnie dobrze, tak jak teraz. Czasami jadła z przyjemnością, tak jak wtedy gdy przygotowała posiłek dla swego ukochanego, Maurice'a Bishopa. Ale kiedy była sama, często prześladowało ją wspomnienie tamtej małej dłoni i skorupki orzecha, i okrzyku dziadka.

W piątkowe wieczory, takie jak dzisiejszy, robiła sobie omlet i zjadała go niedbale, chodząc po małej kuchni i z roztargnieniem wywijając widelcem. Teraz przypominała sobie ostatnią rozmowę z Mauricem, który telefonował niedawno i uspokoił ją swoim telefonem, wprawiając równocześnie w stan niepokoju. Miała go zobaczyć — w warunkach oficjalnych i z zachowaniem dyskrecji — podczas wykładu w przyszłym tygodniu, kiedy to siedząc wraz z resztą jego wielbicielek wśród publiczności, miała słuchać jak on rozprawia o katedrach Anglii, gdyż Maurice, mimo że historyk z zawodu, był również romantycznym i pobożnym chrześcijaninem. Zdawało się, że ta dziwna kombinacja sprawia, że jest najzupełniej szczęśliwy. Jego skłonności i predyspozycje ujawniały się podczas wykładów przeznaczonych dla całej uczelnianej społeczności, dzięki którym regularnie wypełniało się główne audytorium małego prowincjonalnego uniwersytetu mającego to szczęście, że on pracował na nim jako profesor historii średniowiecza, mimo że z Oksfordu ciągle nadchodziły dla niego propozycje zatrudnienia. Zresztą Oksford był miejscem, w którym, jak przewidywano, Maurice przyjmie w końcu posadę. Jego oddanie sprawie angielskich katedr, o których mówił niezbyt precyzyjnie, ale wzruszająco (ilustrując wykłady slajdami), wprawiało w ekstazę publiczność i doprowadzało do szału Rogera Fry'a, tego znanego profesora estetyki, który aż skręcał się na swoim krześle. Był jednak zmuszony

pojawiać się na wykładach Maurice'a ze względu na presję opinii publicznej. Ktoś kiedyś słyszał, jak mruknął do siedzącej obok żony: — Charyzmatyczne bzdury. Skąd ten świętoszek może wiedzieć, jak miała wyglądać katedra w Canterbury? Na pewno później przyczepi się do katedry Durham. Czy na niego nie ma sposobu?

— Mnie ten wykład wydał się uroczy — odpowiedziała żona, klaszcząc powściągliwie wraz z innymi paniami, wraz z Przyjaciółmi Uniwersytetu, wraz z sekretarkami z różnych katedr i emerytowanymi bibliotekarzami.

— A poza tym on przychodzi na twoje wykłady o Cezannie. Musisz odpłacić mu się za tę uprzejmość taką samą uprzejmością.

O tak, ten nasz Maurice zarzuca wszędzie swoje sieci — zgodził się Roger Fry. — Nic, co ludzkie, nie jest mu obce. On naprawdę wczuwa się w tych prostodusznych średniowiecznych budowniczych i myśli tak jak oni.

— Oj, przestań, Davidzie — powiedziała żona i dodała stanowczo: — Jesteś po prostu zazdrosny.

Po czym nie odezwali się do siebie ani słowem aż do końca wieczoru.

Kitty Maule, ubrana w najlepszą sukienkę, mimo że Maurice nie mógł jej widzieć, obserwowała go, jak przystojny i uśmiechnięty wchodzi po schodkach na podwyższenie i usiłowała nie wzdychać, gdy Maurice przyglądał się bacznie obrazowi na ekranie, a potem odwracał się do publiczności z rękami na biodrach i z mięśniami nóg i pośladków napiętymi — jakby w pełnej gotowości do erotycznych wyczynów.

Maurice był pięknym mężczyzną i wszystkie panie trochę się w nim kochały. Kitty kochała go od dwóch lat i w skrytości ducha żywiła pewne nadzieje. Jednak krótki romans, jaki przeżyli, przekształcił się w jakąś dziwną koleżeńską rutynę, która wprawiała ją w zakłopotanie i którą mimo to akceptowała.

Akceptowała jego przypadkowe telefony, zbyt przypadkowe jak na jej gust, jak również to, że w wyniku tych telefonów on pojawiał się wreszcie u niej na kolacji, podczas której mówił o swojej pracy i jadł przygotowane przez nią potrawy, wyrażając uznanie dla jej umiejętności kulinarnych.

Widząc go przy swoim stole, ona też w końcu zaczynała jeść.

Dziś był piątek, Kitty miała zobaczyć Maurice'a w środę, a w następny poniedziałek Maurice miał przyjść na kolację. Wiedziała, że w środę nie nadarzy jej się okazja, by z nim porozmawiać, bo po wykładzie zawsze otaczali go ludzie, którzy z zapalem zadawali mu pytania. Wykłady Maurice'a do tego stopnia przyczyniały się do popularności uniwersytetu, że kierownik katedry romanistyki, a zarazem dziekan, urządzał po nich małe przyjęcia z sherry trwające nieraz do późnego wieczora. Podczas tych przyjęć Przyjaciółki Uniwersytetu, co bogatsze damy z okolicy, składały wykładowcy hołd, podając mu ręce i demonstrując pierścionki z brylantami, błyskające na zniszczonych pracą w ogrodzie palcach. Kitty wiedziała, że nie będzie jej wypadało podejść do Maurice'a i zapytać, o której pojawi się w jej mieszkaniu, wiedziała też, że on ze swej strony nie zada sobie trudu, żeby poinformować ją o tym. Nie pozostanie jej więc nic innego jak stać w kącie z kieliszkiem sherry w dłoni, patrzeć jak on czaruje Przyjaciółki i zastanawiać się, kiedy kupić mięso i czy przygotować coś, co wymaga jedynie odgrzania, czy też coś, co będzie świeże, ugotowane tuż przed kolacją i łatwiejsze do zaplanowania niż do zrealizowania.

Od takich myśli ratował ją od czasu do czasu jowialny profesor sir Hamish Redmile, dziekan. Profesor Redmile dwa lata temu przekroczył wiek emerytalny, ale nie zamierzał przejść na emeryturę. Dla zaznaczenia, że należy do uniwersyteckiej star-

szynny nosił przy takich okazjach duży, malowniczy czarny kapelusz. Zdobył swój tytuł dzięki temu, że zasiadał w pewnej Komisji Królewskiej, o której zaleceniach słyszano tylko raz. Z ogromnym zapalem zbierał fundusze na budowę Nowego Gmachu i bardzo lubił takie przyjęcia, bo nie miał zamiaru opuścić uczelni, dopóki projekt tej budowy nie zostanie formalnie zatwierdzony. Sir Redmile, jak nazywał go Roger Fry, traktował życie uniwersyteckie jako nie kończące się pasmo niewielkich zebrań towarzyskich, podczas których można było zbierać pieniądze. Cenił bardzo Maurice'a Bishopa nie tylko dlatego, że ten miał wiedzę, prezencję i był popularny, a na dodatek nie uciekł do Oksfordu, ale także ze względu na jego pochodzenie („bez zarzutu”), jego dom rodzinny w Gloucestershire, tytuł jego matki i jego prywatne dochody. Cenił też, chociaż w mniejszym stopniu, i Kitty, która pracowała naukowo pod jego kierunkiem i była dla katedry pożytecznym nabytkiem, gdyż prowadziła sporą liczbę seminariów. Ona także, jak mu dano do zrozumienia, miała własne dochody, a zresztą ubierała się tak elegancko, że profesor Redmile wbrew faktom sądził, że dochody te są spore.

— Kochana panno Maule — przemówił podczas jednego z poprzednich spotkań głosem o szlachetnym brzmieniu, zniewalającym słuchacza bez reszty — czyż me jest nam dziś dany niezwykły przywilej? Pomyśleć, że w ten sposób wskrzeszono na naszych oczach żywą tkanę dawnej Anglii. A słyszę — dodał, podnosząc znacząco palec w górę — że w przyszłym roku będziemy oboje czuli się jeszcze bardziej swojsko. Bo nasz drogi Maurice ma zamiar wygłosić cykl wykładów o katedrach Francji.

Kitty była poinformowana o projekcie Maurice'a. Już przepisując jego notatki o katedrach Anglii wiedziała, że po nich przyjdzie kolej na katedry

Francji. Maurice wspomniał o tym pomysle pewnego razu przy kolacji, wpadając przy tym w prawdziwy entuzjazm. Wyjął z teczki mapy i, położywszy je na jej kuchennym stole, wyznaczał trasę. Miał zamiar udać się w podróż samochodem i spędzić całe ferie wielkanocne we Francji, jeżdżąc od jednej katedry do drugiej. Oczywiście skupiłby się tylko na tych ważniejszych: na Laon, Rheims, Chartres, Bourges, Le Mans, Amiens, Rouen.

— To wymaga dużo pracy — powiedziała Kitty. — I szkoda by było zajmować się tylko wielkimi katedrami. W Normandii jest mnóstwo mniejszych — też pięknych. Coutances. Evreux.

Była tam kiedyś na wakacjach i spędziła wiele długich deszczowych dni, chroniąc się w kościołach. Przeczekiwała popołudnia, czytając swój przewodnik w przejmująco wilgotnych, pełnych kościelnych zapachów nawach i tęskniąc do momentu, w którym z czystym sumieniem będzie mogła pójść na filiżankę czekolady do pobliskiej *pâtisserie*.

— Troyes — myślał głośno Maurice. — Saint-Urbain. To niezwykły kościół. Chociaż, jak na mój gust, zbyt przeładowany ozdobami. Bo ja wolę te wczesne, bez ozdób.

Kitty wolała te późniejsze i bardziej bogato zdobione. Lubiła znajdować dowody na to, że w kamieniu tętni naprawdę jakieś życie, a ciemniejsze, starsze kościoły napawały ją pewną obawą. W tych kościołach odgłosy kroków na kamiennych płytach brzmiały bezlitośnie, a świece płonęły w mroku jaśniej niż gdzie indziej. Kitty zawsze zapalała świeczkę za duszę Marie-Thérèse, ale nie towarzyszyło temu żadne głębsze przeżycie, bo nie miała poczucia obecności matki we własnym życiu i dlatego nie wierzyła, że zmarli mogą żyć wiecznie. Nie zdradzała się ze swoim sceptycyzmem, gdyż szanowała niewzruszone przekonania Mauri-

ce'a, w których prawdziwość on, jak sądziła, głęboko wierzy. Jej największym zmartwieniem było to, że nie miała pojęcia czy Maurice poprosi ją, żeby pojechała z nim do Francji. Wiedziała, że w tej podróży na pewno mogłaby mu pomóc. Wykonywałyby wszystkie nudne prace, podczas gdy on prowadziłby tylko samochód, przenosił się z miejsca na miejsce i czerpał natchnienie z tego, co widzi. Francuski był w końcu jej językiem ojczystym, mogła więc oszczędzić mu wiele czasu i problemów. Ale jak mu to zasugerować? Propozycja musi bez wątpienia wyjść od niego, a on wciąż pochylał się nad mapami, sięgając na oślep po filiżankę z kawą, której mu naląła. Wyglądało na to, że jest skłonny zwiedzać katedry Francji bez czyjegokolwiek towarzystwa, gdyż to rozpraszałoby go tylko. Jego uwielbienie absolutu, jego miłość do Boga i piękna dodawałyby mu sił, podczas gdy ona, towarzysząc mu, liczyłaby godziny spędzone w samotności, tęskniąc do chwili, w której będzie mogła wymknąć się do *pâtisserie*. Kitty poczuła przyływ pokory pojawiającej się zawsze wtedy, kiedy się z nim porównywała. Maurice był człowiekiem wspaniałym, lepszym niż ona, miał szlachetniejsze poglądy, był ulepiony z doskonalszej gliny. Kitty przyszła do głowy mglista myśl, że rzeczy tak się mają prawdopodobnie z powodu jego pochodzenia. Tak, to z powodu pochodzenia, pomyślała, wyobrażając sobie rozległe trawniki i dom z szarego kamienia, letnie popołudnia i jego matkę o nieskazitelnym manierach przyjmującą gości. Każdy, kto by zobaczył Maurice'a w towarzystwie Kitty, pomyślałby, że oboje stanowią czarującą parę. A jednak taki ktoś powiedziałby też, że to Kitty ma więcej szczęścia niż Maurice — bo przyciągnęła do siebie takiego wspaniałego mężczyznę. Oboje byli wysocy i pełni wdzięku, ale na tym kończyło się

podobieństwo. Kitty była bowiem uczennicą swojej babki, która nauczyła ją co ma robić, by wyglądać korzystnie. Znała nazwiska projektantów butów i producentów torebek i, dzięki kontaktom handlowym, kupowała te rzeczy po obniżonych cenach. Czasami wysiłek, jaki wkładała w to, by pięknie wyglądać, sprawiał, że czuła się wyczerpana. A poza tym nigdy nie była pewna rezultatów tego wysiłku. Czy mój wygląd jest zbyt wypracowany? — pytała sama siebie. Maurice natomiast pozostawał niewypowiedzianie naturalny. Ubierał się elegancko, ale ze swobodną niedbałością. Nosił ręcznie szyte koszule bez krawata i kaszmirowe pulowery zamiast marynarek. Kitty spotkała go po raz pierwszy w pokoju rekreacyjnym pracowników na uniwersytecie, w miejscu, gdzie w niskich fotelach zasiadali osobnicy

0 rozplaszczonych pośladkach i brzuchach obleczonych w szarą flanelę czy beżowy tweed, gdzie widać było sterczące nogi w brązoworudych skarpetkach

1 czerwonożółtawych zamszowych butach, gdzie bluzki i koszule miały ohydny połysk nylonu. Kitty, przestraszona, gdyż pierwszy raz znalazła się w tym nader ważnym pomieszczeniu, i ubrana tak, jak zgodnie z poglądami jej babki powinna ubierać się dama, poczuła instynktowną sympatię do wysokiego mężczyzny chodzącego po pokoju z filiżanką w jednej ręce i spodkiem w drugiej. Na palcu jego dłoni podtrzymującej spodek dostrzegła nie rzucający się w oczy sygnet, a jego brązowe włosy — włosy kogoś, kto w dzieciństwie był blondynem — wiły się za uszami i na karku. Tego dnia Maurice miał na sobie białą koszulę i czerwony pulower, wąskie szare spodnie i czarne skórzane mokasyny. Odwrócił się i powitał Kitty tym miłym, nieuchwytnym uśmiechem, który miała później poznać tak dobrze, a ona — ponieważ jeszcze się go nie bała — zareagowała całkiem naturalnie i zostali przyjaciółmi.

Oboje mieszkali w Londynie i dojeżdżali na uniwersytet, co było sprzeczne z przepisami i co stworzyło dodatkową więź między nimi. Czasami Maurice podwoził ją do miasta po zajęciach i to właśnie podczas jednej z takich długich wieczornych jazd Kitty zakochała się w nim. Stało się to dwa lata temu. Uśmiech Maurice'a nie zmienił się od tego czasu — był tak samo miły i tak samo nieuchwytny, i Kitty zdawała sobie sprawę, że choćby usychała z tęsknoty — nie będzie mu wcale niezbędna. A w złych chwilach, gdy budziła się nocą, wiedziała, że nie jest mu nawet potrzebna. Gratulowała sobie zdolności ukrywania uczuć, nie mając pojęcia, że żona Rogera Fry'a powiedziała kiedyś do męża z pewną dozą satysfakcji:

— Wiesz, wygląda na to, że nie za dobrze jej z nim idzie. Moim zdaniem, ona za bardzo się stara.

Tamtego wieczoru, kiedy Maurice oglądał mapy, Kitty kręciła się koło niego w milczeniu — szczęśliwa, że ma go w swojej kuchni i gotowa nawet zrezygnować z katedr Francji, pod warunkiem, że po podróży on do niej wróci. Kiedy Maurice z kalendarzem w ręce wyznaczał marszrutę, pozwoliła sobie spojrzeć na jego wspaniałą głowę. Zrobiła to, ponieważ on nie mógł wiedzieć, że to robi. Widok jego dość długich ciemnych włosów i jego cery — ładnej i zdrowej (zawdzięczał ją wiejskiemu powietrzu, na którym przebywał podczas weekendów w domu rodzinnym), a także delikatnych uszu, jakby wyrzeźbionych z kości słoniowej, wywoływał w niej tęsknotę i zachwyty. Było tyle rzeczy, o które chciała go zapytać, wiedziała jednak, że nie uzyska odpowiedzi na swoje pytania. Maurice pozostawał oficjalny i miły, chociaż z łatwością ją rozbierał. Kitty była ciekawa, czy on kiedykolwiek o niej myśli (choć przypuszczała, że nie, bo Maurice był wciąż zajęty), zdawała sobie jednak sprawę, że postawienie takiego

pytania jest rzeczą wprost niewyobrażalną. Jednakże gdyby ją zabrał do Francji, byłby to jakiś znak, znak, który na dodatek zauważyłby świat, i który jej babka przyjęłaby z radością.

Maurice wyprostował się, trzymając ręce na biodrach.

— Wiesz, powinnaś pojechać ze mną — powiedział.

Kitty odwróciła się, żeby ukryć drżenie rąk.

— Dlaczego nie? — odrzekła po chwili tonem obojętnym.

— Ależ dziecino — roześmiał się, wyciągając rękę i kładąc ją na ramieniu Kitty. — Wiesz bardzo dobrze, dlaczego nie. Pomyśl tylko o swojej reputacji.

To był cały on. Kitty poczuła, że jest zdezorientowana. Nie wiedziała, czy zamiar wyjazdu z kobietą, która nie tylko jest w wieku odpowiednim do małżeństwa, ale także myśli o małżeństwie, okazałby się w jego świecie czymś skandalicznym. W końcu Maurice był człowiekiem tak niepospolitym, że jego reputacja nie ucierpiałaby prawdopodobnie wcale wskutek takiego epizodu, nawet gdyby ten epizod, jak to się czasami zdarzało, nie miał decydujących konsekwencji. Kitty przypuszczała, że to jej sieroctwo każe mu czuć się bardziej odpowiedzialnym nie za swoją, ale za jej reputację. A on był całkiem nieświadomy tego, że ona zyskałaby sobie określoną reputację na całe życie, gdyby tylko fakt, że są razem, stał się choćby odrobinę bardziej oczywisty dla postronnych.

Od tamtej pory Maurice często mówił o swojej podróży do Francji, ale nigdy nie zaproponował ponownie, żeby Kitty z nim pojechała.

Od tamtej pory także ich wspólne wieczory — niezbyt częste, gdyż podczas trimestru Maurice był dosłownie rozrywany — napępniały ją lekką, ale uporczywą melancholią. Od chwili gdy siadała, żeby

na niego czekać, do chwili gdy, w jakieś cztery godziny później, słyszała jak jego samochód odjeżdża w głąb ciemnej uśpionej ulicy, nie miała pojęcia dlaczego nie jest w stanie reagować na niego z taką swobodą i przyjemnością, z jaką zareagowała wtedy, kiedy spotkała go po raz pierwszy. Wciąż miała przed oczami tamtą chwilę, wciąż widziała ten ładny, nieuchwytny uśmiech i tę jego uprzejmość, która skłoniła go do przywitania osoby zupełnie obcej, wciąż widziała błysk jego sygnetu. Teraz, z perspektywy czasu, wydawało jej się, że była to najlepsza chwila w jej życiu, chwila, w której poznała się na nim i w której z taką łatwością wyszła naprzeciw wszystkiemu, co miało z tego wyniknąć. Od tamtej pory nieraz dochodziło między nimi do pewnych poufałości, ale potem Maurice zawsze opuszczał ją i zostawiał samą, a ona musiała z wielkim wysiłkiem pozbywać się poczucia konsternacji, niemal wstydu. Nigdy bowiem nie wiedziała, kiedy zobaczy go ponownie.

Początkowo myślała, że Maurice poprowadzi ją do jakiegoś rozstrzygnięcia, do jakiejś konkluzji, a ponieważ ta konkluzja tak bardzo się opóźniała, zastanawiała się, czy nie oczekuje jej ze zbyt wielką niecierpliwością, wywołaną potrzebą usprawiedliwienia się w oczach Louise i uszczęśliwienia obojga dziadków, którym jak dotąd sprawiała zawód. Wiedziała, że po śmierci dziadków — która może nastąpić niebawem — pozostanie sama bez życiowego drogowskazu i że dlatego powinna się spieszyć. Obwiniła się stale za to, że nie potrafi odgadnąć pragnień i zamiarów Maurice'a, i wpadała w rozpacz, bo jak mogła naprawić to, co zepsuła jej własna ignorancja? Usiłowała czytać w jego myślach, nadażać za nimi. I zawsze trafiała na coś, do czego nie miała dostępu. Jego nieuchwytny, miły i tajemniczy uśmiech sprawiał, że czuła się wykluczona, odgradzał ją od czegoś

niezmiernie ważnego, czego nie znała i co było jej obce. Opowiedz mi o Anglii, prosiła Maurice'a w duchu. Męczyła ją myśl o plotkach na temat jego zerwanych zaręczyn. No bo kto — zastanawiała się — zrywałby zaręczyny z Maurice'em? A poza tym kto wie, czy oni się ponownie nie zejdą? Pewnego razu, zdesperowana, pokonawszy wszelkie skrupuły, wspomniała o tej sprawie swojej koleżance z katedry romanistyki, Pauline Bentley.

— To ty o tym nie wiedziałaś? — spytała zdziwiona Pauline i opowiedziała jej całą historię.

Maurice i ta dziewczyna, Lucy jakaś tam, znali się od dzieciństwa. Oboje zawsze wiedzieli, że się pobiorą. Stanowili bardzo piękną parę, a ich ślub miał się stać ślubem dziesięciolecia. Tylko że ta Lucy miała trochę chwiejny charakter, dręczyły ją wątpliwości natury religijnej. Nie przypominała pod tym względem Maurice'a, który był tak pewny swoich poglądów. Dość że na dwa miesiące przed ślubem zerwała zaręczyny.

Najwyraźniej w wyniku jakiegoś załamania nerwowego. A potem oświadczyła, że jedzie do Kalkuty, żeby pracować z Matką Teresą. I jest w Kalkucie do dziś. Maurice przyjął to nadspodziewanie dobrze. Słyszając to wszystko, Kitty zareagowała spontanicznie:

— *Merde, alors* — powiedziała i zawstydzila się, czując, że się silnie rumieni, tak jakby ktoś przyłapał ją na jakimś występku.

Od tej pory usiłowała być tak czysta i szlachetna jak Maurice, bo rozumiała teraz dlaczego on, po tak wielkim rozczarowaniu, nie chce się deklarować. Wieści o Lucy sprawiły, że poczuła się lepiej (gdyż wiedziała, że Lucy znajduje się jakby w więzieniu), a równocześnie o wiele gorzej — no bo jak mogła z nią konkurować? Zaczęła szukać w sobie ziaren wiary, które można by było kultywować, gdyż zdała sobie sprawę, że kluczem do duszy Maurice'a jest

jego wiara w wolę bożą. Albo w boski cel, jeżeli to jest to samo. W każdym razie w coś usankcjonowanego przez Boga. We własnej duszy nie znajdowała niczego poza zmęczeniem, znudzeniem i lękiem, które opadały ją w tamtych kościołach w Normandii, gdzie topiły się świece i gdzie za jej plecami rozlegały się natrętne, bardzo pewnie stawiane kroki wiernych. Nie mogła w dobrej wierze pójść do kościoła, ale czasami brała do ręki Biblię matki, gdyż była przekonana, że ta księga zawiera wiele odpowiedzi. Tak, znalazłaby w niej odpowiedź, gdyby tylko potrafiła zadać bezinteresowne pytanie. Problem polegał na tym, że nie umiała tego zrobić. Jednak pewnego dnia znalazła ustęp, który zdawał się zawierać przekaz przeznaczony dla niej, wyłącznie dla niej.

// m'a envoyé... pour proclamer à ceux de Sion qui pleurent, que la magnificence leur sera donnée au lieu de la cendre, l'huile de joie au lieu du deuil, un manteau de louange au lieu d'un esprit affligé.

Była tak dziwnie wzruszona, że — jakby wątpiąc w autentyczność tekstu napisanego w ojczystym języku własnej rodziny — odszukała odpowiedni fragment w wersji autoryzowanej. I oto miała przed sobą wersy od tamtych wspanialsze, bardziej dźwięczne, bardziej miarodajne, jak gdyby ojczystym językiem Boga był angielski:

Posłał mnie... by rozweselić płaczących na Syjonie, aby im wieniec dać zamiast popiołu, olejek radości zamiast szaty smutku, pieśń chwwały zamiast zgnębienia na duchu¹.

Nie czytała dalej, bo wszystko inne wydało jej się bez znaczenia.

Wieniec zamiast popiołu. Siedziała w kuchni, w mieszkaniu przy Old Church Street — po umyciu i odstawieniu na miejsce talerza i po rozsypaniu na

¹ Cytat za Biblią Tysiąclecia, Księga Izajasza 61,3.

parapecie okruchów dla ptaków. Siedziała tak, pozwalając lękom i troskom wypłynąć na powierzchnię i żywiąc nieśmiałą nadzieję, że teraz jest to bezpieczne. Jeżeli nie zdarzy się jakiś cud, to pewnego dnia okaże się, że spędza cały swój wolny czas w tej kuchni, i że to mieszkanie jest jej stałym i jedynym domem, nie zaś tymczasową kwaterą, jak dotychczas sądziła. Doszła jednak do wniosku, że rozważanie takiej możliwości jest rzeczą zbyt niebezpieczną i odwróciła głowę do okna. Wieczór był spokojny. Jak zawsze, gdyż o tej porze w tej okolicy znajdowało się niewielu przechodniów. Jedynym dźwiękiem dobiegającym do jej uszu było natarczywe brzęczenie radia nastawionego w mieszkaniu sąsiadki, rozwódki imieniem Caroline. Po drugiej stronie ulicy dostrzegła żonę właściciela pubu, która wyszła na próg, żeby przed otwarciem lokalu zaczerpnąć świeżego powietrza, i rozczesywała palcami włosy. Kitty spróbowała sobie wyobrazić, co w tej chwili robi Maurice i nie udało jej się to. Usiłowała odszukać w pamięci słowa z matczynej Biblii brzmiące tak pewnie i stanowczo. Ale przypomniała sobie tylko, że czeka ją zebranie pracowników, że musi przygotować wykład na temat tradycji romantycznej, i że za tydzień ma seminarium, w związku z którym nawiedzają ją mieszane uczucia. Tematem tego seminarium miała być krótka powieść nosząca tytuł *Adolf*, której bohaterowie ponoszą klęskę. Kitty zdawała sobie sprawę, że ta powieść nie bardzo jej się podoba i martwiła się, że pewnie nie będzie w stanie przedstawić studentom jej wartości.

Kiedy — z ociężałością kobiety o wiele od siebie starszej — wstała od stołu, zadzwonił telefon. Był to Maurice.

— Jesteś w Londynie? — zapytała go nieco za-skosstpna, bo wyobrażała sobie, że pojechał do domu.

— odpowiedział łagodnie. — Dość często

spędzam tu weekendy. Dzwonię w sprawie poniedziałku. Obawiam się, że nie będę mógł przyjść. Moja matka przyjeżdża do Londynu.

Kitty roześmiała się, chociaż poczuła, że ogarnia ją panika.

— My jesteśmy umówieni na przyszły poniedziałek, idioto. Nie zapisałeś sobie?

— Aha, to dobrze — odrzekł. — No tak, w porządku. W takim razie zobaczymy się.

Po tej rozmowie Kitty przez chwilę wychylała się przez okno, usiłując uporządkować myśli. Zadzwoił. Miał przyjść. To było najważniejsze.

No a to, że pomyliły mu się daty... To mogło zdarzyć się każdemu. Po chwili uspokoiła się — linia jej życia biegła znowu właściwym torem.

Kitty wyciągnęła notatki i zabrała się do pracy.

III

Dziwne, ale praca nigdy nie sprawiała jej trudności. Przeciwnie, jawiła jej się jako żywioł neutralny, w którym nie ma miejsca na wybiegi, czujność czy nawet pragnienia. Dla niej praca była czymś, co człowiek robi, a nie czymś, o czym mówi. Jej sąsiadka Caroline, która niegdyś wiodła lepsze życie, często raczyła ją opowieściami o swojej fascynującej przeszłości i kończyła takie wspomnienia słowami:

— Naprawdę, powinnam napisać książkę.

— Więc dlaczego jej nie napiszesz? — pytała Kitty ze szczerą ciekawością.

Sądziła, że pragnienie jest ojcem myśli i że nikt nie powinien pozostawać bez zajęcia. Wielka uroda mogła oczywiście zwalniać od takiej konieczności. Pięknym kobietom, zgodnie z zasadą, którą uznawała, ale której nie rozumiała, wolno było nie robić niczego pożytecznego i mimo to zajmować czas i zaprzętać uwagę innych. Kitty wolała jednak swoje pełne zajęcie życia, o którym mówiła, że jest życiem łatwym spędzonym na robieniu rzeczy trudnych. Tak, robiła rzeczy trudne — tak przynajmniej przypuszczała. Chociaż w rzeczywistości ugotowanie jakiejś specjalnej potrawy dla Maurice'a zajmowało jej więcej

czasu, niż napisanie referatu czy przygotowanie się do seminarium. Nie była dumna z tego, że wykonuje taką pracę i nie myślała o niej jako o czymś, co ma szczególne znaczenie. Po prostu nie czuła, że sprawia jej ona jakkolwiek trudność i dlatego nie poczytywała sobie za zasługę, że się nią zajmuje.

— Mój Boże, Kitty — powiedziała do niej kiedyś Pauline Bentley — nawet nie wiesz, jakie masz szczęście. Ja traktuję pracę jako broń przeciwko depresji. Dla mnie jest ona sposobem na przechytrzenie choroby nerwowej. Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, ile osób czuje podobnie.

Mówiąc to, Pauline czesała się nerwowo, bo czuła wstyd, że się tak odkrywa. Mimo tych swoich problemów była doskonałym wykładowcą, jej wykłady cechowała elegancja i nienaganność, co wzbudzało podziw studentów. Styl Kitty, której praca nie służyła jako maska aż takiej rozpacz, był bardziej przystępny. Kitty z przyjemnością wykonywała swoje intelektualne obowiązki i nie uważała ich za uciążliwe. W skrytości ducha uważała swoją pracę za chwilowy i raczej przyjemny sposób wypełniania sobie czasu — aż do momentu gdy dozna olśnienia i dowie się, co jest jej właściwym zajęciem. Nie bardzo wiedziała, co to ma być, ale czuła, że wolałaby celować w spełnianiu obowiązków innych niż te, którym poświęcała się przez kilka ostatnich lat.

Znajdowały się w pokoju Pauline i szykowały do wyjścia. Miały iść na zebranie pracowników katedry. Pauline odnosiła się do takich odbywających się raz na trymestr zebrań z nie ukrywaną pogardą. Kitty natomiast dość je lubiła. Jako wykładowca bez stałego zatrudnienia była wdzięczna, że ma okazję brać w nich udział i, mimo że nie zawsze rozumiała o czym jest mowa, zwykle udawało jej się wyglądać jak ktoś, kto słucha z uwagą. Robiła nawet notatki.

Jej zapal, który był szczery, został zauważony — z aprobatą — przez profesora Redmile'a.

— Ciekawa jestem czy on by zauważył, gdybym zajęła się sprawdzaniem prac studentów — zastanawiała się głośno Pauline. — Mówię ci, Kitty, jeżeli pójde do piekła, to na pewno będę tam musiała wiecznie siedzieć na takim zebraniu.

Wzięła z biurka różne papiery, wśród których rzeczywiście znajdowały się prace studentów, i ruszyła korytarzem. Kitty z powagą podążyła za nią.

Zebrania odbywały się zawsze w ponurej sali o lepkich, brązowych ścianach, która dawniej, gdy mieszkał tu pewien magnat — dobrodziej uniwersytetu, była jadalnią. Profesor Redmile zajmował miejsce u szczytu stołu, który w niezbyt dobrym świetle połyskiwał dziwnym, przypominającym lód fornirem. Tuż obok profesora siedziała z urzędową miną Jennifer, jego sekretarka, i pisała protokół. A pozostali uczestnicy weszli niechętnie gęsiego, weszli wszyscy — historycy i lingwiści — doktor Martinez, profesorowie Gault i Bodmin, madame de Marcoussis, pani Vogel, doktor Oliphant i Roger Fry, ten znany profesor, który ku swemu utrapieniu musiał prowadzić wykłady o sztuce francuskiej na filologii francuskiej, o sztuce włoskiej na italianistyce, o sztuce niemieckiej na germanistyce, i mimo to zachować pewien rodzaj autonomii; wreszcie wszedł Maurice Bishop. Przed każdym krzesłem na stole leżał ołówek i bloczek do pisania. W chwili gdy profesor Redmile przywitał ich i oświadczył, że z niecierpliwością oczekuje na mający wkrótce nastąpić moment, w którym będzie mógł im podać jakieś konkrety na temat Nowego Gmachu, wszyscy, jak jeden mąż, wzięli ołówki i zaczęli rysować. Był to odruch obronny, za pomocą którego pragnęli zagłuszyć szczery zachwyt brzmiący w głosie profesora Redmile'a i który równocześnie nadał im wygląd

grupy terapeutycznej złożonej z osobników raczej opóźnionych w rozwoju. Kitty z żywą uwagą naiwnego prostaczka patrzyła jak Roger Fry smaruje ołówkiem w swoim bloczku, tworząc wystrzępiony abstrakcyjny wzór. Madame de Marcoussis skłaniała się raczej ku delikatnym cieniom wymagającym bezustannego ruchu ołówka. Profesor Gault natomiast zawsze rysował spiralę Archimedesesa. Pewnego razu, po jednym z zebrań, kiedy już wszyscy wyszli, Kitty obeszła stół, żeby zobaczyć, co narysował Maurice. I zobaczyła łuk przyporowy.

Dla Kitty, która nie miała wielu okazji, by się odprężyć, te zebrania stanowiły rozrywkę. Dawały jej też sposobność patrzenia na Maurice'a, jeżeli Maurice znajdował się naprzeciwko niej, i smakowania niezmiernie oczekiwania na ich następne i bardziej prywatne spotkanie. Kitty zawsze przybierała minę osoby doskonale opanowanej i była dyskretna niczym dziewiętnastowieczna guwernantka. Mimo to Roger Fry, podnosząc pewnego razu niespodziewanie wzrok znad swojego kubistycznego rysunku, zauważył jej spojrzenie i w ten sposób poznał jej sekret. Kitty nie miała o tym pojęcia, tymczasem on, wzdychając w duchu, doszedł do wniosku, że jego żona miała rację kiedy mówiła, że Maurice dokonał następnego podboju. Jego niechęć do tego człowieka stawała się nie do opanowania. Maurice, słuchający z uprzejmą uwagą słów profesora Redmile'a, pozostał nieświadomy tego wszystkiego.

Maurice, myślała Kitty, czy nie spojrzysz w moją stronę? Jestem tutaj tylko ze względu na ciebie. Wyznaję, że nie obchodzi mnie wcale Nowy Gmach, i że nie wierzę, by kiedykolwiek powstał. Lubię wszystkich tych ludzi, nawet profesora Redmile'a, ale myślę, że gdybyś ty zniknął, a oni pozostali, nie wytrzymałabym tutaj długo. Tak wiele dla mnie zrobiłeś. Sprawileś, że wierzę w to, co robię, chociaż

z początku traktowałam moje zajęcie jak hobby. Dzięki tobie zaczęłam się starać bardziej niż starałabym się, gdybym ciebie nie znała, i zaczęłam radzić sobie lepiej niż się spodziewałam. Pragnę być wybitna — dla ciebie. To, że Pauline całkiem otwarcie czyta prace studentów, co zauważyła Jennifer, to, że Roger Fry jeszcze raz demonstruje umiejętność narysowania niezłej rzeczy w stylu Delaunaya, a pani Vogel robi listę zakupów zachwyca mnie po prostu dlatego, że ty i ja znajdujemy się w tym samym pomieszczeniu i doświadczamy tego samego. Każdy dzień podobny do dzisiejszego pozostanie w mojej pamięci, mimo że ty go nie zapamiętasz. Bo ty masz ważniejsze rzeczy do zapamiętania. No co, nie spojrzysz na mnie, twoje oczy nie spotkają się z moimi?

Ale Maurice, uśmiechając się jak zwykle swoim miłym uśmiechem, pochylił się tylko w stronę Jennifer i wsunął w jej dłoń małą karteczkę. Jennifer, rumieniąc się, spojrzała na nią, a potem powolnym ruchem wręczyła ją profesorowi Redmile'owi.

Kitty, której dłonie spoczywały w tej chwili beczynn timer, zauważyła zmianę na twarzy Jennifer i obiecała sobie najsolennie, że sama nigdy tak nie zareaguje. Skierowała myśli na tradycję romantyczną, która powinna była wiecznie zaprzętać jej uwagę, i zaczęła zastanawiać się czy ta tradycja naprawdę istnieje. Czy można było bowiem zbudować tradycję wokół tego, co tworzyła grupa wyzywająco autonomicznych jednostek upierających się przy twierdzeniu, że tego, co one przeżywają, nie doświadczyła nigdy żadna ludzka istota? Romantycy zawsze ją frapowali, ale równocześnie działali na nią przygnębiająco, dojrzewając tak prędko, osiągając zmizerowany wygląd ludzi doświadczonych w wieku lat dwudziestu pięciu, w niewytłumaczalny sposób utrzymując się przy życiu mimo katastrof młodości, i przeżywając życie normalnej długości. Albo nawet

nienormalnej, jak Victor Hugo. Z wyjątkiem oczywiście Gerarda de Nerval. Gerard de Nerval był postacią centralną w jej rozważaniach, bo nie utrzymał się przy życiu. Kitty sama nie wiedziała, co jest dla niej bardziej frapujące: zdolność do dalszego brnięcia niepewnym krokiem przez życie pozbawione najzwyczajszego szczęścia czy zdolność do przyznania się do dezintegracji umysłu, wskutek której człowiek w ogóle nie jest w stanie walczyć. Niepokojące było dla niej to, że, jak się zdawało, nie istniała żadna droga pośrednia. Nie była też w stanie przyjąć do wiadomości, że tyle żarliwości i tęsknoty, tyle męki i odwagi miałyby wsiąknąć w płaską równinę wieku średniego i starczego. No, a poza tym, gdzie kończyła się tradycja romantyczna? Łatwo było określić, gdzie się zaczynała, a nawet jak się zaczynała. Ale czy ta tradycja — co za straszna myśl — nadal trwa? I czy ona, Kitty, rozpoczęła coś, co okaże się bardziej obszerne niż z początku przypuszczała? Czy tradycja romantyczna będzie trwała dłużej niż jej pragnienie zajmowania się nią?

Jak zwykle podczas takich zebrań, proponowano niezmiernie skomplikowane zmiany w rozkładzie zajęć, a czyniono to z tej prostej przyczyny, że podczas zebrania należało o czymś mówić. Tym razem zamiast zwykłego chronologicznego podejścia do prezentowanego studentom materiału przedstawiono bardzo kunsztowny schemat, który profesor Redmile nazywał strukturą czterokondygnacyjną, i który miano stosować przez najbliższy rok, aby się przekonać, jak przystosowują się do niego studenci.

— Studenci tak czy inaczej nie zawiodą — powiedziała Pauline tonem osoby zmęczonej. — Z tym że nie będą dokładnie wiedzieli, na jakie zajęcia przychodzą.

— Sądzę, pani doktor — odrzekł na to profesor Redmile — że przyjrzawszy się dokładnie planowi,

który była uprzejma przygotować Jennifer, przekona się pani, że ta propozycja ma ogromne zalety. Przedstawienie różnych okresów w niespodziewanych konfiguracjach może dać studentom bardziej pasjonującą historyczną perspektywę. Może wszyscy państwo zechcą przestudiować plan i podzielić się ze mną swoimi uwagami?

Odsunawszy na bok rysunki, posłusznie schylili głowy nad lepki i niewyraźnymi odbitkami planu przedstawiającego zadania, które mieli wykonać podczas nadchodzącego roku akademickiego. Po minucie skupienia nastąpił jednomyślny brak komentarza. Ciszę przerwał w końcu Maurice, mówiąc:

— Jeżeli przyjmiesz ten plan, Hamish, to po Średniowieczu będzie następowało Oświecenie. Takie połączenie stanie się wyzwaniem nawet dla najbardziej przemyślnego studenta.

Wszyscy, znudzeni do granic wytrzymałości, roześmiali się serdecznie. Roger Fry z wściekłością i rozpaczą przebierał pod stołem nogami odzianymi w pomarańczowe buty na gumowych podeszwach, gdyż Maurice zniweczył właśnie jego szansę na zakończenie cyklu wykładów przed Bożym Narodzeniem, będącą równocześnie szansą na uwolnienie go od konieczności kontynuowania tych wykładów latem, kiedy wszyscy uciekali z uczelni. Profesor Redmile, wtórując łaskawie śmiejącym się, dał znak Jennifer, że można wносить herbatę, i na tym zebraniu praktycznie się zakończyło, chociaż rozmowy miały się dopiero zacząć.

Moment podawania herbaty i ciasteczek podczas zebrania pracowników był dla Kitty kulminacyjnym punktem tygodnia, który nie obfitował w towarzyskie okazje. Biorąc filiżankę, Kitty uśmiechała się, szczerze zadowolona — było to bowiem pierwsze przyjęcie, w jakim od dość długiego czasu uczestniczyła. Na owe spotkania, podczas których nie zabierała

głosu, gdyż sądziła, że jej status półamatorki upoważnia ją jedynie do obecności na nich, ubierała się ze szczególną starannością. Profesor Redmile lubił mieć wokół siebie osoby podobne Kitty. Świadomość, że tak jest, sprawiała Kitty przyjemność. Sceneria, w jakiej odbywało się zebranie, wydawała jej się osobliwa i egzotyczna. Szkaradne pomieszczenie, północne światło, posepna atmosfera, do której przyczyniały się zapach dymu papierosowego i arkusze papieru z odbitkami planu, zmiętoszone ubrania wszystkich obecnych poza nią samą i Mauricem, ogromna ilość bagaży, jakie udało się przynieść uczestnikom zebrania — te torby, teczki, płaszcze nieprzemakalne — talerz z czekoladowymi ciasteczkami puszczony ceremonialnie w obieg przez asystentkę Jennifer — wszystko to wydawało jej się bardziej osobliwe i bardziej pożądane niż domowe życie jej dziadków noszących zwykłe ubrania i podających dziwaczne, improwizowane posiłki. To właśnie podczas takich spotkań, wyśmiewanych przez babkę, Kitty czuła, że ma jakiś określony, choć skromny status — w środowisku, które nie brało pod uwagę jej pochodzenia i do którego na dodatek należał Maurice'em. Wydawało jej się, iż to, że zgadza się z Mauricem, nawet w sprawach tak nieistotnych, jest czynnikiem, który z pewnością będzie miał wpływ na resztę jej życia.

Obserwowała Maurice'a ukradkiem znad filiżanki. Rozmawiał z profesorem Gaultem, drobnym, zmęczonym człowiekiem, specjalistą od Ariosta. Maurice zadawał jakieś pytanie, ale Kitty nie mogła go dosłyszeć, gdyż ogólna wymiana poglądów, w sposób tak oczywisty nie istniejąca podczas zebrania, stała się teraz dość głośna, grożąc nawet tym, że będzie hałaśliwa. Kitty patrzyła na delikatne dłonie Maurice'a kreślące jakąś parabolę, rysujące jakiś kształt. Nie mogła przy tym usłyszeć, o czym mowa, napięła

się lekko, ale zaraz złapała się na tym, że to czyni i świadomie odprężyła się. Patrzyła też na twarz Maurice'a — pełną energii i płonąca entuzjazmem. Maurice doszedł do jakiegoś wniosku, zdawało się, że znalazł odpowiedź na swoje pytanie, gdyż profesor Gault kiwał głową, a potem — kiedy Maurice przestał mówić — obaj roześmiali się. Chciałabym, żeby patrzył w ten sposób na mnie, pomyślała tęsknie Kitty. Czy jesteśmy tak cywilizowani, tak opanowani, tak sprawni w ukrywaniu swoich uczuć, że nie wolno nam nigdy zdradzać przed ludźmi niczego, co dotyczy każdego z nas i naszych wzajemnych stosunków? Spuściła szybko oczy na brązowy lepki blat stołu, bo uświadomiła sobie, że jej dobry nastrój mija. Poczuła nagle, że ten dobry nastrój jest czymś błahym, śmiechu wartym, że jest pozorem, którego jej racjonalne ja nie może zaakceptować. Bała się takich chwil, które przychodziły bez ostrzeżenia, i czekała z rozpaczą aż miną, pozostawiając ją jeszcze raz samą ze swoim sekretem.

W ponurej sali było już prawie ciemno i w tym momencie — tuż przed zapaleniem świateł — Kitty poczuła, że ogarnia ją panika na myśl o powrocie do domu, gdzie czekało ją potulne wykonywanie codziennych czynności, gdzie czekała ją rutyna, z którą gwałtownie zapragnęła skończyć. Starannie odprawiane rytuały obliczone na przechytrzenie długich nocy, egzorcyzmy, jakimi stały się jej domowe zajęcia i marzenia, traciły swoją pocieszającą moc. A jednak, myślała, jest tyle rzeczy, na które mogę oczekiwać z niecierpliwością. W każdym razie będzie ich mnóstwo w poniedziałek. Może wszystko pójdzie dobrze, lepiej niż w moich najśmielszych marzeniach. Może zdołam wrócić do tematu katedr Francji. Może uda mi się spowodować jakąś zmianę na lepsze. To nie do wytrzymania, pomyślała nagle. Nie do wytrzymania jest to czekanie i ta ostrożność. Nie powinno tak

być. Natychmiast jednak wyparła tę myśl ze świadomości.

Roger Fry, zauważając popłoch w jej oczach, wstał i zapalił światło. A potem usiadł ciężko obok niej i zapytał:

— Jak to wszystko pasuje do tradycji romantycznej, panno Maule?

Kitty zastanowiła się.

— Z trudem. Romantycy nigdy nikogo się nie radzą w sprawie swoich planów, nie pytają nikogo, jak mają postępować. Zawsze grają przed jakąś niewidzialną publicznością. Są spontaniczni. Nieobliczalni. Zdaje się, że Chateaubriand uczestniczył w wielu zebraniach, ale wyobrażamy go sobie, jak siedzi bokiem do stołu, pogrążony w myślach i robi notatki na temat szaleństw niedawno minionej historii. Nie był człowiekiem czynu.

— A ja jestem — powiedział ku jej zdziwieniu Roger Fry. — Sądzę, że to konieczne, bo zawsze kiedyś nadchodzi moment, w którym nie postępuje mądrze ten, kto pozostaje beczynny.

Kitty odwróciła wzrok od Maurice'a i zastanowiła się nad tym.

— Naprawdę pan tak sądzi? — zapytała. — A co z tą mądrą biernością, o której tyle się mówi?

Kątem oka wciąż dostrzegała ciemnoniebieski pulower Maurice'a.

Zastanawiała się przy tym czy jest nowy — nie widziała go bowiem

jeszcze. Patrzyła jednak równocześnie na wiecznie czerwoną twarz

Rogera Fry'a, twarz wiecznie zdradzającą, że jej właściciel jest urażony, i zastanawiała się czy Roger Fry ma rację.

— Mądra bierność prowadzi donikąd — powiedział Roger Fry. — Ale tak przy okazji, proszę mi mówić po imieniu. Bliscy i przyjaciele nazywają mnie Davidem. Mądra bierność powoduje, że człowiek zostaje w tyle. Gdybym przed chwilą nie był

tak mądrze bierny, skończyłbym wykłady przed Bożym Narodzeniem. A tak będę musiał harować w lecie, kiedy każdy, kto ma olej w głowie, wyleguje się na trawie.

— Ależ Davidzie, wiesz, że nie było najmniejszej szansy na to, żeby zmienić plan zajęć. Taka propozycja wypływa co najmniej dwa razy w roku. Tylko po to, żeby dać Jennifer coś do roboty. Profesor Redmile uwielbia wprowadzać zamieszanie. Pamiętasz, jak chciał przenieść bibliotekę z podziemia na drugie piętro? Nikt nie miał pojęcia, jak go powstrzymać, zwłaszcza że bibliotekarki nie było na zebraniu.

— Rzeczywiście. No i jak to się skończyło?

— Kompromisem. Ktoś zaproponował, żeby wprowadzić nową metodę wstemplowywania dat. I na tym stanęło. Oczywiście nigdy do tej sprawy nie wracano.

Roger Fry kiwnął w zamyśleniu głową.

— Jednak to nie jest argument na korzyść mądrej bierności — stwierdził.

— Mądra bierność to fasada, za którą kryje się fakt, że człowiek nic nie robi.

— Romantycy byli oczywiście bardzo aktywni — powiedziała Kitty. — Całe stosy pamiętników, całe akry zamalowanych płócien, trwające godzinami utwory muzyczne. Lubili udawać, że wszystko to przychodzi im w mgnieniu oka. Mnie się to podoba — podoba mi się to udawanie, że wszystko przychodzi bez wysiłku. Jest to oczywiście poza, ale trzeba przyznać, że nie pozbawiona pewnej elegancji.

Kitty uśmiechnęła się, bo znalazła klucz do własnych trudności i wskazówkę, jak ma się zachowywać w przyszłości. No tak, musi udawać, że wszystko przychodzi jej bez wysiłku. Udawać, że tak jest — bez względu na to, ile by ją to kosztowało. Jej zachowanie powinno być eleganckie, bo obliczone na to, żeby rozbrajać, a nie obrażać. Nie może nigdy okazywać, że cierpi. Powinna dążyć do elegancji,

która cechuje kogoś, kto wielkich rzeczy dokonuje z wdziękiem i swobodą. Musi zachowywać się jak stoik. Jak romantyk. No tak, pomyślała zaskoczona, i jedni i drudzy tak postępowali. A potem, zwracając się z uśmiechem do Rogera Fry'a, powiedziała:

— Dziękuję ci, Davidzie. Podsunąłeś mi myśl, którą wykorzystam w moich wykładach.

— No, to jest to chyba pierwszy taki wypadek. Po raz pierwszy jakaś myśl wykluła się podczas takiego zebrania — odpowiedział i uśmiechnął się, widząc, że na jej twarz wrócił spokój i miły wyraz, które chciał tam widzieć zawsze.

Wybuch śmiechu przy drugim końcu stołu oznaczał, że zebranie wymyka się spod kontroli, a właściwie, że skończyło się już pół godziny temu. Jednak teraz, paradoksalnie, do wyjścia nie kwapił się nikt poza Pauline, która trzymając w zębach ołówek i mając przed sobą stertę sprawdzonych prac, energicznie wsuwała ręce w rękawy kardiganu. Kitty jeszcze raz rozejrzała się naokoło z uznaniem. Było to całkiem przyjemne popołudnie. Postanowiła, że w razie gdyby znowu przyszedł na nią taki zły moment, poradzi sobie z nim, stosując odkrytą właśnie strategię odpędzania złych myśli uśmiechem. Strategia elegancji podobała jej się, bo — chociaż była w pewien sposób kłamstwem — za jej pośrednictwem pielęgnowało się też jakoś prawdę.

Na twarzy Kitty odmalowały się niepewność i ożywienie. To ostatnie wywołała świadomość istnienia możliwości, nad którymi się przed chwilą zastanawiała. Kitty potoczyła jeszcze raz wzrokiem po sali i tym razem napotkała spojrzenie Maurice'a, który uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała mu uśmiechem, ale nie pozwoliła sobie na dłuższe rozkoszowanie się tym, że on na nią patrzy w ten sposób. Odwróciła się natomiast z bijącym sercem do Rogera Fry'a i powiedziała:

— Podoba mi się twój rysunek. Tylko dlaczego zawsze rysujesz to samo?

— A, to się nazywa maestria stylistyczna. Za ileś lat młodzieńcy u Sotheby'ego, przeglądając teczki, powiedzą: „Tak, to typowy przykład”. Może cię to zdziwi, Kitty, ale ja gardzę sporą ilością tego, co się zwie sztuką niefiguracywną. Czy zdawałaś sobie sprawę, że bardzo łatwo jest uprawiać coś, czym człowiek gardzi?

— Nie zastanawiałam się nad tym. A może byś w takim razie zaczął gardzić letnimi wykładami? W ten sposób przebrniesz przez cały trymestr.

I znowu kątem oka zobaczyła Maurice'a notującego coś w kalendarzu i zastanowiła się, co on tam pisze. Jednak nie patrzyła na niego wprost. Wiedziała, że nie ma sensu spekulować na temat treści notatek Maurice'a. A poza tym takie spekulowanie było nieeleganckie.

— Tęsknię — powiedział Roger Fry — za bezgranicznym podziwem tłumów. Chcę, żeby mnie brali na ramiona i nosili w tryumfalnym pochodzie. Chcę, żeby mi wierzyli, tak jak kiedyś wierzyli Savonaroli czy Johnowi Knoxowi. Ale nade wszystko pragnę, żeby przychodzili całymi stadami i bili się o miejsca. A w lecie większość z nich siedzi na trawie, powtarza materiał i planuje wakacje.

— Nie wiedziałam, że lubisz wykładać.

— Nienawidzę. Przed każdym wykładem jestem śmiertelnie przerażony. Żona uważa mnie za idiotę. Ale ja twierdzę, że chcąc dobrze wykładać, człowiek musi być aktorem. Jak Maurice Bishop.

Kitty uśmiechnęła się, zachowując spokój.

— Nie jestem tego taka pewna — powiedziała. — Sama lubię wykładać. Chociaż muszę przyznać, że denerwuję się przed tym wykładem dla całej społeczności akademickiej na temat tradycji romantycznej. Myślę, że to będzie coś w rodzaju egzaminu. Jeżeli go zdam, skończy się dla mnie okres próbny.

Roger Fry kiwnął głową.

— Rozumiem. Ale dziwi mnie, że to lubisz. Dla mnie wyglądasz na zbyt szczerą, aby lubić tego rodzaju przyjemności.

— Bo ja tylko podczas wykładów tak naprawdę zapominam o sobie — powiedziała Kitty. — Prawdziwe życie niesie ze sobą takie straszne problemy, problemy nie do pokonania... To powoduje, że człowiek odpoczywa, kiedy myśli o czymś zupełnie innym, o czymś, za co nie ponosi odpowiedzialności. To przecież nie ja spowodowałam, że narodził się romantyzm. I nikt mnie nie oskarży o to, że narzuciłam go światu. To tak jak z wojną. Nie jestem winna. Romantyzm pojawił się na świecie, ale mnie przy tym nie było. Jest w tym jakaś cudowna wolność, prawda?

— Czy czujesz się odpowiedzialna za wszystko inne? — zapytał Roger Fry.

— O tak — odrzekła. — Tak, z pewnością.

Ale zabrakło im czasu na kontynuowanie tego wątku, bo właśnie zatrzaskiwano teczki i wstawano z krzeseł. Ktoś otworzył okno, żeby wywietrzyć salę, otworzyły się też szeroko drzwi i zrobił się przeciąg. Stukając w stół ciężką szklaną popielniczką, profesor Redmile usiłował ich zatrzymać.

— Proszę państwa, chwileczkę — powiedział, gdy oni na wpół odwrócili się w jego stronę. — Chwileczkę. Jennifer ma dla państwa ogłoszenie. Każde z nich obejrzało się przez ramię, czekając, co powie Jennifer. A ona odchrząknęła, spurpuro-wiała i ogłosiła:

— Ćwiczenia przeciwpożarowe odbędą się w drugą środę tego trymestru. Proszę się zorientować, kto je będzie prowadził i gdzie są hydranty.

— Brawo! — powiedział na to Roger Fry i ten jego komentarz definitywnie zakończył zebranie.

Dla Kitty, patrzącej okiem profesjonalistki, powieść *Adolf* była interesująca przede wszystkim ze względu na połączenie osiemnastowiecznego klasycyzmu i romantycznej melancholii. Kitty wiedziała jednak, że skupiając się na tym aspekcie powieści, może przeoczyć niezmiernie przygnębiającą myśl przekazywaną przez autora: że mężczyzna znudzi się w końcu kobietą, która wszystko dla niego poświęca, że taka kobieta w końcu umrze z powodu nieodwzajemnionej miłości i że mężczyznę aż do śmierci będą prześladowały wyrzuty sumienia. Postanowiła poprosić studentów, żeby przeprowadzili analizę użycia słów w powieści, a potem poświęcić końcowe pół godziny seminarium na dokładniejsze przyjrzenie się romantycznej melancholii. Obawiała się, że studenci mogą podejść do tego zagadnienia sentymentalnie i interesowało ją przede wszystkim to, czy powiedzą oni na ten temat coś nowego, coś, z czym się dotychczas nie spotkała. Studentów było troje.

— Larter, Mills i Fairchild — powiedział profesor Redmile. — Larter jest w sposób oczywisty najlepszy. Mills, jak pani wie, jest starszy od pozostałej

dwójki. Jeśli się nie mylę, pracuje w jakimś college'u dla nauczycieli i ma właśnie rok urlopu. Panna Fairchild wydaje się dość obiecująca, ale nie dorównuje pozostałym. Potrzebna jej pewna łagodna zachęta, panno Maule. Wiem, że mogę na panią liczyć w tym względzie.

Rzeczywiście, tworzyli bardzo nierówną grupę, a właściwie coś, co trudno było nazwać grupą. John Larter, ten „w sposób oczywisty najlepszy”, działał dezintegrująco, ale jego działanie było bardzo potrzebne. Niezwykle chudy, podekscytowany i pobudliwy, nie ogolony, całym sercem pragnący człowieka zadowolić, palący papierosa za papierosem i irytujący, był — jak trzeźwo zauważyła Kitty po kilku tygodniach znajomości — uczciwym i potencjalnie wybitnym naukowcem, czyli osobnikiem, na jakiego w tym świecie można się natknąć niezmiernie rzadko. Kitty wiedziała, że ten chłopak, otrzymawszy właściwe stypendia, a potem odpowiednią dla siebie pracę na uczelni, uspokoi się i zacznie wieść ustabilizowane życie. Zdawała sobie sprawę z tego że jego brudne dżinsy i sweter, które nie pasowały do cechującej go zbytnej żarliwości, dojrzałości i przenikliwości, ustąpią w końcu czemuś bardziej konserwatywnemu i porządnemu, a postrzępione włosy zostaną porządnie przystrzyżone. I kto wie, może nauczy się on nawet opierać pochlebstwom, jakie niesie elitarne życie naukowców i dzięki temu zachowa swoją niezwykłą czystość intelektualną. Gdyż w chwili obecnej nie było w nim cienia skłonności do posługiwania się mistyfikacją, która mogła przyjść później, wraz z sukcesem na publicznym forum. Jeżeli jednak życie podstawi mu nogę, nie dając mu owych zasadniczych możliwości, to chłopak stoczy się całkowicie, zrujnuje sobie zdrowie, będzie zbyt dużo pił i zadowalał się namiastkami. — Co pan robił w czasie wakacji? — zapytała go raz Kitty.

— Miałem zamiar pojechać do Grenoble, popracować nad Stendhalem — odpowiedział wtedy. — Ale spotkałem w pociągu kolegę i wysiadłem razem z nim. Wie pani, jak to jest.

I uśmiechnął się do niej — trochę swawolnie, a trochę smutno.

Kitty bała się o niego, ale wiedziała, że nie może zrobić niczego, aby mu pomóc. Przemawiała głosem rozsądku, kiedy jego wirujące słowa groziły wymknięciem się spod kontroli, utratą sensu. Zawracała go na właściwą drogę, umożliwiała mu zaczęcie od nowa wtedy, kiedy zbyt energicznie zapędził się w złym kierunku. Równocześnie podziwiała głębię i szlachetność jego myśli. Sojusz istniejący między nimi był sojuszem idealnym. On sprawiał, że ona czuła się jak nauczyciel. A ona nie sprawiała, że on się czuł jak uczeń.

Philip Mills natomiast miał niepokojąco siwe włosy, co powodowało, że Kitty nie była pewna swej roli. Philip Mills sam bowiem był nauczycielem, na dodatek o dobrych kilka lat starszym od niej. Miły, uprzejmy i ostrożny, nosił dwuogniskowe okulary. Kitty ciekawiło czy Mills jest zadowolony ze swego urlopu, czy też rozczarowali go pozostali studenci i ona jako wykładowca. Chociaż dzięki Larterowi nie doznał chyba zawodu. Nie, gdyż pan Mills był dla Lartera tłem, spierał się z nim, zirytowany tym,

co Larter nazywał grą swobodnych skojarzeń i złościł się, nie potrafiąc swobodnie wyrazić swoich uczuć.

— Tragiczne? — pytał. — Co ty mówisz? Jak słowo samo w sobie może być tragiczne? Słowo może mieć tylko tragiczne implikacje.

— Słowo może brzmieć tragicznie — odpowiadał na to Larter i natychmiast przytaczał cały szereg tragicznie brzmiących słów.

— Znowu odbiegasz od tematu — mówił gniewnie

Mills. — Zawsze to robisz. Dużo w tym winy twojego terapeuty.

W takim momencie interweniowała Kitty. Czasami upływało kilka dobrych minut, zanim udało jej się narzucić swoją wolę, doprowadzić do zakończenia ich najzupełniej uzasadnionego sporu i przywrócić jaki taki porządek. Lubiła te epizody, gdyż wówczas miała okazję zademonstrować, że potrafi być sprawiedliwym sędzią. Z przyjemnością obserwowała, jak w kilka minut później obaj gawędzą sobie przyjaźnie, albo jak po seminarium zbierają książki i idą razem na herbatę. Jej stosunki z jednym i z drugim ułożyły się doskonale.

Ale nie z tą przysparzającą kłopotów panną Fair-child, która nie otwierała ust, jeżeli się jej o to nie poprosiło. Kiedy panna Fairchild odczytywała jakąś swoją pracę, przez mniej więcej siedem minut wszystko brzmiało zupełnie sensownie. A potem, po pełnym zdaniu, następowała kropka i panna Fairchild, podnosząc na Kitty swoje przezroczyście oczy, mówiła: — Obawiam się, że nie miałam czasu napisać więcej.

Na takie dictum Kitty nie znajdowała odpowiedzi. Gdyż panna Fairchild była tak śliczna, iż fakt, że w ogóle cokolwiek napisała, wydawał się ustępstwem z jej strony. Nawet Lartera na wpół zahipnotyzowała. Jej długie płowe włosy opadały w prerafaelickich puklach, którymi bawiła się przez całe seminarium. To odrzucała je energicznie na plecy, jak gdyby przygotowując się do wygłoszenia jakiejś kwestii, to znowu nawijała lok na palec, a potem przeciągała nim po wargach i spuszczała przy tym oczy, jak gdyby przypominając sobie coś niezmiernie istotnego. Jej cera, bez względu na to jak gorąco czy chłodno było w małej salce na poddaszu, zachowywała zawsze ten sam złocisty odcień, a zielonkawe

oczy bez mrugnięcia obserwowały spierających się Lartera i Millsa. Panna Fairchild nosiła przeważnie bawełnianą spódnicę i ciemnoniebieski sweter. Kitty przypuszczała, że ten sweter był pożyczony od brata, gdyż jego rękawy prawie zakrywały jej dłonie. Obfity biust panny Fairchild wypełniał niemal bez reszty przód tego swetra.

Obaj mężczyźni, za obopólną milczącą zgodą, pomijali pannę Fairchild w swoich dyskusjach. Ale Kitty, dla której milcząca obecność tej dziewczyny była źródłem jakiegoś nieokreślonego niepokoju, jak dobra gospodyni regularnie kierowała do niej swoje pytania. Panna Fairchild odchrząkiwała wtedy, zdejmowała nogę z nogi albo zmieniała pozycję zmysłowym ruchem nie pasującym do sytuacji. Czasami odpowiadała z sensem, miała jednak tyle sprytu, że pozwalała Larterowi przejmować swoje argumenty, co on czynił, nie zauważając nawet, że coś go skłoniło do działania. W takich chwilach panna Fairchild uśmiechała się blado, odrzucała włosy do tyłu, a potem pozwalała im opaść na twarz. Kitty właściwie bała się jej. Wiedziała, że panna Fairchild należy do osób, których nie można niczego nauczyć i już samo to przerażało ją. Jednak sprawa nie kończyła się na tym: panna Fairchild była taka odporna na wiedzę, bo uważała, że wie już wystarczająco dużo.

— Czy mogliby państwo wymienić — zapytała Kitty spokojnie — kilka z tych *tristes équivoques*, o które Adolf oskarża sam siebie?

— Tak prawdę mówiąc — odparł Larter — nie ma tam w ogóle żadnych dwuznaczników. — Tu zaciągnął się potężnie dymem z ósmego papierosa. — Adolf postanawia uwieść tę kobietę, a potem jest nią znudzony i chce wrócić do bardziej stosownego trybu życia. A ona kurczowo się go trzyma. Jego słabość w obliczu jej cierpienia to nie dwuznacznik. To tchórzostwo.

— Ale Adolf sam określa to cierpienie innymi słowami. I jest w stanie konfliktu. Stąd te *équivoques*. Proszę przyjrzeć się słowom i bardziej im zaufać. W końcu tę powieść napisał Constant, a nie pan. A powieść to nie jest po prostu wyznanie, to nie spowiedź. W powieści istotne są słowa autora, ich dobór.

Mills zastanowił się głęboko.

— On nigdy nie używa słowa *amour*.

— Używa — zaprzeczyła Kitty. — Ale mówi o miłości jako o zjawisku, a nie uczuciu do konkretnej kobiety. Przepraszam, że tak wbijam to państwu do głów, ale państwo muszą nauczyć się zauważać, w jaki sposób pisarz posługuje się słowami, w jakich kontekstach ich używa. Słowa powiedzą wam wszystko. Eleonora natomiast uważa, że Adolf jest *misérable*. Co pani o tym sądzi, panno Fairchild?

Panna Fairchild podniosła swoje zadziwiające powieki i uśmiechnęła się przy tym do siebie, Kitty zaś obawiała się, że rozbawiło ją pytanie.

— Więc — zaczęła powoli — ta kobieta narzuca mu się i naprzykrza. Jest na dodatek stara i jest cudzoziemką. Rujnuje mu karierę. Oczywiście jest niesprawiedliwa.

Kitty, próbując opanować irytację, powiedziała łagodnie:

— Niezupełnie o to mi chodziło. Żadne z tych słów nie zostało użyte przypadkowo. Słowo *misérable* pojawia się tutaj, gdyż w grę wchodzi wielki wstyd. Skąd o tym wiemy?

— Z przedmowy — wtrącił Larter, podekscytowany.

— Tak, z przedmowy. Niektórzy uważają, że przedmowa jest najważniejszą częścią tej książki, mimo że została dopisana po kilku latach. Dokładnie mówiąc, po dziesięciu. Myślę, że dobrze by było,

gdybyśmy teraz przetłumaczyli przedmowę. Wiernie, bez ozdobników, proszę. Panie Mills?

Pan Mills założył swoje dwuogniskowe okulary.

— „Chciałem opisać chorobę dokuczającą nawet najbardziej oschłym sercom wskutek cierpień powodowanych przez nie same oraz złudzenie, które sprawia, że uważają one, że one...”

— „Że te cierpienia” — odpowiedziała cicho Kitty.

— „Że te cierpienia są mniej dojmujące lub mniej głębokie niż w rzeczywistości. Z pewnej odległości obraz smutku, który człowiek sam powoduje, wydaje się temu człowiekowi mglisty i niewyraźny, jak chmura, którą łatwo jest rozproszyć. Człowiekowi dodaje przy tym odwagi aprobatą społeczeństwa, które zastępuje zasady etykiety, a wzruszenia...”

Tu przerwał.

— *Convenances* — powiedziała Kitty. — To trudne słowo, prawda? A jednak to słowo jest najważniejsze w całym akapicie.

— Konwenansami? — podrzucił Larter.

— Tak sędzę. Zresztą zobaczymy. Proszę dalej. Philipie.

Za każdym razem, kiedy dyskusja wciągała ją bez reszty, Kitty zwracała się do swoich studentów po imieniu. W takich chwilach czuła, że są jej w jakiś sposób bliscy. Teraz nawet panna Fairchild patrzyła na Millsa, chociaż jej dłonie były schowane w rękawach swetra.

— „...które zastępuje zasady etykiety, a wzruszenia konwenansami i które potępia skandal jako coś niewygodnego, a nie jako coś niemoralnego, gdyż ono...”

— To społeczeństwo — odpowiedziała Kitty.

— „...gdyż to społeczeństwo godzi się z występkiem, z którym nie łączy się skandal. Uważa się...”

— „Człowiek uważa więc...”

— „Człowiek uważa więc, że związki zadziergnięte bez zastanowienia można zrywać, nie wyrządzając przy tym żadnego zła”.

— Zapamiętajcie to zdanie — powiedziała Kitty- — To o tym jest cała powieść.

Pan Mills, zupełnie nie poruszony tym, co czyta, spojrzął na Kitty znad okularów i zapytał, czy ma tłumaczyć dalej. Kitty odpowiedziała, że tak.

— „Ale kiedy się widzi udrekę, która jest skutkiem zerwania tych więzów, kiedy się widzi bolesne zdumienie oszukanej duszy, kiedy się widzi ten bunt...”

— Tę nieufność — mruknęła Kitty.

„Tę nieufność, która następuje po pełnym zaufaniu...”

„Tę nieufność, która zastępuje bezgraniczną ufność” — wtrącił Larter, zdumiony, z wyrazem cierpienia na twarzy.

Przynajmniej jedno z nich zaczyna wiedzieć, o co chodzi, pomyślała Kitty, a głośno powiedziała:

— Proszę jeszcze raz przetłumaczyć to zdanie Philipie.

— „Ale kiedy się widzi udrekę, która jest skutkiem zerwania tych więzów, kiedy się widzi bolesne zdumienie oszukanej duszy, kiedy się widzi tę nieufność, która zastępuje bezgraniczną ufność i która, skierowana w stronę jednej jedynej istoty wyodrębnionej ze świata, rozciąga się na cały świat, kiedy się widzi szacunek — podkopany i nie dający się odzyskać, dochodzi się do wniosku, że w sercu cierpiącym przez to, że kocha, jest coś świętego i odkrywa się, jak głębokie są korzenie tego uczucia, którego człowiek był przedmiotem, nie dzielając go. I jeżeli wtedy człowiek pokonuje to, co zwie słabością, odbywa się to kosztem zniszczenia w nim całej wspaniałomyślności, całej wierności, kosztem poświęcenia tego wszystkiego, co było w nim szlachetne i dobre. Po takim zwycięstwie znajdującym poklask

u przyjaciół i znajomych, człowiek powstaje, skazawszy na śmierć tę część własnej duszy, która skłania się ku współczuciu, wykorzystawszy słabość i obraziwszy moralność, którą potraktował jako pretekst do okrucieństwa. Po takim zwycięstwie człowiek powstaje jako ten, co przeżył śmierć lepszej części swej natury, zawstydzony swoim smutnym sukcesem albo sprowadzony przez ten sukces na manowce. Oto obraz, który chciałem odmalować w tej powieści".

Przez chwilę wszyscy milczeli. Nawet w tym dość nieudolnym tłumaczeniu dawał się wyczuć smutek pisarza. I jego kunszt. Kitty odetchnęła głęboko.

— A teraz, Jane — powiedziała — czy wciąż uważa pani, że można zlekceważyć słowo *misérable* w ustach Eleonory? Tylko proszę pamiętać, że ono nie znaczy „nieszczęśliwy”. Ono znaczy „nikczemny”, „nędzny”. Jednym z wczesnych znaczeń słowa *misère* jest „bieda”, „nędza”.

Panna Fairchild uśmiechnęła się. Kitty postanowiła potraktować ten uśmiech jako oznakę zgody. Odchrząknęła.

— Mówimy tu w istocie o stanie pewnego bankructwa — powiedziała. — Mimo że dzieło jest całkiem pozbawione plastycznych opisów, mimo że jest napisane w konwencji suchej osiemnastowiecznej opowieści moralizującej, nie ma w nim osiemnastowiecznego optymizmu. Czy jest w nim coś, co było nie do pomyślenia w osiemnastym wieku?

— Rozpacz — powiedział Larter.

— Dobrze — potwierdziła Kitty. — Jaka rozpacz?

Larter zdjął okulary, potarł oczy i wygłosił piętnastominutowy referat na temat romantycznej rozterki. Rozterka ta, według Lartera, a właściwie według Chateaubrianda, wynikała z załamania się norm moralnych, jakie nastąpiło podczas Rewolucji, z odrzucenia tego, co nadprzyrodzone, z sekularyzacji kościołów i z wygnania księży, z tego, że usiłowano

żyć zgodnie z osiemnastowiecznymi regułami humanizmu, żyć bez pobożności, bez wiary i bez pocieszenia. Okazało się, że utraconego Boga trudno jest odnaleźć. Człowiek epoki Romantyzmu, człowiek bez Boga, musiał zachowywać się jak egzystencjalista i doświadczał poczucia izolacji.

— Tak — powiedziała Kitty. — Człowiek epoki Romantyzmu zatracił pierwotną harmonię i odkrył nowe powikłania. Niektórzy już w osiemnastym wieku przewidywali, że to się może zdarzyć. Pamiętacie, że Madame du Deffand pytała Woltera, co proponuje w miejsce dawnych wierzeń. Przeczuwała przyszłe kłopoty.

Pan Mills zaoponował, twierdząc, że nie można dokonywać takiej projekcji i przypisywać postaw charakterystycznych dla egzystencjalizmu ludziom żyjącym w dziewiętnastym wieku.

— A właśnie, że można — upierał się Larter. — Egzystencjalizm jest zjawiskiem romantycznym — orzekł, po czym wygłosił dziesięciominutową mowę na temat egzystencjalizmu.

— Ogólnie mówiąc, ma pan chyba rację — stwierdziła Kitty. — Ale nie doszliśmy jeszcze do pojęcia absurdu. Bohater powieści doświadcza bólu dlatego, że odzywa się jego sumienie. Nie tłumaczy tego działaniem jakiejś ogólnej reguły. Mamy tu do czynienia z chwilą, w której objawia się najwyższej próby moralność. Chciałabym odesłać was jeszcze raz do słów. — Spojrzała w tekst. — *Imprudences. Règles sévères. Faiblesse. Douleur profonde.* Wybieram je w tej chwili na chybił trafił. — Spojrzała pod stołem na zegarek. — Proszę na przyszły tydzień przygotować pełną listę takich słów. Sądzę, że mając je przed sobą, osiągniemy lepsze zrozumienie pojęcia romantycznej rozterki. To wszystko na dzisiaj. Zamknęła książkę z uczuciem przyjemnego zmęczenia. W takie popołudnia, skoro już raz pokonała

pojawiającą się na początku nerwowość, nie czuła, że się trudzi. Czuła natomiast, że pozostawiła gdzieś za sobą własne, sprawiające kłopoty, codzienne ja, a wraz z nim wszelkie problemy związane z narodowością, religią, tożsamością, własnym miejscem w świecie, a także z gotowaniem kolacji; czuła, że pozostawiła gdzieś za sobą wszystkie myśli o czekającej ją być może samotności, o chorobach i śmierci. W takich chwilach wkraczała w sferę znaczeń wywodzących się ze słów napisanych przed blisko dwustu laty i te słowa, użyte przez pisarza dla jej oświecenia, rzeczywiście uczyły ją czegoś.

Pan Mills zdjął swoje dwuogniskowe okulary i włożył je do etui. Larter przeciągnął się i ziewnął. Powietrze było niebieskie od dymu i ciężkie. Panna Fairchild uwolniła ręce i zamknęła zeszyt, w którym nie zapisała ani słowa. Nigdy zresztą tego nie robiła.

Kitty Maule, ze zwykłą sobie skrupulatnością, powiedziała studentom „do widzenia” i poczekała aż się oddalą na tyle, że nie będzie ich słyszeć. Po ich odejściu ogarnęła ją cisza, jaka zwykle towarzyszy samotności. Jestem za młoda, by wieść takie życie, powiedziała bezgłośnie Kitty i zaraz zastanowiła się, dlaczego ta myśl przyszła jej do głowy. Zapragnęła przyłączyć się do studentów, kontynuować dyskusję, iść do przystanku autobusowego wraz z Millsem i Larterem. Zapragnęła jechać do domu w jakimś towarzystwie, a ściślej mówiąc w towarzystwie Mau-rice'a. Nie lubiła powrotów do domu. Nie lubiła czekać na peronie i patrzeć zmęczonymi oczami na zlewające się światła. Nie lubiła czuć w ustach przykrego smaku herbaty z dworcowego bufetu. Nigdy nie udawało jej się czytać w pociągu. Tego właśnie dnia, po zajęciach, w porze zanikania światła, między piątą a szóstą, była tak zmęczona, że dała się ogarnąć głębokiemu przygnębieniu. Już w Londynie wzięła taksówkę, traktując to jako porażkę, a nie

relaks. Otwierając frontowe drzwi bardzo chciała, żeby ktoś był w domu. Równocześnie jednak wiedziała, że musi wykazać sporo sprytu, by uniknąć spotkania z Caroline, swoją sąsiadką, rozwódką. Caroline była zawsze gotowa uciąć sobie pogawędkę i uważała, że inni powinni wykazywać taką samą gotowość. Kiedy Kitty wracała do domu, drzwi mieszkania Caroline otwierały się kusząco, a Caroline mówiła:
— Och, Kitty, jestem taka przygnębiona. Bardzo cię proszę, wejdź i porozmawiaj ze mną.

— Chwileczkę, Caroline — odpowiadała na to Kitty. — Muszę odłożyć te książki. Wpadnę do ciebie później.

Znalazszy się w swoim mieszkaniu, zapalała światła i telefonowała do babki, żeby się dowiedzieć czy wszystko w porządku. Tego wieczoru telefon, jak zwykle, odebrał Papa. Kitty usłyszała dźwięki płynące z telewizora — wybuchy przymilnego śmiechu i oklaski. Dziadkowie zawsze nastawiali telewizor zbyt głośno. Vadim nigdy jej nie mówił, jak rzeczy mają się naprawdę. Jemu wszystko wydawało się zawsze najlepsze na tym najlepszym z możliwych światów: Louise miała dobry dzień, na jutro zapowiadano deszcz, więc pamiętaj, weź parasolkę, na lunch jedliśmy pyszną zupę cebulową — taką łatwą do przygotowania — może chcesz, żebym przyjechał i ugotował taką samą dla ciebie? To by potrwało tylko parę minut. Nie? Oczywiście, Louise czuje się dobrze, jest może trochę zmęczona, ale cóż, nie jesteśmy już tacy młodzi, kochanie, w tym wieku to normalne. Potem Vadim pytał ją, co będzie jadła i czekał w skupieniu na odpowiedź. Kitty, która miała zamiar zjeść grzankę z czymkolwiek, skłamała, że zje kotlet z sałatką.

— Nigdy nie lekceważ jarzyn — poradził jej Vadim z głębokim zaangażowaniem. — I sera. I nie pij za dużo kawy.

Kitty obiecała, że nie będzie.

— Czy mogę powiedzieć „dobranoc” Maman Louise? — zapytała, żeby skończyć z tematem jedzenia.

Nastąpiła przerwa. Odłożona na bok słuchawka wychwytywała dźwięki, które stały się teraz wyraźniejsze. Kitty usłyszała skrzypienie podłogi i kroki, ciężkie kroki, a potem ciężki oddech.

— No, jak tam, *ma filie*? — odezwała się Louise. — Miałaś dobry dzień?

— Tak, dobry — odrzekła Kitty.

— Byłaś ubrana na niebiesko?

— Tak — potwierdziła Kitty.

— Powieś sukienkę natychmiast — poradziła jej Louise. — Z plisowanymi rzeczami nigdy za dużo ostrożności. No i pamiętaj, bibułka do butów.

— Oczywiście, zawsze — zgodziła się Kitty. — Nie martw się, zawsze robię tak, jak mówisz.

Louise milczała przez chwilę, a w jej milczeniu było niedowierzenie. A później powiedziała:

— Dobranoc, moja gołąbeczko. Śpij dobrze. Do jutra.

Kiedy Kitty odłożyła słuchawkę, zapanowała cisza. Ta uliczka jest taka spokojna, pomyślała. Nigdy nie lubiła opowieści, które się zaczynały od zdań takich jak: „W mieście H..., w prowincji O...”. Wydawało jej się, że ich autorzy zamykają jej jako czytelniczce bramę przed nosem. Akcja *Adolfa* rozgrywa się „*dans la petite ville de £*)...”. Odmawiając w ten sposób podania dopełniających szczegółów tła, autor takiej opowieści czyni z niej swego rodzaju przypowieść, zmusza czytelnika do poszukiwania uniwersalnych znaczeń, których w utworze może nie być. Kitty pomyślała o swoich dziadkach. Ich miłość nie była dla niej pocieszeniem, była raczej ciężarem. Kitty wiedziała, że może jeść nie wiadomo ile i ubierać się nie wiadomo jak elegancko, a dziadkowie i tak

nigdy nie pogodzą się z trybem życia, jaki prowadzi. Nie mogła też zakomunikować im tego, co pragnęliby usłyszeć. Nie opowiadała dziadkom nigdy co robiła, bo im się wydawało, że nie robi nic. Nie zrozumieliby dylematów moralnych z powieści o Adolfie, i Kitty miała dość poczucia przyzwoitości, aby oszczędzić im opowiadania o sukcesie odniesionym tego popołudnia. Bo to był sukces — powiedziała sobie. Człowiek wie, kiedy odnosi sukces. Jej wewnętrzny pejzaż był tak nagi, tak pozbawiony plastycznych obrazów jak powieść Constanta. Nie mogła nawet powiedzieć o tym Maurice'owi, gdyż jego świat stanowił spójną całość, w jego świecie sukces na każdym polu był czymś, co się przyjmowało bez afektacji jako rzecz oczywistą. A ponadto, w tym świecie wszyscy byli aktywni i harmonijni wewnętrznie. Matka przychodziła czasami na jego wykłady i miała zwyczaj jeździć sama do przyjaciół w Szkocji lub we Włoszech. Do przyjaciół, którzy mieli tam własne domy.

To jest kwestia uwarunkowania, pomyślała Kitty Maule, wieszając spódnice. Ja funkcjonuję dobrze tylko w jednej sferze, a wszystkie inne sfery wymagają ode mnie codziennego namysłu. Być może zapuszczę korzenie w jakiś fragment angielskiego gruntu, być może jakoś zjednoczę się z tym, co angielskie. Bo potrafię się uczyć. Potrafię zrozumieć, a nawet krytykować. Nie potrafię się tylko pojednać. Muszę nad tym popracować.

Tej nocy w snach Kitty pojawiły się nieproszone słowa: „*Mais quand on voit l'angoisse qui résulte de ces liens brisés...*”², ale nie pamiętała dalszego ciągu.

²„Ale kiedy widzimy mękę wynikłą ze skruszenia tych więzów...” Benjamin Constant, *Adolf*, przełożył Tadeusz Żeleński (Boy).

V

Kitty patrzyła, jak Maurice zanurza łyżkę w cytrynowym puddingu. Obserwowała go, dopóki nie skończył jeść i nie odrywała od niego oczu, kiedy brał sobie dokładkę. A Maurice jadł z powagą, nie podnosząc wzroku znad talerza.

— Dobry? — zapytała Kitty.

— Wszystko, co ty robisz, jest dobre — odpowiedział, wyskrobując talerz.

Kitty odczuła taką przyjemność, że aż się zarumieniła. Maurice nigdy przedtem nie mówił do niej w ten sposób.

— Naprawdę — dodał. — Redmile jest bardzo z ciebie zadowolony.

Wygląda na to, że z tą jego grupą zdołałaś cuda. Jest zachwycony.

Radosne podniecenie opadło, gdyż sukcesy zawodowe miały dla Kitty mniejsze znaczenie, były czymś mało ważnym w porównaniu z ryzykiem, jakie podejmowała, usiłując zadowolić Maurice'a. A poza tym z dydaktyką potrafiła dawać sobie radę sama, bez odwoływania się do Maurice'a i bez jego pomocy. Mimo to jednak, wzdychając w głębi duszy, podjęła temat. Podjęła go, bo on tego chciał. No i dlatego, że w końcu był u niej,

siedział tu, w jej mieszkaniu i tak naprawdę liczyło się tylko to.

— Łatwo sobie z nimi dać radę — powiedziała, ustawiając na tacy stertę pustych talerzy. — Lartera oczywiście znasz. — Wszyscy znali Lartera, który dostał ostrzeżenie za wałęsanie się w pobliżu fabryki rowerów i który był zdolny do różnych żenujących wybryków. — Larter jest po prostu genialny. Mills natomiast wróci do swojego college'u i nikt nigdy o nim nie usłyszy. Ale jest bardzo miły. Martwię się tylko o pannę Fairchild. Nie udaje mi się wykrzesać z niej niczego sensownego. Czy wypijemy kawę przy oknie?

Maurice wyjął papierosa z ust Kitty, włożył go do własnych ust, a potem go jej zwrócił.

— Jane Fairchild? — zapytał. — Moja matka uważa ją za dość inteligentną.

— Twoja matka? — zdumiała się Kitty, biorąc od niego papierosa.

— Jane mieszka niedaleko nas, w Gloucestershire. Jej rodzice przyjaźnią się z moimi.

— Jest naprawdę śliczna — powiedziała Kitty, przetrawiając tę wieść.

— Tak, to dość ładna dziewczyna.

Maurice przeniósł się na sofę, wyciągnął nogi,

1 krzyżując ręce za głową, zsunął się tak, że prawie leżał. Wzrok Kitty zatrzymał się z miłością na pogniecionych poduszkach. Te poduszki podczas jego nieobecności były zawsze takie gładkie i Kitty nie znosiła ich w tym nieskazitelnym stanie.

Po chwili Maurice odwrócił się w jej stronę i uśmiechnął się.

— Gdzie jest ta kawa? — zapytał.

Kitty zrobiła kawę i podała mu ją. Pili w milczeniu. Po jakimś czasie Kitty zapytała Maurice'a o podróż do Francji.

— Już prawie wszystko załatwiłem — odpowie-

dział i poklepał sofę koło siebie, dając jej tym znak, żeby usiadła.

Kitty czekała, chcąc usłyszeć coś więcej, ale wyglądało na to, że temat został wyczerpany. Maurice mruknął tylko, że w przyszłym tygodniu będzie musiał oddać samochód do przeglądu.

— Więc jedziesz? Kiedy dokładnie?

— Och, za jakieś trzy, cztery tygodnie. Zaraz po zakończeniu trymestru. Właściwie to mógłbym wymknąć się trochę wcześniej. I zostanę tam do ostatniej chwili. Bo wiesz, ja nie jadę po to, żeby tak po prostu zwiedzić te katedry. One znaczą dla mnie o wiele więcej.

Kitty spojrzała na niego. Jego twarz, pozbawiona w tej chwili wiecznie obecnego uśmiechu, była surowa, smutna. Kitty nigdy dotąd nie widziała go w takim nastroju.

— O co chodzi, kochanie? Jesteś przygnębiony?

— Nie, moja droga. Nigdy nie bywam przygnębiony.

„Kochanie”, „moja droga”. Kitty zarejestrowała tę ich zwykłą wymianę czułych słówek. Rejestrowała ją za każdym razem.

— Nigdy nie bywasz przygnębiony? — zapytała, udając spokój i starając się zachować równowagę umysłu. — Wątpię czy ktokolwiek może o sobie powiedzieć coś takiego. Ja jestem przygnębiona prawie bez przerwy.

Maurice odwrócił głowę w jej stronę i przywołał uśmiech na usta.

— Kitty — powiedział. — Kitty. Ty jesteś zupełnie pozbawiona wiary, prawda?

— No tak, to prawda — przyznała. — A skąd to wiesz?

Uśmiechnął się szerzej, widząc wyraz jej twarzy.

— Człowiek wierzący zawsze wyczuwa brak wiary w tych, którzy są jej pozbawieni. Ty, moja najmilsza,

żyjesz w świecie niewiary. Dlatego jesteś spięta. Nie masz pojęcia, jak proste jest życie, kiedy człowiek wie, że ktoś się o niego troszczy. Jak łatwo jest wtedy przetrwać cios po ciosie.

— Czy to Bóg organizuje te ciosy? — zapytała Kitty dość cierpko.

— Kto to wie.

— Więc w co ty tak naprawdę wierzysz? Maurice wyjął ręce z za głowy i usiadł, pochylając

się w przód, opierając łokcie na kolanach i patrząc w podłogę.

— Wierzę w Opatrzność — powiedział.

Kitty przestraszyła się. Maurice tego wieczoru był dziwny, zamknięty w sobie, bardziej niż kiedykolwiek pogrążony w swoim prywatnym świecie, do którego bronił jej dostępu. A ona po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że jest on dorosłym człowiekiem, mężczyzną, a nie po prostu zjawiskiem i jakimś niespodziewanym gościem w jej życiu, że jest istotą ludzką naznaczoną własnym doświadczeniem i zaczynającą okazywać, że to doświadczenie pozostawiło na niej piętno, człowiekiem, którego pełne wdzięku ciało ma własne nieuniknione słabości.

Położyła dłoń na jego ramieniu.

— Maurice — powiedziała łagodnie. — Mówiąc

0 Opatrzności, nie wyglądasz na zbyt szczęśliwego. Co ci dolega?

Milczał przez dłuższą chwilę. A potem splótł ręce między kolanami i, patrząc w podłogę, jak gdyby tam nagle zmaterializował się jakiś obraz

— fascynujący, wprawiający go niemal w zachwyt, powiedział:

— Brak mi tej, którą kocham.

Kitty siedziała bez ruchu. Poczowała się bardzo nieszczęśliwa — zarówno ze względu na niego, jak

1 na samą siebie. Latarnia za oknem rozplynęła jej się przed oczami. Ale Kitty zaczęła wpatrywać się w nią

z takim zdecydowaniem, że po chwili znowu zobaczyła ją wyraźnie.

— To wszystko, drodzy państwo — zakrzyknął dziarski głos z radia w mieszkaniu Caroline i zalecił słuchaczom, żeby uważali na siebie i słuchali audycji za tydzień o tej samej porze.

Kitty odwróciła głowę i spojrzała na Maurice'a.

— Nie opowiesz mi o tym? — spytała tonem takim jak zwykle.

Maurice wciąż siedział ze wzrokiem wbitym w podłogę, ze splecionymi dłońmi i z ponurą miną. Po dłuższej chwili odwrócił się w jej stronę i popatrzył na nią tak, jakby była osobą zupełnie mu obcą. Kiedy zaczął mówić, wydawało się, że jego głos dobiega z daleka, gdzieś z głębi jego czaszki, że wędruje po takich przestrzeniach życiowych doświadczeń, o jakich Kitty nie miała dotąd pojęcia.

— Opowiedzieć ci o tym? Tu nie ma nic do opowiadania.

— Ależ Maurice — odezwała się Kitty ze smutkiem. — Czy ty nie masz do mnie zaufania?

Uśmiechnął się do niej, ale uśmiech zaraz zniknął z jego twarzy, a on znowu wbił wzrok w podłogę.

— To nie to — usprawiedliwił się. — Tylko widzisz, tu naprawdę nie ma o czym mówić. Byłem w tej dziewczynie zakochany i mieliśmy się pobrać, ale ona odkryła w sobie powołanie. Pracuje z Matką Teresą, w Kalkucie. To wszystko.

— Jak ma na imię? — zapytała Kitty.

— Lucy. Ma na imię Lucy. Znam ją od dziecka. Zawsze się kochaliśmy. Nasi rodzice byli sąsiadami.

Przerwał, ale Kitty wyczuła, że teraz jest gotów mówić.

— Mam zrobić jeszcze kawy? — zapytała.

— Tak, czemu nie.

Poszedł za nią do kuchni, tak jakby nie chciał

zostać sam. Jego obecność oraz słowa, które właśnie usłyszała, wprawiły Kitty w stan takiego niepokoju, że rozlała trochę wody z czajnika. Wzięła ścierkę do naczyń i starła nią krople z podłogi.

— Jesteś taka sama jak Lucy — powiedział Maurice. — Lucy była najnieporządniejszą osobą, jaką w życiu spotkałem.

— Bardzo ją kochałeś? — zapytała Kitty, pragnąc, żeby dłonie przestały jej drżeć.

— Tak, oczywiście. Tak bardzo, że wystarczy mi to na resztę życia. Mam wziąć tę tacę?

Znowu usiedli, nic nie mówiąc. Hałaśliwa muzyka dobiegająca z sąsiedniego mieszkania świadczyła o zmianie w programie radiowym. Po chwili Maurice westchnął.

— Wiem, że ona modli się za mnie — powiedział. — Tak jak ja modłę się za nią. Wiem, że nigdy nie będziemy sobie bliżsi niż teraz. — Znowu westchnął. — Tak się męczę, nie mogąc z nią porozmawiać. My zawsze wszystko sobie mówiliśmy. A teraz nie mam nikogo, z kim mógłbym rozmawiać.

Kitty wzięła go w ramiona i kiedy tak siedziała w zapadającej ciemności, trzymając go w objęciach, czuła, że ogarnęło ją zdumienie i że wielki smutek zalewa jej serce.

Maurice pierwszy uwolnił się z uścisku i, ku zdziwieniu Kitty, bardzo prędko odzyskał równowagę. Na jego twarzy pojawił się znowu zwykły uśmiech — nieuchwytny, miły i zabraniający zadawania bardziej dociekliwych pytań. Maurice wypił zimną kawę i wyciągnął rękę z filiżanką, prosząc o więcej. Kitty, świadoma, że ten wieczór ma doniosłe znaczenie dla całej ich znajomości, a równocześnie przestraszona tym, co usłyszała i niepewna jak po tym wszystkim ułożą się ich stosunki, poszła do kuchni. Nie panowała nad rękami, które stały się

niezwykle ruchliwe. Powinien był mi o tym powiedzieć wcześniej, pomyślała. Zrozumiałabym go. Ale brak mi było informacji. Po prostu brakowało mi informacji.

Wracając do Maurice'a na sofę z kolejną, niechcianą kawą, zapytała:

— Czy wciąż jesteś po stronie Boga?

Zadając to pytanie, kierowała się szczerą ciekawością.

Maurice uśmiechnął się jakimś intensywnym, trudnym do opisanie uśmiechem.

— Nie rozumiesz — powiedział. — Bóg jest po mojej stronie. Dał mi całe lata szczęścia i miłości, która nigdy nie zginie. Uważam się za człowieka żonatego. To proste. Aż tak proste.

Och, Maurice, pomyślała Kitty. Nigdy nie będę wiedziała, co czujesz. Ta wewnętrzna siła. Ta czystość. Ja po prostu chcę z kimś żyć. Chcę zacząć prawdziwe życie. Chcę ciebie. A ty nie pragniesz nikogo.

— Maurice — zaczęła, biorąc go za rękę. — Ja naprawdę to rozumiem.

Proszę cię, bardzo cię proszę, zaufaj mi. Jestem twoim przyjacielem.

Maurice pocałował jej dłoń.

— Oczywiście. Ja ci ufam. Moja kochana Kitty. Oboje zdali sobie sprawę, że jest to chwila, w której

Maurice powinien wyjść, że tego wieczoru niczego więcej nie mogą sobie powiedzieć. Mimo to Kitty jak nigdy dotąd pragnęła, żeby został.

— Maurice — zapytała w chwili, gdy on szukał w kieszeniach kluczyków od samochodu. — Kiedy to wszystko się stało?

— Trzy lata temu — odrzekł, a potem, kiedy już znalazł kluczyki, pocałował ją lekko w policzek i wyszedł.

Trzy lata temu zmarła Marie-Thérèse — szybko, spokojnie, bez dobrodziejstwa niesionego przez kap-

lana, bez pewności, że jej udziałem stanie się wieczne pocieszenie, błędząc dłońmi wśród skorupki orzechów. W domu nigdy o niej nie rozmawiali, a Kitty mało o tej sprawie myślała. Była jednak świadoma, że od śmierci Marie-Therese świat stał się chłodniejszy, że szczerzy głos matki nigdy już nie zada jej swoich pospiesznych pytań, że z jej życia zniknęła nieco nieśmiała pewność, co jest właściwe, a co nie, pozostawiając po sobie jakąś ostrożność, lękliwość, brak wiary. Ta żrąca jak rdza pozostałość często hamowała jej swobodniejsze porywy i teraz Kitty, za każdym razem kiedy chciała zaufać swym wcześniejszym, pierwotniejszym skłonnościom pozwalającym jej wierzyć w to, że jest bezpieczna, musiała zmagać się sama ze sobą. Poczucie bezpieczeństwa odzyskiwała jedynie wśród książek. A tego wieczoru, w chwili która miała tak doniosłe znaczenie dowiedziała się, że istnieje poczucie bezpieczeństwa wykraczające poza to, co kiedykolwiek знаła, że miłość może uczynić życie tak zachwycającym, że samo jej wspomnienie czyni człowieka odpornym na ciosy. Ona sama nie była odporna. I marzyła o tym, by zaznać takiej odporności, by być kochaną w taki sposób, żeby nawet po rozstaniu nie czuć się nigdy samotną. Zastanowiła się czy w jej życiu, czy w niej samej jest coś, co mogłoby wzbudzić taką miłość i doszła do wniosku, że nic takiego nie istnieje, a ona, Kitty Maule, nie może się nawet porównywać z tamtymi dwojgiem. Może to dlatego, że, jak powiedział Maurice, brakowało jej wiary? Może to dlatego, że była spięta i nie potrafiła brać życia bardziej lekko, przyjąć istnienia i obecności Maurice'a jako czegoś naturalnego? No bo przecież z pewnością stanowili parę drogich sobie przyjaciół? I na pewno on nie rozmawiałby z nikim innym tak, jak rozmawiał z nią tego wieczoru?

Ale ja chcę więcej, pomyślała, wycierając energicznie nos. Ja nie chcę być godna zaufania. Nie chcę być kimś, kto daje poczucie bezpieczeństwa, zapewnia dyskrecję, rozumie, współczuje i pociesza. Nie chcę też być kimś, na kim można polegać, i kto jest zdolny zdziałać cuda z grupą profesora Red-mile'a. Nie obchodzi mnie nawet, co stanie się z Larterem. Nie chcę być dobra, nie chcę wszystkich zadowalać. Nie chcę nawet tak dobrze gotować, pomyślała, odkręcając kurek i opłukując miskę pokrytą jak rdzą plamami po zupie ze świeżych pomidorów. Chcę być nierozsądna, niesprawiedliwa, bardzo wymagająca i bardzo piękna. Chcę być częścią prawdziwej rodziny. Chcę, żeby żył mój ojciec. Nie chcę, żeby babka mówiła mi, w co mam się ubierać. Wolałabym chodzić w dżinsach i starych swetrach należących do mojego brata, którego oczywiście nie mam. Nie chcę spędzać życia w tym okropnym ciasnym mieszkaniu. Chcę dostać prezenty ślubne. Chcę być połową uznawanej przez otoczenie pary. Pragnę, żeby otwierała się przede mną przyszłość, w której nie będę skazana na życie w tym miejscu. Pragnę Maurice'a.

— Caroline — powiedziała, wychodząc na podest z policzkami purpurowymi z emocji. — Czy mogłabyś przyciszyć radio? Mam odkręcony kran, a słyszę każde słowo prognozy pogody dla rybaków. Drzwi mieszkania Caroline otworzyły się, odsłaniając jego właścicielkę w szyfonowym szlafroku w jasnoniebieskie i fioletowe kwiaty, ozdobionym pod szyją ni mniej, ni więcej tylko piórami, i w rannych pantoflach bez pięt na bardzo wysokich obcasach. Paznokcie stóp Caroline pomalowała sobie mieniącym się lakierem w kolorze śliwkowym. Jej pomarańczowe włosy błyszcząły. Caroline była umalowana, jakby oczekiwała gościa, który się jednak nie pojawił. Albo raczej odszedł dawno temu. Tak, ten

gość — jej mąż, któremu tak bezustannie urągała, odszedł dawno temu. Kitty czasami żałowała, że kiedyś, wiedziona impulsem, dopuściła do tego, że między nią a Caroline zaistniało coś w rodzaju przyjaźni. Było to zaraz po tym jak sprowadziła się tutaj. Caroline odwiedziła ją, a ona poczuła do niej sympatię, gdyż Caroline zdawała się być dobrze ubrana, co tak rzadko zdarzało się wśród kobiet z kręgów uniwersyteckich. Spędziły razem kilka wieczorów, wymieniając uwagi na temat sposobu ubierania się, a potem Kitty uświadomiła sobie ze wstydem, że Caroline jest okropnie nudna. Albo że ona sama — jak pomyślała z właściwą sobie skrupulatnością — jest okropnie znudzona. Caroline żyła z alimentów i chodziła do wróżek, żeby się przekonać czy jej los się odmieni. Spędzała większość dni starannie ubrana i umalowana, wędrując po magazynie Harrodsa. Wyglądało na to, że w jej życiu dzieje się bardzo niewiele, mimo że miała do opowiedzenia mnóstwo historii ze swoich dawnych małżeńskich czasów: o przyjęciach, wycieczkach morskich, o weekendach spędzanych w domach różnych ważnych osób.

— Dlaczego ja za niego wyszłam? — zastanawiała się stale.

Dlaczego on cię opuścił? — myślała Kitty, chociaż uprzejmość nie pozwalała jej o to zapytać. Ostatnio raczej bała się wspomnień Caroline i unikała sąsiadki. Pewnego razu widziała ją idącą wzdłuż Old Church Street, prawdopodobnie po dniu spędzonym u Harrodsa. Caroline miała oczko w rajstopach i niosła parasolkę oraz dwie dość pomięte plastikowe torby. Kitty pomyślała wtedy, że jej sąsiadka stanowi przykład kobiety, która się stacza. Przejął ją dreszcz lęku i w tym momencie uznała, że jest szczęśliwsza z nich dwóch. Tak, była szczęśliwsza, bo miała Maurice'a.

— O co chodzi, Kitty? — spytała Caroline, szczerze zdziwiona. — Wyglądasz na zdenerwowaną. Czy nie spędziłaś miłego wieczoru? Nie mogła ukryć Maurice'a, który zawsze pędził z hałasem po schodach. Był to jeden z powodów, dla których unikała sąsiadki. Caroline z wielką zachłannością czekała na jakieś nowiny, a ona nie miała jej nic do powiedzenia.

— Wejdz — zaprosiła ją Caroline. — Właśnie zrobiłam herbatę. Była rozpaczliwie samotna.

A Kitty w tej chwili marzyła jedynie o filiżance herbaty. Pragnęła herbaty z taką zachłannością, jakiej od bardzo dawna nie budziła w niej żadna potrawa czy napój. Wycierając ręce w fartuch i zdając sobie sprawę, że musi wyglądać okropnie, weszła za Caroline do jej mieszkania.

— Wspaniała herbata — powiedziała z uznaniem. — Ale naprawdę, Caroline, ten hałas jest nie do wytrzymania. A na dodatek sama wiesz, że właściwie nie słuchasz...

— Ależ kochanie, ja włączam radio dla towarzystwa. Wiesz, jak tutaj jest wieczorami. Martwota. Czuję się jak dziewięćdziesięcioletnia staruszka. Kiedy pomyślę...

— Jednak taki hałas — upierała się Kitty, wyciągając w jej stronę filiżankę z niemą prośbą o więcej i przerywając jej zwykłą tyradę — to naprawdę za wiele. Wiem, że czujesz się samotna. Może gdybyś miała pracę...?

Taką rozmowę prowadziły już przedtem.

— To i tak byłabym sama wieczorami — odrzekła Caroline.

Kitty nie znalazła na to odpowiedzi.

— A jak się ma twój chłopak? — zapytała Caroline po chwili milczenia.

— A... świetnie, doskonale.

— Jesteś zdenerwowana, Kitty. Ach, ci mężczyźni. Mnie nie musisz nic mówić.

Nie rozumiałabyś, gdybym ci powiedziała, pomyślała Kitty. Nikt by tego nie zrozumiał. Doszła do wniosku, że nie mogłaby opowiedzieć historii Mau-nce'a nikomu, ale to zupełnie nikomu, bo przecież ta historia stanowiła sekret.

— Wiesz co, kochanie — odezwała się Caroline — może poszłabyś ze mną do tej wróżki, którą niedawno poznałam? Ona jest cudowna.

Naprawdę fantastyczna. Wiem, że nie wierzysz w takie rzeczy, ale ona jest wyjątkowa. Powiedziała mi wszystko o Paulu i o tym, że w moim życiu panuje teraz bezruch. Przepowiedziała, że zacznę żyć na nowo — za granicą i spotkam mężczyznę, którego imię zaczyna się na J... I że on będzie z branży rozrywkowej. Wiesz, tak naprawdę, to nie w moim guście. Jestem przyzwyczajona do czegoś lepszego. Czy ci kiedyś opowiadałam, jak wynajęliśmy jacht koło Saint-Tropez?

Opowiadała. Wiele razy.

W głowie Kitty powstała pewna myśl: pójdzie do tej wróżki i wprowadzie ze sceptycyzmem, ale wysłucha, co ta kobieta ma do powiedzenia.

Rozpaczliwie pragnęła jakiejś wskazówki. Bo Maurice nie powiedział, kiedy się z nią znowu zobaczy. I na dodatek miał wyjechać do Francji.

— Gdzie ona mieszka? — zapytała.

Ależ kochanie, o dwie minuty drogi od nas, zaraz za targiem z antykami. I bierze tylko dziesięć funtów. I jest cudowna. Powiedziała mi, że niedługo wygasa umowa najmu. (Był to kolejny temat ich częstych rozmów). I że szukam innego mieszkania, ale nie powinnam zawracać sobie tym głowy, bo spotkam tego mężczyznę, którego imię zaczyna się na J... Z branży rozrywkowej.

— Dobrze — zgodziła się Kitty ponuro. — Pójdę z tobą.

Twarz Caroline rozjaśniła się. Łatwo ją było zadowolić i tak samo łatwo rozczarować.

— Pójdziemy tam w przyszłym tygodniu — obiecała. — Zobaczysz. Wszystko będzie dobrze.

— Mam nadzieję — powiedziała Kitty.

Nagła cisza uświadomiła jej, że program radiowy już się skończył. Musi być późno, pomyślała. Nie miała serca wracać do sprawy hałasu.

Wiedziała zresztą, że to i tak niczego by nie zmieniło.

Idąc ciężkim krokiem do swojego mieszkania, uświadomiła sobie, że jest bardzo zmęczona. Teraz, kiedy patrzyła wstecz, cały ten wieczór wydał jej się nierealny. Czy naprawdę usłyszała to, co usłyszała? Czy moja wizyta u wróżki, pomyślała z odrazą, może się równać z głębokimi przekonaniem Maurice'a? Była poruszona, zaniepokojona, tak, zaniepokojona — także i o siebie. Muszę coś zrobić, postanowiła. To nie może tak trwać. Dłużej tego nie wytrzymam.

Kiedy już leżała w łóżku, przyszło jej do głowy, że może sięgnąć po Biblię należącą dawniej do Marie-Therese i poszukać fragmentu, który kiedyś ją pocieszył. Ale poczuła się niegodna, bo była przecież niewierząca. Maurice mówił o Opatrzności. A ona była deterministką. Pomyślała jednak ze znużeniem, że spróbuje. Czy Ty istniejesz? — zastanowiła się w milczeniu. A jeżeli tak, to czy dasz mi znak?

VI

Wybierając się do wróżki, Caroline ubrała się w fioletowe spodnie i niebieską jedwabną bluzkę koszulową, a na szyję włożyła kilka łańcuszków. Chce wyglądać jak najlepiej, pomyślała Kitty, patrząc jak Caroline okręca sobie głowę niebieskim powłóczystym szalem. A przecież nawet tam nie wejdzie.

— Czy to nie wspaniała zabawa, Kitty? — entuzjasmowała się Caroline, odrzucając niebieski szal i biorąc zielony, a potem odkładając i ten. Kitty, zrezygnowana, zapadła się w fotel. Czuła się nieswojo. Była jakby rozdwojona. Wstydziła się bardzo tego, co robi. A równocześnie zdawała sobie sprawę, że od wróżki można się łatwo uzależnić. Jeżeli usłyszy dobrą wiadomość, pójdzie tam drugi raz, by usłyszeć więcej, a jeżeli będzie to jakaś złowroga przepowiednia — też pójdzie, żeby się dowiedzieć, czy jej los się odmieni. Miała świadomość, że w rezultacie nie będzie wiedziała niczego, to znaczy nie będzie wiedziała w tym sensie, w jakim była nauczona wiedzieć. Jednak wszystko było już ustalone — Caroline umówiła się z wróżką, chociaż na swoją wizytę musiały czekać prawie dwa tygodnie,

i nie wiadomo dlaczego podała fałszywe nazwisko. To potęgowało wstyd Kitty.

Kitty czuła się nieswojo także z innego powodu. Poprzedniego wieczoru oddech Louise w słuchawce telefonicznej brzmiał ciężiej niż zwykle, a do tego Louise oddała słuchawkę Vadimowi, chcąc, żeby on dokończył rozmowę.

— Co się dzieje? — spytała go Kitty.

A Vadim odpowiedział, że Louise jest trochę zmęczona — bo jest tak ciepło, za ciepło jak na tę porę roku. Louise miewa swoje złe dni. Ale nie ma się czym martwić. Jego głos brzmiał smutno, nie pasował do słów, które wypowiadał.

— Papo — poprosiła Kitty — wezwij lekarza.

— Nie, nie, kochanie, wszystko jest w porządku. Kupiłem karczochy, żeby jej zrobić przyjemność. Louise uwielbia karczochy. I w telewizji jest dobry program. Louise jutro będzie się czuła lepiej, nie bój się. Kitty nie miała serca mu powiedzieć, że Pauline Bentley zaprosiła ją do siebie na weekend. Postanowiła w razie potrzeby odwołać tę wizytę. Gnębiła ją też sprawa wykładu na temat tradycji romantycznej, który miał się odbyć w czwartym tygodniu letniego trymestru. Nie zaczęła się jeszcze przygotowywać do niego, chociaż wiedziała, że właśnie ten wykład będzie dla niej rodzajem sprawdzianu. Jeżeli wygłaszając go odniesie sukces, to może dostanie posadę. Na razie była na uczelni kimś w rodzaju gościa — płacono jej za seminaria, ale traktowano jak stażystkę. Jednak jeżeli powiedzie jej się podczas tego wykładu, to będzie mogła swój staż, swoje terminowanie uważać za zakończone.

W zeszłym tygodniu seminarium nie poszło jej tak gładko, jak się spodziewała. Panna Fairchild z niewiadomych powodów nie przyszła, a Larter i Mills spierali się bez opamiętania, okazując więcej złości

niż w tej sytuacji należało. Byli zmęczeni — zbliżał się koniec trymestru. Stali się bladzi, bo jedli tanie obiady i byli niedotlenieni. Kitty postanowiła skrócić zajęcia, bo nie zanosilo się na to, że atmosfera się poprawi. Wyznaczyła termin ostatniego seminarium na następny tydzień, co nie wywołało aplauzu. A później Redmile zapytał Kitty, jak jej idzie. — Bardzo dobrze — odpowiedziała, uśmiechając się do niego.

— Wszyscy z niecierpliwością czekamy na pani wykład, panno Maule. Była to oczywista nieprawda, więc Kitty nadal uśmiechała się uprzejmie. — Wspaniale. Wspaniale.

Redmile zawsze tak mówił. Potem oczy mu się zaświeciły, bo nadeszła jego sekretarka z segregatorem w rękach.

— Masz ostatnie obliczenia, Jennifer? Nie będę pani zatrzymywał, panno Maule. Zresztą myślę, że Jennifer ma mi coś do pokazania. Wie pani, chodzi

0 Nowy Gmach. I poszedł.

Kitty była poirytowana, a równocześnie ociężała. Ten stan bardzo się różnił od charakterystycznego dla niej spokojnego, choć bojaźliwego zdecydowania. Mimo że surowo oceniała to, co robi Caroline, zastanawiała się ze szczerą pokorą czy potrafiłaby kiedykolwiek stać się do niej podobna, czy potrafiłaby stać się kobietą zachwyconą własnym wyglądem, poświęcającą ogromną ilość czasu na upiększanie się i wkładającą w to mnóstwo wysiłku, uznającą tę wizytę u wróżki za główny punkt programu dnia, zafascynowaną własnym losem i oczekującą, że inni ten los urzeczywistnią. Kitty dawniej często czuła, że brakuje jej jakiejś podstawowej kobiecej cechy — czegoś przekazywanego instynktownie przez kobiety posiadające tę wiedzę, którą ona sama zmuszona była

uzupełniać, czytając książki. Czasami świadoma, że robi to ukradkiem, przeglądała porady w magazynach, które kupowała dla Louise, a nawet czytała horoskopy. Wiedziała, że wybrała trudniejszy sposób pozyskiwania sprawdzalnych informacji, jednak pociągały ją owe podstępny, owe pocieszające zapewnienia i różne obietnice tej osobliwej podświadomości, którą, jak sądziła, posiadały kobiety bardziej niż ona pewne swej kobiecości. Zdawała sobie sprawę, że muszą istnieć jakieś sposoby zdobywania tego, czego pragnęła, nie znała ich jednak. Ta wizyta u wróżki miała w sobie niebezpieczną atrakcyjność takiego właśnie tajemniczego, nie znanego jej sposobu. Także Caroline, upiększająca się niepotrzebnie i z taką pewnością siebie, reprezentowała inny, obcy jej sposób istnienia. Caroline, traktując siebie jak nagrodę, czekała po prostu na pojawienie się kogoś, kto po nią sięgnie. Natomiast Kitty przeważnie miała uczucie, że to ona musi udowodnić swoją wartość i atrakcyjność, pokazać zalety, tak jakby żyła w świecie, w którym obowiązywały imperatywy moralne. Czuła, że terminuje nie tylko w jednej dziedzinie i że, analogicznie do pracy w tej dziedzinie, musi pracować ciężko w każdej innej. Bardzo pragnęła przyłączyć się do tej pewnej siebie większości, która uzurpowała sobie prawo do różnych rzeczy i narzucała innym przeświadczenie o swojej wyższości, bez względu na to czy to przeświadczenie miało oparcie w rzeczywistości, czy nie. Parę dni temu w sklepiku z gazetami była świadkiem wydarzenia, które ją rozbawiło i które równocześnie zrobiło na niej wrażenie. Dziewczyna za kontuarem — blondynka, żylasta i wyglądająca na wiecznie zmęczoną — sprzedawała paczkę papierosów przystojnemu młodemu robotnikowi z pobliskiej budowy. Mężczyzna dał jej banknot dziesięciofuntowy.

— O Boże — powiedziała dziewczyna — nie ma pan drobniejszych?
Będę musiała pójść rozmienić.

— No to co? — wyszczerzył zęby robotnik. — Czy ja nie jestem tego wart?

— Nie wiem — odparła dziewczyna bez mrugnięcia. — Przecież jeszcze z panem nie spróbowałam.

Oboje byli zachwyceni tym dialogiem. Śmiali się i Kitty też się roześmiała, ale poczuła się nieswojo. Wiedziała, że sama nigdy nie zdobędzie się na taką swobodę, chociaż podobne zachowanie nieraz byłoby na miejscu.

Idąc do wróżki, miały ten sam sklepik. Caroline, ściskając w dłoni torebkę, dotykając szali i łańcuszków, przeginała się, a jej stopy ślizgały się w nedorzecznie kruchych sandałkach. Od czasu do czasu musiała łapać równowagę, wieszając się na Kitty, która przybierała męczeńską pozę i stała sztywno i bez ruchu, dopóki Caroline nie poprawiła wszystkiego, co wymagało poprawienia, i dopóki nie można było ruszyć w dalszą drogę. Kitty zastanawiała się, w jaki sposób Caroline udawało się kiedykolwiek dotrzeć do Harrodsa o własnych siłach. Wiedziała zresztą, że Caroline potrafi chodzić jak każdy normalny człowiek i że teraz, z braku mężczyzny, traktuje ją jako tło dla siebie. Z ulgą myślała, że nie muszą jechać żadnymi środkami komunikacji miejskiej, gdyż Caroline z pewnością oczekiwałyby, że to ona, Kitty, zorganizuje ich podróż — że zapłaci za bilety w autobusie albo wezwie taksówkę. Kitty zastanawiała się nad tym. Przypuszczała, że jest to coś w rodzaju negatywnych zdolności.

Skreśliły w małą boczną uliczkę i przystanąły przed biednie wyglądającymi drzwiami frontowymi pomalowanymi na kolor butelkowej zieleni. W chwili gdy Caroline zadzwoniła, z parapetu okiennego zeskoczył przestraszony kot, przewracając dwie butelki na mleko. Kiedy Kitty je podniosła i ustawiła na należ-

nym im miejscu przed progiem, otworzyły się drzwi i ukazała się schludnie wyglądająca starsza kobieta. To Madame Eva, pomyślała Kitty, czując wstyd.

— Dzień dobry, kochanie — zwróciła się kobieta do Caroline. —
Przyprowadziłaś koleżankę?

Caroline dokonała prezentacji, tak jakby wszystkie trzy znajdowały się na eleganckim przyjęciu.

— Madame — powiedziała, biorąc kobietę za rękę. — Pragnę pani przedstawić moją przyjaciółkę, pannę Mortimer.

Kitty odetchnęła głęboko. Przyszło jej do głowy, że kobieta, która idzie usunąć ciężę, musi czuć się tak samo jak ona w tej chwili.

— Dzień dobry pani — usłyszała własne słowa. — Nie zajmę pani wiele czasu. Aha, i nazywam się Maule. Kitty Maule.

Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się trochę szorstko. Jeszcze raz odetchnęła głęboko.

— Słuchaj, Caroline, zobaczymy się później, w domu.

Uśmiech na twarzy Caroline zgasł nagle. Madame Eva spojrzała na nią łagodnie lecz bystro i powiedziała:

— Może zaczekasz obok, w kawiarni. A potem wróćcie razem do domu.

Och, żeby to się już skończyło, pomyślała Kitty. Zamiast tutaj przychodzić, powinnam była zostać w domu z *Adolfem* i tradycją romantyczną. Moje miejsce jest tam. Wypadła jednak ze swej zwykłej roli tak dalece, że nie pozostawało jej nic innego jak tylko wejść do domu z Madame Evą. Caroline tymczasem pomachała zachęcająco ręką i poszła chwiejąc się w stronę targu z antykami. Kitty wiedziała, że w chwili gdy zniknie im z oczu, zacznie iść normalnym energicznym krokiem. I rzeczywiście tak się stało.

Studio Madame Evy było małe, ciemne, odrapane

i dziwnie wygodne. Miało prawdopodobnie stanowić obraz pierwotnego chaosu, z którego powinny wydobywać się prorocze słowa. Brudne poduszki dodawały miękkości kształtom paru zapadniętych foteli, z których dwa stały bardzo blisko siebie. W pokoju grało cicho radio, pod stołem spał kot, a na drugim stole znajdowały się resztki skromnego lunchu. Sama Madame Eva wyglądała jak dyrektorka przyzwoitej szkoły podstawowej. Była pulchna pulchnością, która -działała kojąco na otoczenie, starannie uczesana i umalowana oraz nieskazitelnie czysta. Miała na sobie dość ładną, luźną sukienkę w kwiaty, która jeszcze potęgowała wrażenie, że jest przełożoną szkoły dla małych dzieci. Na jej szyi, na łańcuszku, wisiały okulary. Poruszała się powoli i z wielką powściągliwością. Wyłączyła radio, pozbyła się kota i usiadła w jednym z foteli, dając Kitty znak ręką, żeby zajęła drugi. Potem sięgnęła do torby na zakupy zrobionej z imitacji skóry, wyciągnęła z niej termos i kubek, i naląła sobie trochę pomarańczowej herbaty. Pijąc ją małymi łyżkami, przyglądała się uważnie twarzy Kitty. Kitty zmusiła się do tego, żeby zdecydowanie patrzeć jej w oczy. Była to inicjacja dziesięć razy trudniejsza niż jej wykład. Dzięki Bogu, Maurice nigdy się o tym nie dowie, pomyślała Kitty. Madame Eva uśmiechnęła się.

— Myślisz o swoim chłopcu? — zapytała.

Siedząc w tym ciemnym pomieszczeniu Kitty uświadomiła sobie nagle, że na dworze jest bardzo jasno i spokojnie. Światło słońca odbijało się od oprawki okularów wróżki, a z rozgrzanych poduszek unosił się stęchły zapach. Kitty nie wiedziała, od jak dawna tu jest. Madame Eva wciąż popijała herbatę i nic nie wskazywało na to, że się czymkolwiek przejmuje. Kitty poczuła się bezpieczna jak w kryjówe. Spowiała ją zupełna cisza, którą w pewnym momencie zakłócił skrzeczący dźwięk — to Madame

Eva zakręcała termos. Po czym odstawiła go, wyjęła z torby kryształową kulę i pochyliła się nad złożonymi dłońmi Kitty. — Widzę mężczyznę — powiedziała. Jej głos nie pasował do jej wytwornego wyglądu — przypominał jękliwe zawodzenie Cyganki. Kitty, której serce zaczęło dość mocno bić, przestraszona, ku własnemu zdziwieniu poczuła, że poddaje się nastrojowi tej chwili.

_Mężczyznę — powtórzyła Madame Eva. — Bardzo wysokiego.

Przystojnego. Inteligentnego. Spotkałaś go w pracy.

Kitty kiwnęła głową. Kobieta oddychała ciężko.

_Teraz widzę jakąś twoją krewną. Starszą damę.

Tu jest trochę kłopotów. Ale jeszcze nie teraz. W przyszłości. Bądź na to przygotowana. Widzę jakieś miasto za granicą. — Przerwała nagle i wytarła sobie kąciuki ust, w których zebrało się trochę śliny. — Bardzo męcząca jest ta praca — powiedziała do Kitty. — Czasami wieczorem jestem taka wykończona, że nawet nie mogę się uczesać. — Jej włosy tworzące usztywnioną lakierem ciężką piramidę w kolorze brudnego mosiądzu najwyraźniej zostały uczesane kosztem sporego wysiłku.

Znowu pochyliła się nad dłońmi Kitty. — Widzę wysoki budynek. Coś jakby kościół. Widzę, że do niego wchodzisz. To może być ślub. Nie, nie sądzę. Ale może. Nie widzę. Chwileczkę, kochanie, napiję się jeszcze trochę herbaty.

Termos został jeszcze raz odkręcony. Katedry Francji, pomyślała Kitty, to może być tylko to. W pokoju zrobiło się jeszcze goręcej, najwyraźniej do wytworzenia tej wysokiej temperatury przyczyniały się wysiłki Madame Ewy starającej się ubrać myśli w słowa. Madame Eva miała z tym trudności, co rozpraszało Kitty, choć przenikliwość wróżki zrobiła na niej duże wrażenie. Kitty złapała się na

tym, że jak przystało na nauczycielkę, w myśli formułuje na nowo jej wypowiedzi, a czyniąc to, pomnaża zawarte w nich informacje.

— Jesteś bardzo zdolna — powiedziała wróżka. — Przed tobą spore sukcesy. Nie musisz się martwić

o pieniądze. Ktoś będzie się tobą opiekował. W przyszłości nawet bardziej niż teraz.

Kitty nie zainteresowała się tą wiadomością, bo pieniądze już miała, no i opiekowano się nią. Ale przyszło jej na myśl, że ludzie przychodzą tu po to, żeby usłyszeć takie właśnie rzeczy.

Kobieta obróciła kryształową kulę w dłoniach Kitty.

— Ciągle widzę ten duży budynek. I to miasto za granicą — dodała i popatrzyła na Kitty znad okularów. — Czy myślałaś o wyjeździe za granicę?

Kitty złapała się na tym, że kiwa głową, przerażona

i oczarowana perspektywą, która się przed nią otwiera.

— No, to sprawa jest jasna — skonstatowała Madame Eva. — Udasz się w podróż. — Jej oddech znowu zrobił się ciężki. — Widzę jakąś kobietę. To twoja matka? Czy ona odeszła? — Kitty spojrzała na nią, jakby nie rozumiejąc. — Czy ona nie żyje?

Kitty znowu kiwnęła głową, czując ściskanie w gardle. Zdziwiło ją to, bo nigdy nie płakała po matce, nigdy nie odważyła się tego zrobić. Nie miała nawet odwagi myśleć o Marie-Thérèse jako o swojej matce, bo wywołałoby to u niej takie wzruszenie, jakiego nie chciała nawet sobie wyobrazić.

— Matka czuwa nad tobą — powiedziała Madame Eva.

Z oczu Kitty popłynęły łzy.

— Już dobrze, kochanie — uspokoiła ją wróżka. — Matka czuwa.

Usiadła głębiej w fotelu, westchnęła i naląła sobie resztę herbaty z termosu.

— Kochanie, czy jest coś, o co chciałabyś mnie zapytać?

— Proszę mi opowiedzieć o tym mężczyźnie — zażądała Kitty, nie zwracając już wcale uwagi na to, co wypada, a co nie.

Madame Eva jeszcze raz westchnęła i jeszcze raz pochyliła się nad kryształową kulą.

— Myślę, że on cię kocha — powiedziała. — Ale to nie jest jasne. Ktoś go powstrzymuje. Czy on jest żonaty?

Kitty, nie mogąc wymówić słowa, pokręciła tylko głową.

— On jest z kimś związany — stwierdziła Madame Eva. — z jakąś dziewczyną. — Nagle coś jakby rozproszyło jej uwagę. — Duża inteligencja — dodała wymijająco. — Kończy się to źle.

Kitty wydało się, że jest to echo historii z Lucy.

— On jest inteligentny, no i w ogóle — stwierdziła kobieta, odzyskując nagle przytomność umysłu. — Spróbuj szczęścia, kochanie. Spróbuj szczęścia za granicą.

Kitty w przepływie wdzięczności wręczyła jej dziesięć funtów. Wyszła na zalaną słońcem uliczkę na drżących nogach, czując, że w końcu wie, co ma robić. Nawet nie zauważyła, kiedy weszła na targ z antykami. Tutaj plamy oślepiających kolorów wskazały jej, gdzie tkwi Caroline, przycupnięta na stołku z dwiema filiżankami herbaty. Ach, ta herbata, pomyślała Kitty, ale wypila napój chętnie. Nie była zdziwiona tym, że ręce jej się trzęsą. Muszę dorosnąć, pomyślała. Muszę przestać być taka pokorna. Potrafię podejmować decyzje i działać jak każdy. Nie jestem głupia. Nie jestem biedna. Jeżeli chcę coś zrobić, to me muszę czekać na pozwolenie. Mam tyle lat, że mogę decydować sama. Mój ojciec w wieku dwudziestu jeden lat już nie żył. Marnuję czas. Postaram się więcej go nie marnować.

— No i? — spytała Caroline.

— Ona jest naprawdę dobra — stwierdziła Kitty trzeźwo, chociaż nie pamiętała już, co dokładnie usłyszała.

Pamiętała mały pokój i światło słońca odbijające się od okularów, i zapach poduszek, i nieprawdopodobnie ufryzowaną głowę pochylającą się nad kryształową kulą. Nie uzyskała żadnych konkretnych informacji, ale w jej świadomości dokonała się jakaś zmiana.

Niełatwo było opowiedzieć Caroline, co słyszała. A Caroline oczywiście chciała koniecznie wszystko wiedzieć. Kitty poczuła ukłucie niepokoju, przypominając sobie, co Madame Eva mówiła o starszej wiekiem krewnej i postanowiła jeszcze tego wieczoru — nie czekając na weekend — pojechać do dziadków. Była zmęczona i smutna, i czuła się jakby starsza.

— Ale co z twoim ukochanym? — nie ustępowała Caroline.

Domyślała się, że właśnie ze względu na niego Kitty odwiedziła Madame Evę.

To, co Madame Eva powiedziała na temat Mauri-ce'a, spowijał jakiś dziwny mrok. Madame Eva dobrze scharakteryzowała i jego samego, i zasadnicze cechy jego położenia, i okoliczności, w których poznał Kitty. Widziała też Lucy. Wspomniała o miłości i o tym, że jego „małżeństwo” wciąż jeszcze trwa. Widziała ich oboje — Kitty i Maurice'a — za granicą. Widziała kościół. Duży kościół. A właściwie katedrę.

— Nie powiedziała mi zbyt wiele — stwierdziła Kitty ku widocznemu rozczarowaniu Caroline.

I poczuła nagły przypływ serdecznych uczuć na widok tej biedaczki, która zadała sobie tyle trudu, żeby się elegancko ubrać, a potem siedziała na cuchnącym targu, zamiast spędzać popołudnie u Har-

rodsa. Jednak kiedy Caroline odwinęła szal i zaczęła poprawiać sobie makijaż i ubranie przed krótką podróżą powrotną, doszła do wniosku, że już dłużej nie może służyć jej jako tło.

— Będę musiała zostawić cię tutaj — powiedziała. — Chcę pojechać do dziadków i zobaczyć, jak się ma babka. Jeżeli wyruszę zaraz, zdążę przed godziną szczytu.

Była zdziwiona własną bezwzględnością, i kiedy Caroline — rozzłoszczona tym, że nie usłyszała tego, co chciała usłyszeć — zmieniła się na twarzy, pochyliła się i zrobiła coś, czego nie robiła nigdy przedtem — pocałowała ją. A później energicznym krokiem oddaliła się zalaną słońcem ulicą i za minutę znalazła się w autobusie jadącym do dworca Victoria.

Podczas krótkiej, ale nudnej podróży do dziadków Kitty Maule zastanawiała się nad swoją obecną sytuacją. Teraz, kiedy emocje opadły (pozostawiając po sobie uczucie wielkiego zmęczenia), myślała z politowaniem o swojej dotychczasowej bierności i o tym, że się łudziła, że z czasem życie samo jej się ułoży, gdyż wystarczy po prostu czekać, żywiąc nadzieję wyrażoną w przypadkowym cytacie z Biblii. Muszę działać, myślała. Do tej pory byłam kimś strasznie niewydarzonym, wcieleniem przeciętności. Nie byłam nawet pionkiem w grze. Rozpoczęła w myślach przegląd swoich ubrań, usuwając na dno szafy te, które odzwierciedlały staromodne poglądy jej babki na temat dobrego smaku. W pociągu roiło się od dziewczyn niewiele młodszych od niej — dziewczyn w spodniach i pulowerach, z długimi nie uczesаныmi włosami opadającymi w naturalnym nieładzie, z twarzami pozbawionymi śladów wszelkich chytrych zabiegów. Pomyślała, że te dziewczyny może wyglądałyby lepiej, gdyby się trochę umalowały, gdyby się trochę bardziej wysiliły. Jednak, powiedziała

zaraz sobie₃ mogę się mylić. Możliwe, że jestem za mało dynamiczna, zbyt ceremonialna.

Włożyła klucz do zamka w drzwiach domu dziadków i usłyszała podniesione głosy pytające o coś po francusku. Potem ktoś wyłączył telewizor. Spod drzwi salonu wydobywał się cudowny zapach. Kiedy Kitty otworzyła te drzwi, zobaczyła przed sobą pełną niepokoju twarz Papy.

— Co się stało, Thérèse? — spytał Vadim. — Czy jesteś chora, kochanie? Wręczyła mu bukiet narcyzów kupiony w kwiaciarni koło stacji.

Pocałowała go.

— Po prostu chciałam was zobaczyć — powiedziała.

Na twarzy Vadima pojawił się szeroki uśmiech artysty kłaniającego się tuż przed ostatecznym spuszczeniem kurtyny.

Kitty patrzyła na nich i widziała ich z serwetkami pod szyją i z brodami usmarowanymi masłem. Widziała też liście karczochów piętrzące się na dodatkowym talerzu. Jedli przed telewizorem, gdyż nie przejmowali się już tak bardzo formami. Kitty zauważyła z ulgą, że Louise nie wygląda na chorą. Nie wyglądała też zdrowo. Zrobiła się bardzo otyła i prawie przez cały czas nosiła tę samą zakurzoną czarną suknię, a na ramionach małą, robioną szydełkiem trójkątną chustkę przypominającą chustki, jakie zarzucają na siebie konsjerżki. Louise zauważyła spojrzenie Kitty.

Uśmiechnęła się, ale oczy zwęziły jej się z lekka.

— *Eh, oui* — powiedziała — *nous dinons en grande toilette, comme d'habitude.*

Po tej uwadze wszyscy troje roześmiali się. Kitty śmiała się z ulgą, bo babka była tą samą Louise, co zawsze. Madame Eva powiedziała, że jeszcze nie ma powodu do zmartwienia. Nie pozostało jednak wiele czasu. Kitty postanowiła odwołać wizytę u Pauline

Bentley i jeszcze raz zagrać rolę córki przyjeżdżającej na weekend do domu. Kto wie, jak długo będę ją mogła grać, pomyślała.

Obejrzeni razem film o młodych fokach. Emocjonalny komentarz, obliczony na obudzenie ich współczucia, nie odniósł skutku, gdyż Louise uważała, że skóry fok nadają się doskonale na futra dla starszych pań, a Vadim i Kitty wcale nie słuchali.

Kiedy Kitty, po wypiciu filiżanki pożywnego rosółu, wyszła od dziadków, było już ciemno. Ona jednak myślała, że otwiera się przed nią przyszłość i że niebieski zmierzch nie jest taki nieprzenikniony jak dawniej. Wkrótce miała nadejść późna Wielkanoc. W powietrzu wisiało coś, co nie było zapachem, a jakąś przenikliwą świeżością emanującą z rozwijających się pączków ligustru. Wiedzona odruchem, Kitty wzięła jedyną taksówkę znajdującą się przy dworcu i pojechała nią na Old Church Street. W domu okazało się, że radio Carohne gra jak zwykle za głośno, ale teraz Kitty mogła sobie pozwolić na zignorowanie tego faktu. Nie zdejmując płaszcza, podeszła do telefonu i wykręciła numer Maurice'a. Nikt nie podnosił słuchawki. Kitty powędrowała do kuchni i zjadła jabłko, a potem poszła do sypialni. Poczowała, że jest zdenerwowana. Teraz, kiedy znalazła się w znajomym otoczeniu, jej stanowczość zniknęła. Ponownie wykręciła numer Maurice'a i znowu nikt nie podniósł słuchawki. Wykąpała się, zjadła drugie jabłko, położyła się i spróbowała czytać. Parę minut po jedenastej zatelefonowała jeszcze raz. Tym razem Maurice natychmiast się zgłosił.

- Maurice — powiedziała. — Czy ci przeszkadzam? Mówi Kitty.

— Wiem, że mówi Kitty — odpowiedział łagodnie. — Czym ci mogę służyć? Kitty odetchnęła głęboko.

— Postanowiłam pojechać do Paryża, żeby popracować trochę nad wykładem. Muszę czegoś poszukać w tamtejszych bibliotekach. Możemy się tam spotkać?

Maurice roześmiał się.

— To może okazać się trochę trudne, kochanie. Jak wiesz, będę objeżdżał katedry. Kiedy będziesz w Paryżu?

— Nie jestem pewna — powiedziała Kitty. — Ale głupio by było, gdybyśmy siedzieli tam oboje i się nie spotkali.

Uświadomiła sobie, że go błaga i wzięła się w garść.

— Jeżeli jedziesz do Saint-Denis, to będziesz musiał przejeżdżać przez Paryż. Chociaż — dodała skrupulatnie — Saint-Denis to nie katedra, lecz opactwo.

— Masz rację — przyznał. — Ale ja uwielbiam te wszystkie grobowce. Zapadła cisza.

— Dlaczego nie? — zgodził się wreszcie. — Mógłbym przyjechać po ciebie w drodze powrotnej. Gdzie się zatrzymasz?

— W hotelu West End. Tuż przy Avenue Montaigne.

Jeszcze w taksówce wiozącej ją z dworca postanowiła, że tak zrobi.

Maurice znowu się roześmiał.

— Zabawna jesteś — powiedział. — Ale może być miło. Zadzwoń do ciebie pod koniec miesiąca — dodał i odłożył słuchawkę.

Tej nocy Kitty Maule spała źle. Ale następnego ranka obudziła się z nowym zapasem energii i zaczęła snuć dalsze plany

VII

Kitty, która ostatnio sporo schudła, przyjrzała się w lustrze własnej bladej twarzy i postanowiła mimo wszystko przyjąć zaproszenie Pauline Bentley na weekend, mając nadzieję, że wróci do Londynu odświeżona i rumiana. A tak naprawdę chodziło jej o Paryż. To w Paryżu chciała wyglądać jak najlepiej. Nie znała bliżej Pauline Bentley, ale dobrze się czuła w jej towarzystwie, gdyż łączyło je pozbawione sentymentalizmu koleżeństwo typowe dla osób zaangażowanych w swoją pracę i rozumiejących się na polu zawodowym. Pauline Bentley mieszkała z matką w niewielkim domu w Gloucestershire, a dla Kitty Gloucestershire było ziemią świętą. Dobrze będzie poznać tamtejszą topografię, pomyślała, jak gdyby Gloucestershire zostało włączone do jej badań naukowych. I w istocie wydawało się, że tak jest, gdyż siedząc w pociągu i patrząc na łagodny pejzaż, otwierający się po obu stronach, usiłowała zauważyć u siebie reakcję na przyrodę, jaka przystoi komuś, kto zajmuje się tradycją romantyczną. Jednak daremnie. Ale może to nie jest właściwy pejzaż, pomyślała. Bohater romantyczny zawsze zdaje się błądzić wśród ruin,

wodospadów czy gór, podczas burzy albo o zmierzchu. I myśli o nieśmiertelności, albo traci zmysły. I ma na sobie wymięty surdut. I jedną stopę wspiera o skały. I, jak wiadomo, uważa, że lepiej jest podróżować będąc pełnym nadziei, niż przybywać na miejsce. Ma przy tym obowiązek rozumieć przyrodę — obowiązek przez tę przyrodę narzucony. A przyroda — ta wielka żeńska pochodna Boga — jest tak samo nierozumiejąca i niepojęta jak jej męski odpowiednik. To Kitty pojmowała. Pojmowała też potrzebę zbliżenia się zarówno do przyrody jak i do Boga, szukania w nich sensu albo odpowiedzi na dręczące pytania. Odpowiedzi, jeżeli to mozhwe. Jednak wszelka taka odpowiedź jest zwykle sfabrykowana przez człowieka, a w związku z tym całe to rozumowanie przypomina błędne koło. Ogólnie biorąc, pomyślała Kitty, spoglądając z poważną miną na oświetlone słońcem pola, wszystko staje się bardziej jasne, kiedy przyroda zostanie usunięta. Autor *Adolfa* ma zupełną rację, umiejscawiając swoją historię „*dans la petite ville de...*” Nie zdawałam sobie sprawy, jak inteligentna jest ta książka. Wszystko w niej jest precyzyjne, bezlitosne i me ma tam nic poza refleksjami autora. Nie ma obiektywnych korelatów ani odpowiedzi czy usprawiedliwień. Pauline Bentley czekała na małej stacyjce, ubrana jak zwykle w tweedowy kostium, a u jej nóg leżał smutny spaniel King Charles. Patrząc na Pauline, szczupłą inteligentną kobietę, Kitty jeszcze raz przypomniała sobie, co ją czeka, jeżeli bieg jej życia się me odmieni. Pauline była utalentowanym i uczciwym wykładowcą, ale studenci raczej ją podziwiali niż lubili, gdyż po latach treningu w ukrywaniu uczuć stała się sarkastyczna i nie bawiła się w sentymety. Było to korzystne z punktu widzenia jej zawodowej sprawności, ale złe z punktu widzenia studentów,

którzy w kobiecie-wykładowcy chcieli widzieć kogoś w rodzaju pięknej guwernantki. Pauline mieszkała ze swoją owdowiałą, prawie niewidomą matką i co wieczór wracała z uczelni do tej wioski, wioząc zakupy na tylnym siedzeniu samochodu. Kiedy przyjeżdżała do domu, zapalała światła — gdyż matce było wszystko jedno czy siedzi w ciemności, czy w oświetlonym pomieszczeniu — rozpalala ogień na kominku i gotowała kolację. Matka chciała słyszeć wszystkie nowiny. Sama była kiedyś wybitnym naukowcem i szczyliła się tym, że wciąż utrzymuje kontakt z uczelnią. Córkę uważała za osobę wartościową, ale pozbawioną ambicji i wciąż jej mówiła, żeby więcej publikowała. Zmywając w zimnej kuchni, Pauline przestępowała z jednej obolałej nogi na drugą i myślała tylko o kocu elektrycznym i serwisie światowym BBC, który dotrzymywał jej towarzystwa podczas coraz bardziej bezsennych nocy. Cieszyła się z odwiedzin Kitty, która miała zdjąć z jej barków część ciężaru.

— Mogłybyśmy napić się tutaj kawy — powiedziała Pauline, budząc psa.

— Jeżeli to zrobimy, to w domu będę musiała przygotować tylko lunch. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko szynce z sałatą. Mama bardzo się cieszy, że cię pozna — dodała, idąc przodem.

Pies był bardzo stary i osowiały. Kitty patrzyła na niego z pewną niechęcią, ale on, najwidoczniej nieświadomy jej uczuć, polubił ją — natychmiast i bez zastrzeżeń. Siedząc przy kawiarnianym stoliku, z przykrością czuła jego ciężar na nodze. Pies spał i grzał ją swoim ciałem. W kawiarni, w której było bardzo ciepło, znajdowało się mnóstwo ludzi. Ponure rodziny jadły grzanki z pieczoną fasolą i owijały chusteczkami do nosa gorące uchwyty metalowych imbryczków z herbatą. Była to, jak uświadomiła sobie Kitty, okolica odwiedzana przez turystów,

a sezon się właśnie zaczynał. Dwie kelnerki, kobiety w średnim wieku, nawoływały się, zapominając, co kto zamówił, gdyż w pośpiechu nie nadały zapisać. Wąskie przejście między stolikami było za-
blokowane — stały tam kosze na zakupy, dziecięcy wózek spacerowy, no
i oczywiście leżał pies. Nawet ja potrafiłabym lepiej poprowadzić ten
lokal, pomyślała Kitty, zdegustowana całym tym bałaganem. Podobnie
jak babka, gardziła amatorszczyzną. Dla Pauline ta kawiarnia była
miejszem, w którym można było spędzić czas do otwarcia pubu. Zresztą
Pauline rzadko zauważała, co je i pije.

— Jak tam twój wykład? — zapytała teraz, zwracając się do Kitty.

Ona jest jedyną osobą, która naprawdę chce to wiedzieć, pomyślała Kitty.

— Nie zastanawiałam się jeszcze nad nim wiele — odrzekła. — Nie będę
miała na to czasu, dopóki trymestr się nie skończy. Mam więcej roboty z
prowadzeniem zajęć niż się spodziewałam.

— No tak — powiedziała Pauline. — Masz w grupie Lartera, prawda?
Rzeczywiście przy nim trzeba się utrzymywać w kursie. To absorbujący
facet.

— Ta grupa jest niezła — stwierdziła Kitty. — Chociaż w zeszłym
tygodniu trudno było mówić o grupie. Panna Fairchild nie zjawiła się na
zajęciach. Chyba powinnam sprawdzić, czy nie jest chora.

— Jane? Nie, jest zdrowa. Widziałam ją we wsi, zanim cię odebrałam ze
stacji.

— To ona tutaj mieszka? — zapytała Kitty, trochę zdziwiona.

— Ależ kochanie, Fairchildowie są praktycznie właścicielami
wszystkiego w okolicy.

— No i — dodała Kitty z wymuszonym spokojem — Maurice Bishop też
gdzieś tu mieszka, tak?

— Tak — odrzekła Pauline, spoglądając na duży zegarek i szturchając
nogą psa, żeby się obudził. —

Mieszka trochę dalej. Możemy się jeszcze szybko napić dzinu, zanim mama zacznie się martwić.

Kitty, która była rozczarowana tym, że usłyszała tak mało, ale równocześnie zdecydowana nie wypytywać o szczegóły, poszła za Pauline do pubu. To samo zrobiła połowa gości kawiarni. Niczego się nie dowiem, pomyślała Kitty. A poza tym, jeżeli tak dalej pójdzie, to nie będę też prawie wcale na świeżym powietrzu.

Po spędzeniu w pubie trzech kwadransów wsiadły do małego samochodu Pauline, którego wnętrze natychmiast wypełniło się zapachem psa.

Przejechały w milczeniu jakieś sześć mil, a potem zatrzymały się nagle przed budką telefoniczną ustawioną naprzeciwko stojących w szeregu czterech niewielkich domów, z których składała się wioska Pauline. Kitty poczuła, że ogarnia ją współczucie. Pauline wraca tutaj codziennie, nawet w najciemniejsze zimowe wieczory. Nie ma tu nikogo, z kim mogłaby porozmawiać. Musi organizować opiekę dla matki, która nie może być przez cały dzień sama. A co robi, kiedy matka umrze? Pozostanie tu pewnie, jeszcze bardziej samotna niż dotychczas. Ona wie o tym wszystkim. Jest zbyt inteligentna, żeby nie zdawać sobie z tego sprawy. Jest tak zwaną kobietą wyzwoloną, myślała dalej Kitty. Jedną z tych kobiet, którym zazdroścą uwięzione w domu mężatki. Kitty poczuła, że musi wprowadzić jakiś porządek do własnego życia, żeby nie skończyć jak Caroline albo jak Pauline — jedna taka głupia, a druga taka inteligentna i obie takie samotne. Zdała sobie sprawę, że obie te kobiety, które, spotkawszy się, nie miałyby sobie nic do powiedzenia — są ofiarami tego samego konfliktu, są zwyciężonymi w wojnie, w której tak wielką rolę zdaje się odgrywać Opatrzność i w której Opatrzność decyduje o wyniku — pozytywnym dla jednych, ale negatywnym dla innych.

— Mam nadzieję, że nie zanudzisz się u nas — przerwała jej te rozmyślenia Pauline. — Mama lubi, żebym w weekendy spędzała z nią jak najwięcej czasu. Ale dzięki temu ty będziesz zupełnie wolna. Będę ci bardzo wdzięczna, jeśli weźmiesz na spacer psa. Oczywiście jeżeli nie będzie spał. On wcale nie zażywa ruchu.

Wysiadłszy z samochodu, Kitty zaczęła oddychać z całą właściwą sobie sumiennością — jak ktoś, kto uważa, że dobrze mu to zrobi. Pauline, świadoma tego, że gdzieś za mgłą, w odległości dwudziestu pięciu mil stąd, znajduje się elektrownia atomowa, uśmiechnęła się kwaśno, ale nic nie powiedziała. Po tylu latach spędzonych pod jednym dachem z matką była biegła w zachowywaniu złych wieści dla siebie.

Okazało się, że pani Bentley i Kitty bardzo przypadły sobie do gustu. Siedziały w chłodnym, niewielkim pokoju o niskim suficie i oknach przesłoniętych pędami i liśćmi bujnych zielonych roślin rosnących w mosiężnych doniczkach — Kitty na stołeczku obok głębokiego fotela, a pani Bentley w fotelu. Pani Bentley wyciągnęła dużą, pokrytą wątrobianymi plamami i drżącą dłoń, którą Kitty wzięła w obie swoje ręce i pottrzymała przez chwilę. Kitty zauważyła, że pani Bentley jest wychudzona, ale wciąż aktywna, dostrzegła też męską chustkę do nosa wystającą z kieszeni kardiganu, rzadkie białe włosy, spod których wyłaniał się kształt dużej czaszki i długie, wąskie stopy, beczynne w dzieciennych sandałach.

— A teraz, moja droga — odezwała się pani Bentley swoim donośnym głosem wykładowcy — musisz mi powiedzieć, jak się nazywasz i czym się zajmujesz, musisz mi opisać siebie, bo ja nic nie widzę.

— Nazywają mnie Kitty — odparła Kitty — chociaż mam na imię Therese. Pracuję z Pauline na...

— Dlaczego nazywają cię Kitty, skoro masz na imię Thérèse? — zapytała pani Bentley z wielkim zainteresowaniem.

I Kitty, która zwykle nie mówiła o takich rzeczach, złapała się na tym, że opowiada jej o swoich dziadkach i rodzicach. Opowieść okazała się niezbyt fascynująca, ale pani Bentley, która była dość już znudzona programami Radia Trzy płynącymi z odbiornika ustawionego dla jej wygody tuż obok fotela, słuchała jej z zadowoleniem. Historia Kitty przypominała jedną z tych powieści z czasów edwardiańskich, których pani Bentley nie mogła już czytać. Kiedy Pauline wróciła z tacą i zaczęła ustawiać

talerze na małym stoliczku, który przysunęła do fotela pani Bentley, Kitty opisywała właśnie suknię ślubną swojej matki, owiniętą teraz niby całunem delikatną bibułą, ale wciąż wiszącą w mieszkaniu dziadków, i małe atłasowe trzewiczki, które matka miała na sobie w dzień ślubu.

— Jakie to urocze! — zawołała pani Bentley. — I mówicie w domu po francusku? Musi ci to bardzo pomagać w pracy.

Pauline uśmiechnęła się blado, podsuwając matce talerz z jedzeniem pokrojonym na małe kawałki, i dotykając tym talerzem jej przegubu. Pani Bentley wzięła drżącą ręką widelec i wszystkie trzy zaczęły jeść lunch.

— Nie wychodzę teraz z domu — powiedziała pani Bentley rzeczowym tonem. — Chyba że wtedy, kiedy Pauline zabiera mnie gdzieś samochodem. Ale, ponieważ nie widzę, w samochodzie kręci mi się trochę w głowie.

— Moja babcia też nie wychodzi — stwierdziła Kitty, chwytając plasterk pomidora, zsuwający się powoli z kardiganu pani Bentley.

— Dobrze by było, gdybyśmy mogły się spotkać. Stare kobiety mają sobie tak wiele do powiedzenia,

nawet jeżeli się nie znają. A na dodatek obie jesteśmy matkami córek jedynaczek.

Przez chwilę wszystkie trzy zastanawiały się nad tą możliwością. A potem doszły do wniosku, że jest to niemożliwe i przestały o tym myśleć. Pauline spojrzała szybko na Kitty, która chusteczką do nosa wycierała wodę rozlaną przez panią Bentley. Kiedy zauważyła, że Kitty jest spokojna i wcale nie zbита z tropu, odprężyła się. Kitty była przyzwyczajona do drobnych nieporządków towarzyszących starości i nie zwracała na nie uwagi. O wiele bardziej przejmowała się tym, że sama nie potrafi wykorzystać jak należy możliwości, jakie daje jej młodość. Wypiły po filiżance kawy. Pani Bentley wyjęła z kieszeni kardiganu poobijane blaszane pudełko i paczkę bibulek, i dużymi, drżącymi palcami zaczęła skręcać papierosa. Papieros, zapalony, płonął przez chwilę jak ogień bengalski, a potem zgasł.

— Może zapali pani mojego? — zaproponowała Kitty.

— Nie, dziękuję ci, moja droga. Ja po prostu lubię całą tę zabawę z pudełkiem. To taki nawyk. To pudełko należało do mojego męża. A poza tym, o tej porze przeważnie odpoczywam. Pauline może ci tymczasem pokazać ogród. Ale później tak bym chciała dowiedzieć się czegoś o twojej pracy. Może po herbacie opowiesz mi o swoim wykładzie? Bo widzisz, ja nie tracę kontaktu z uczelnią. W końcu to moje pokolenie pierwsze czytało *Śmiertelną mękę romantyzmu*. Kiedy byliśmy z mężem w podróży poślubnej, odwiedziliśmy w Rzymie profesora Praza. Usiadła głębiej w fotelu, znalazła po omacku dużą, jedwabną, zieloną chustkę do nosa i przykryła nią sobie twarz. Za chwilę już spała. Pauline podniosła róg chustki, opuściła go delikatnie i dała Kitty znak, żeby poszła za nią do kuchni.

— Podbiłaś jej serce — powiedziała łagodnym tonem.

Była bardzo zadowolona z Kitty.

— A teraz — oświadczyła — jak Prospero, daruję ci wolność. Weź tego cholernego psa i idź z nim na spacer. Na dworze jest ładnie. Herbata będzie o wpół do piątej.

— Czy mogłabym ci w czymś pomóc? — zapytała Kitty.

— Już mi pomogłaś — odrzekła Pauline. — Czy na pewno masz wygodne buty? Wyglądasz strasznie elegancko. My tutaj tak się nie ubieramy. Nie mamy do tego zbyt wielu okazji.

Kitty zauważyła mały kamienny zlew, drewnianą suszarkę do naczyń i — na parapecie okiennym — matowy szklany słój z brudną wodą, w której stały polne kwiaty. Nie było lodówki, była tylko spiżarnia.

— Pauline — powiedziała Kitty, kierując się nagłym impulsem. — Pozwól, żebym was obie zaprosiła na kolację. Twojej matce nic się nie stanie, kiedy będzie z nami. A ty powinnaś trochę wychodzić z domu. Nie chcę, żebyś mnie obsługiwała.

Pauline pomyślała o mielonym mięsie, które kupiła rano i postanowiła nagle, że da je psu, co w normalnych warunkach nigdy nie przyszłoby jej do głowy.

— No, dobrze. Jest takie jedno miejsce. The Manor — powiedziała powoli. — To znaczy miejscowy hotel. Jest dość elegancki. Nie sądzę, że...

— Gdzie to jest? — zapytała Kitty. — Czy mogę tam pójść i zamówić stół?

Jej pełen entuzjazmu ton sprawił, że Pauline zgodziła się z uśmiechem. Kitty ruszyła w drogę — z psem i z mocnym postanowieniem, że spędzą ten wieczór w prawdziwie świątecznym nastroju. Pauline powinna mieć jakąś odmianę, to dla niej bardzo ważne, a starsza pani też pewnie z przyjemnością spędzi czas poza domem.

Zasługuje na to, pomyślała Kitty. Obie na to zasługują. A same z własnej inicjatywy nie zdobędą się na takie wyjście.

Kitty znalazła hotel, który był dość dużym domem stojącym w sporym ogrodzie, zamówiła stolik na wieczór, a potem — ponieważ po spacerze chciało jej się pić — zapytała, czy może się napić herbaty.

Pomyślała, że zaczyna wiedzieć, na czym polega życie na wsi, bo nawet pies chodzi za nią bez oporu. Nie mieli sobie nic do powiedzenia, gdyż Kitty uważała, że nie należy marnować słów, mówiąc do zwierząt. A właściwie, że w ogóle nie należy marnować słów, bo każde słowo się liczy. Znowu przypomniał jej się *Adolf*. Siedząc w ogrodzie i popijając herbatę, zastanawiała się nad wspaniałą i zatrważającą przyszłością. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to może pewnego dnia będzie tak siedziała we własnym ogrodzie, podobnym do tego, w którym teraz się znajduje. Jej świadomość cofnęła się bojaźliwie przed tą możliwością, ale już sam cień tej niedokończonyj myśli sprowadził na jej policzki rumieniec i przez chwilę Kitty wyglądała na osobę tak szczęśliwą, za jaką się uważała. Czas w drodze powrotnej do domu upłynął jej prawie niepostrzeżenie.

— A teraz, moja kochana — odezwała się pani Bentley, dość niepewnym ruchem odkładając na talerz kromkę chleba z masłem — musisz mi powiedzieć, czym się zajmujesz. Ja opuściłam plac boju, kiedy zapanował egzystencjalizm i, prawdę mówiąc, zrobiłam to z zadowoleniem.

— Ale dlaczego? — zawołała Kitty. — To przecież taki ważny kierunek. Mnie się czasami zdaje, że tylko w niego mogę wierzyć.

Pani Bentley wyciągnęła swoje blaszane pudełko i skrzyła sobie kolejnego papierosa.

— Mnie się wydawało, że jest to po prostu zseku-

kryzowana forma chrześcijaństwa. Na dodatek raczej ponura.

— Ale o to właśnie chodzi — powiedziała Kitty. — Ponieważ jest zsekularyzowana, każdy może ją wyznawać. Nie ma wybranych. Nie ma łaski. Jest to system czystej etyki.

Pani Bentley uśmiechnęła się blado.

— A rozumiesz pojęcie absurdu? — zapytała tonem osoby tolerancyjnej, jakim kiedyś zwracała się do studentów. — Bez uciekania się do tekstu Camusa — dodała.

Kitty zastanowiła się.

— To bardzo trudne — powiedziała. — Egzystencjaliści twierdzą, że położenie człowieka jest z natury absurdalne, gdyż człowiek bezustannie czyni pewne założenia, a te założenia są błędne. Człowiek nie jest w sposób naturalny predestynowany do dobrego losu, czy też do jego przeciwności. Dlatego nie ma rozsądnych podstaw do optymizmu czy ufnej postawy. Wszelkie siły w świecie są obojętne. I jeżeli człowiek nie zapatruje się z ochotą na perspektywę nieograniczonej wolności — a kto się na nią zapatruje z ochotą? — to może wzniecić w sobie bunt. Może być „świętym bez Boga”, jak to nazywa Camus. Chociaż nie wiem. Jeden z moich studentów — dodała — uważa, że egzystencjalizm to zjawisko romantyczne.

— Och, ja co do tego nie miałam nigdy żadnych wątpliwości — powiedziała pani Bentley dość oschle.

Była zachwycona tym, że ciągle jeszcze kogoś wyprzedza. Pauline musiała jej dwa razy z naciskiem przypominać, że wieczorem wychodzą. Kiedy wreszcie starsza pani, wsparta na ramieniu córki, opuszczała salon, na jej wargach wciąż igrał tryumfujący uśmiezek.

Gdy się znowu spotkały, patrzyły na siebie z przy-

jemnością. Pauline przebrała się w sukienkę z lekkiej wełny — z pewnością najlepszą, jaką miała w szafie — a pani Bentley, kołysząca się z lekka w staromodnych czółenkach, miała na sobie jedwabną suknię i żakiet, do którego kieszeni włożyła chustkę do nosa i blaszane pudełeczko. Pauline dostała od matki polecenie zaprowadzenia psa do sąsiadów, państwa Singletonów i, chcąc je spełnić, musiała spaniela obudzić. Kiedy na nią czekały, pani Bentley wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Kitty.

— Opiekuj się moją córką — poprosiła nagle. — Ja już nie mogę dla niej wiele zrobić. Chcę, żeby po mojej śmierci pojechała w podróż dookoła świata. Żeby była daleko od tego miejsca. Chcę, żeby wydała od razu wszystkie pieniądze. Dopilnujesz tego?

Kitty uścisnęła jej dłoń.

— Obiecuję to pani — powiedziała.

Wieczór bardzo się udał. W hotelu było ciepło i cicho, przy stolikach siedziało niewielu gości, a otwarte okna wychodziły na pusty ogród. Pauline i Kitty namówiły panią Bentley, żeby wypić kieliszek wina. I jedno z dwojga^J — albo obietnica Kitty, albo wino — wprowadziło starszą panią w bardzo ożywiony nastrój.

— Mamo — ostrzegła Pauline — nie będziesz w nocy spała.

— A kto by się tym przejmował! — zawołała pani Bentley i wbiła widelczyk w stół, nie trafiając w szarlotkę. — Skoro mam nie spać, to napiję się też kawy.

Napiły się kawy i brandy — tej ostatniej ze względu na Pauline, bo Kitty postanowiła, że Pauline będzie spała. Pauline wygląda o wiele młodziej, zauważyła w myśli z uznaniem. Światło świec jest dla niej korzystne i dodaje jej rumieńców. Wygląda, myślała dalej Kitty, jak prawdziwa Angielka. Nieśmiała, ale niepokonana. Wszystko jej się ułoży. Zobaczy świat, mogę to zagwarantować. Wyjdzie za mąż za emerytowanego urzędnika z kolonii i osiadzie

w Hongkongu. Raz w roku będę dostawała od nie) wiadomości — list towarzyszący kartce na Boże Narodzenie, kończący się słowami: „George również przesyła ci najserdeczniejsze pozdrowienia . Widzę to wyraźnie.

— Tu jest naprawdę bardzo przyjemnie — zauważyła pani Bentley, zapalając skręconego własnoręcznie papierosa. — Bywaliśmy tu z mężem, kiedy to był jeszcze prywatny dom. Zналиśmy wtedy mnóstwo ludzi. Państwa Deringów. I Granthamów. I Bishopów.

Serce Kitty zabiło mocniej.

— Ach tak, Bishopów — powiedziała niedbale. — Maurice Bishop jest pracownikiem katedry historii na naszej uczelni.

— Maurice był jedynakiem — snuła wspomnienia pani Bentley. — To takie smutne... ta historia z tym jego małżeństwem. Margaret, jego matka, bardzo się przejęła tą sprawą.

— Ma pani na myśli to małżeństwo, do którego nie doszło? — zapytała powoli Kitty.

— Tak. Ta dziewczyna była taka ładna. Byli tacy sobie oddani. Nie mogliśmy tego zrozumieć.

— Tak, to musiało być smutne — powiedziała Kitty, dokładając wszelkich starań, żeby mowie obojętnym tonem. Pauline spojrzała na nią ukradkiem. _ Myślałam, że to zostało zatuszowane.

Tej słowa w istocie oznaczały: „Myślałam, że to był sekret. Myślałam, że Maurice powiedział o tym tylko mnie”.

Pani Bentley roześmiała się dość niedelikatnie.

— Takie rzeczy nigdy nie dadzą się ukryć. Zresztą, o ile pamiętam, żadne z nich nie było zbyt powściągliwe, mówiąc na ten temat. Henry Bishop uważał, że cały hałas wokół tej sprawy jest niepotrzebny.

Kitty poczuła nagle, że się dusi. Wezwała przechodzącego kelnera i poprosiła go o rachunek. Pani

Bentley, która wstała ciężko, korzystając z pomocy Pauline, wydawała jej się teraz bardziej bezwzględna, mniej współczująca. I miała zęby tak długie i żółte jak zęby psa. Kitty poczuła się lepiej, kiedy znalazły się na zewnątrz, na powietrzu, które pachniało słodko w gęstej ciemności. Podczas krótkiej drogi powrotnej pani Bentley była wciąż ożywiona, co, nawet zdaniem Kitty, wskazywało niezbicie, że nie będzie tej nocy spała. Kitty nie wiedziała zresztą, czy jej samej uda się zasnąć.

Znalazłszy się już na górze, w maleńkiej sypialni, podeszła do okna i zaraz odsunęła się od niego odruchowo, widząc przez szybę księżyc w nowiu — bo taki księżyc to była zła wróżba na nadchodzący miesiąc. O Boże, ależ ze mnie okropna osoba, pomyślała. Nigdzie nie czuję się u siebie. W nic nie wierzę. Doprawdy, żyję w świecie egzystencjalizmu. Nie istnieją dla mnie przekonujące proroctwa. Ale skoro tak, myślała dalej, oddychając głęboko i próbując się uspokoić, skoro w nic nie wierzę, skoro nie wierzę w Biblię ani w Opatrzność, ani w to, co mówi Madame Eva — to jak mogę wierzyć w ten idiotyzm na temat księżyca?

Nagle, bez widocznego powodu, obudził się pies. Zawył, pochodził po kuchni, a potem podreptał na górę. Przez otwarte drzwi wszedł do sypialni Pauline, ale zaraz wyszedł stamtąd i usiadł pod drzwiami Kitty, głośno sapiąc. Wzdychając głęboko, Kitty wpuściła go do środka. Pies, wdzięczny jej za to, natychmiast zasnął. Po chwili Kitty poczuła się zadowolona, że ma go przy sobie.

VIII

Po wyjeździe Maurice'a, czy raczej po tym jak zaczęła sądzić, że wyjechał, gdyż nie skontaktował się z nią więcej, Kitty nagle uświadomiła sobie, że nie ma już nic do roboty. Trymestr się skończył, a ona poświęciła czas, jaki pozostał jej do własnego wyjazdu, na porządkowanie mieszkania i planowanie, w co się będzie ubierała. Zajął jej to dokładnie pół przedpołudnia. A potem, zamiast zawracać sobie głowę lunchem, poszła do małego parku, usiadła na ławce i wystawiła twarz do niezwykle silnie grzejącego słońca. Była zupełnie sama. W parku można pracować, podobnie jak w każdym innym miejscu, więc po chwili Kitty wyjęła książkę. Jednak słońce oślepiło ją i ogłupiło. Złapała się na tym, że czyta dwa razy tę samą stronę i musiała odłożyć książkę. Zastanawiała się, czy historię Paola i Franceski można by było włączyć do rozważań o tradycji romantycznej i przypomniała sobie piękne zdanie znajdujące się w tłumaczeniu fragmentu, w którym Dante opisuje brzemienne w skutki pocałunek kochanków: *W ten dzień jużśmy nie czytali*.

*** Dante Alighieri, *Boska komedia* w przekładzie Edwarda Porębowicza.**

Wyobraziła sobie tomik spadający cicho na ziemię i wyciągniętą rękę w zachodzącym na dłoń, spiczasto zakończonym rękawie. Dante umieścił Paola i Franceskę wśród ludzi lubieżnych i prawdą było to, że po pocałunku bardzo szybko nastąpił mord, jednak Kitty podobała się ta historia. Czytanie przerwane przez pocałunek i następująca potem śmierć wydawały jej się całkowicie naturalną sekwencją zdarzeń.

W zasięgu jej wzroku pojawiły się dwie starsze kobiety idące ramię w ramię. Po ich wyglądzie można było sądzić, że dawniej należały do klasy średniej. Miały na sobie sportowe kurtki i chustki odpowiednie na spacer z psem, ale ich buty były stare i powykrzywiane. Kobiety usiadły na sąsiedniej ławce i jedna z nich zaczęła głośno namawiać drugą do zdjęcia kurtki.

No, nie wiem — powiedziała nieco starsza, kręcąc nerwowo głową i niezdarnie sięgając po torebkę.

— Na miłość boską, mamó! — krzyknęła młodsza (to jej córka, pomyślała Kitty, przerażona) — zdecyduj się wreszcie. A może chcesz usiąść w cieniu? Tak, może w cieniu będzie lepiej. O, tam.

Starsza kobieta, mamrocząc coś, znowu się wahała.

— Oj, mamó, zdecyduj się wreszcie. No już, wezmę twoją torebkę.

Kitty zauważyła, że córka ma na gołych nogach sięgające kostek skarpetki. Obie kobiety wstały, poruszając się z bezgraniczną powolnością, i usadowiły się ponownie o dwanaście kroków dalej.

Okazało się jednak, że na nowym miejscu są dalsze problemy i za pięć minut obie wróciły na poprzednią ławkę. Ponownie wybuchła dyskusja, dość teraz głośna[^] dotycząca tego czy matka ma zdjąć kurtkę, czy nie.

Kiedy to zrobiła, zadowolona najwyraźniej córkę, której inaczej zadowolić nie potrafiła. Zresztą i sama córka, kobieta z postarzałą twarzą o zgorzkniałym

wyrazie, na pewno nie jest w stanie zadowolić matki, pomyślała Kitty. Obie kobiety miały tego świadomość i wykonywały od czasu do czasu jałowe gesty pojednania. Takim gestem było to wyjście do parku, które nie sprawiło przyjemności żadnej z nich. Poirytowanie i niepokój córki przerażały Kitty, która z zadowoleniem i bez zdziwienia przyjęła to, iż obie jej sąsiadki doszły do wniosku, że słońce grzeje za mocno, że w parku brakuje cienia i że one wobec tego nie mogą tu dłużej siedzieć. Kurtka została ponownie włożona i matka poszukała po omacku laski. Córka, niezbyt porządnie, zawiązała matce chustkę na głowie.

— Dobrze? — krzyknęła. — No to chodźmy. Nie ma co tu siedzieć. Obserwując je z tyłu, można było pomyśleć, że ich złączone ramiona, powolne kroki i pochylone głowy wskazują na bliskość, na jakieś konieczne im do życia, choć być może toksyczne, porozumienie. Jednak kiedy odeszły, zostawiły po sobie jakąś smugę goryczy, jakąś ciemną plamę na jasnym dniu.

W tym kontekście Maurice nabrał w oczach Kitty nadludzkiego, prawie metafizycznego znaczenia. Jego wybitna inteligencja i swoboda oraz widoczna fizyczna odporność na ciosy, decyzje, jakie podejmował w dążeniu ku wzniosłym celom, odległości, które pokonywał, cechująca go zdolność do dokonywania wyborów i siła postanowień nadawały mu status człowieka nie spętanego, mitycznego bohatera, wyzwoliciela. Kobieta, którą Maurice by wyzwolił, zostałaby na zawsze wybawiona od losu tej ponurej córki, której gołe, białe nogi i okropne buty, zaprojektowane pewnie z myślą o jakiejś mającej miejsce w zamierzchłych czasach wycieczce czy włóczędce, Kitty wciąż widziała oczami wyobraźni. Wybrance Maurice'a oszczędzone by były upokorzenia czyhające na kobietę, której nikt nie chce. Jego

wybranka wiodłaby wspaniałe życie, wychowując synów. Ach, pomyślała Kitty w udreće, biała suknia ślubna, kwiaty. Co robić, żeby do tego doprowadzić?

Takie myśli nachodziły ją rzadko, ale kiedy się pojawiały, przerażały ją swoją siłą. Teraz, pod ich wpływem, postrzegała swoje życie, wyabstrahowane z jakiegokolwiek realnego krajobrazu, jako nieubłagane posuwanie się w stronę samotności. Resztki jej przeszłości, relikty tego nad wyraz skromnego szczepu, z którego wyrosła, już zamarły, pozostawiając po sobie tylko nikłe ślady. W perspektywie były kolejne śmierci. Cisza Old Church Street, przerywana jedynie dźwiękami płynącymi z radia Caroline — tylko czy na Caroline można liczyć? — miała zapanować jak długa zima. I jej dni miała wypełnić tradycja romantyczna, rozrastająca się i komplikująca coraz bardziej. Nie mogę tego znieść, pomyślała. Muszę tę historię z Mauricem doprowadzić do szczęśliwego zakończenia, bo nie pokocham nikogo innego. Musi się znaleźć jakieś miejsce dla mnie — w szczelinach między katedrami Francji. Musi się znaleźć — i to prędko. Otworzyła oczy, popatrzyła na zalany słońcem pusty park i usłyszała dudnienie pojazdów pędzących wzdłuż Embankment. *Je joue le tout pour le tout*, pomyślała.

Jej drugie ja, to mądre i przebiegłe ja, które pochodziło od babki, mówiło jej, że wykonała prawidłowy ruch, decydując się pojechać do Francji. Bo tam na pewno wypadnie korzystnie, będzie swobodna i będzie się czuła prawie jak u siebie. Wzajemna bliskość, atmosfera odprężenia, wspólne posiłki i rozmowy scementują ich nie zmienioną, ich niezmienną przyjaźń. A może też działają więcej. Kitty nie wiedziała, jak będzie, gdyż nie miała pojęcia, co Maurice czuje, nie miała o tym pojęcia teraz ani kiedykolwiek przedtem. Lekkość, z jaką Maurice traktował ich poufałe stosunki, wydawała jej się tak

dziwna, że wywoływała u niej dreszcz emocji. Tak, była dziwna, no i tak bardzo różniła się od śmiałych i hałaśliwych zalotów ciotecznego wnuka Louise, Jean-Claude'a — jej jedyne poza Maurice' młodym chłopcem.

Natarczywego, atletycznie zbudowanego Jean--Claude'a — jej towarzysza w zdobywaniu wiedzy podczas poprzednich wizyt we Francji, wybranego przez Louise odpowiedniego kandydata na męża. Był wówczas studentem i mieszkał w tanim hotelowym pokoju, w którym na łóżku leżała porzucona koszula, a na rozchwierutanym stoliku koło okna poniewierał się plasterek szynki zawinięty w tłusty papier. Kitty — tak samo sentymentalna jak matka — daremnie starała się go wyciągnąć na wieczorny spacer czy na niedzielną wycieczkę. W takich razach Jean-Claude patrzył na nią z niedowierzaniem i, po długich utyskiwaniach, zgadzał się wreszcie posiedzieć przez pół godziny w kawiarni i wypić kawę, a jej pozwolić obserwować spieszący ulicą tłum. Jean-Claude był próżny, szczupły, skory do złości, niezmordowany i natrętny. Miał w przyszłości zostać wybitnym prawnikiem. Uważał, że jest bardzo męski, robiąc jej scenę zazdrości za każdym razem, kiedy wychodziła, i po każdym jej powrocie do hotelowego pokoju traktując ją tak, jakby go zdradzała (a trzeba przyznać, że od takich powrotów ona nie mogła się powstrzymać). Przez pewien czas w tamtej epoce Kitty uważała jego dziką, niespożytą energię za cechę najbardziej fascynującą pod słońcem. Teraz jednak ta energia zdewaluowała się w jej oczach wskutek porównania z delikatną i nieprzeniknioną dyskrecją Maurice'a, z jego milczeniem i staroświeckim uśmiechem, który widziała oczami wyobraźni po każdej jego wizycie.

Po ostatniej bytności Kitty w Paryżu i u Jean-Claude'a Louise oceniła sytuację i zrezygnowała ze swoich wcześniejszych planów względem wnuczki.

Jaka matka, taka córka, myślała. To będzie Anglik. I, starając się zachować dystans, patrzyła ze smutkiem wywołanym wspomnieniem córki na marzycielską naturę Kitty, na to, że dziewczyna dobrowolnie oddaje się ciężkiej pracy, na wizyty, które, jak przystało na kochającą wnuczkę, składa jej i Vadimowi, a nawet na jej marny apetyt — na wszystko to, co znamionowało charakter tak bardzo podobny do charakteru Marie-Therese. To będzie Anglik, powiedziała do Vadima. — Ale jeszcze nie teraz! — odrzekł Vadim, przerażony.

Louise wzruszyła ramionami.

— Ona ma dwadzieścia cztery lata. Ale to nic, bo w tym kraju mężczyźni dojrzewają późno.

To samo powiedziała wnuczce, która miała wszelkie powody, żeby jej wierzyć.

Jednak od tamtej pory upłynęło pięć lat i zarówno Kitty jak i jej babka — nic o tym nie mówiąc — czuły się zaniepokojone, ponieważ nic się nie wydarzyło: awatar Johna Maule'a nie zmaterializował się i nie zjawił po swoją narzeczoną. Louise obserwowała, ukrywając rozczarowanie. I nawet wtedy, kiedy to rozczarowanie zamieniło się we wzgardę, obserwowała dalej. Projektowała ubrania dla Kitty i namawiała ją, żeby jadła, żeby przytyła, bo Kitty wciąż była taka szczupła i dziewczęca jak kiedyś jej matka. Kitty czuła ciężar kontroli sprawowanej przez babkę i wiedziała, że chociaż Vadim jest zachwycony faktem, że ona wciąż jest w domu, Louise nie może się doczekać kiedy stąd odejdzie, pozwalając jej umrzeć w spokoju. Gdyż tak długo jak Kitty — ta pozostałość po jej córce — była w domu, Louise musiała trwać i ją ochraniać.

Siedząc w małym, zalanym światłem słońca, pełnym kamieni parku, Kitty poczuła nagle, że potrzebuje kogoś, kto by ją ochronił. Wstała i skierowała

się w stronę domu. Postanowiła zanieść książki do swojego mieszkania i pojechać do dziadków na herbatę. W mieszkaniu, które nagle wydało jej się ciemne, znalazła pocztówkę od Maurice'a. Przedstawiała ona Chrystusa na Majestacie z tympanonu w zachodnim portalu katedry w Autun. Kitty odwróciła ją pospiesznie. „Jak dotąd, wspaniale. Słyszałem cudowne śpiewy. *A bientôt*”. Na widok jego drobnego, równego pisma doznała czegoś na kształt potężnego wstrząsu. O Boże, jak ja za nim tęsknię, pomyślała, jak ja za nim tęsknię, kiedy wiem, że jest fizycznie poza moim zasięgiem. Jaka jestem bez humoru, kiedy go nie ma. Ale zobaczę go wkrótce. *A bientôt*.

Zwykle reagowała na Maurice'a drżeniem, mieszaniną lęku i pragnienia, a zaraz potem ogarniał ją nastrój intensywnej radości. Stojąc przy oknie z pocztówką w dłoni i czekając, aż serce przestanie jej tak mocno bić, zobaczyła Caroline ubraną na żółto i udającą się prawdopodobnie do Harrodsa. Nagła chęć zmieszania się z tłumem, rozproszenia tych potężnych uczuć, podzielenia się wiadomością o otwierających się pomyślnych perspektywach, pchnęła ją w stronę telefonu. Kitty wykręciła numer dziadków.

— Papo — powiedziała. — Przygotujcie się. Wychodzimy. Przyjadę po was taksówką i zrobimy sobie małą wycieczkę.

Po tym oświadczeniu zapadła głęboka cisza.

— Papo — nalegała Kitty — nie musicie się ubierać jak do wyjścia. Po prostu wykorzystamy ładną pogodę i wrócimy, kiedy się zmęczycie. Tak, wiem, że babcia nie wychodzi. Ale nie będzie wcale musiała iść pieszo. I pomyśl, jak dobrze jej to robi.

Była stanowcza i nie widziała powodu, dla którego miałyby ustąpić. Kiedy zajechała przed dom dziadków, zobaczyła ich przez okno taksówki. Czekali na nią na progu,

poważni i przejęci. Vadim, wyjątkowo, miał na sobie krawat, którego węzeł zawiązany był starannie i mocno. Louise ze stoickim spokojem upudrowała sobie twarz i przebrała się w elegancki, ale staromodny jedwabny płaszcz i niewygodne czarne pantofle. Stała, trzymając pod ramię Vadima, oddychając ciężko i z pewną trudnością. A brązowe oczy Vadima latały to w tę, to w tamtą stronę. Vadim był pełen entuzjazmu, zdenerwowany, rozdarty między lękiem

0 Louise a własnym pragnieniem zobaczenia sklepów

1 ludzi, do których tak tęsknił i z którymi rozstał się jakiś czas temu bez szemrania.

— Maman Louise — powiedziała Kitty, obejmując babkę — nie patrz tak. To po prostu taka mała przejażdżka. Nie musisz się przez cały dzień nudzić, nie musisz przez cały dzień siedzieć w domu i palić.

Zaopiekujemy się tobą.

Louise uśmiechnęła się blado. Kitty wzięła ją za rękę, uściśnęła tę rękę, pocałowała. Louise znowu się uśmiechnęła.

— *Vilaine* — powiedziała cicho. I wsiedli do taksówki.

Jechali powoli pustymi ulicami przedmieścia, zalanyymi słońcem. Nic nie mówili. Louise siedziała między Kitty a Vadimem, sztywno wyprostowana, ściskając w dłoni chusteczkę. Vadim i Kitty od czasu do czasu patrzyli na nią, a potem wymieniali między sobą spojrzenia, jak gdyby gratulując sobie nawzajem. Oddech Louise uspokoił się i babka stopniowo się odprężyła. Widziała autobusy, małe kolejki cierpliwych ludzi stojących na przystankach, dzieci wychodzące ze szkoły. A potem, w miarę jak otwierało się przed nimi miasto — sklepy na rogach, opuszczone boisko i rzekę — szeroką i brudną.

— Dokąd chcielibyście pojechać? — zapytała Kitty. — Do Kenwood? A może do St James's Park? Moglibyśmy napić się tam herbaty.

Louise odetchnęła głęboko, spojrzała na Vadima, potem na Kitty, poklepała się po ustach chusteczką, z której unosił się zapach zawsze przez nią używanych fiołkowych perfum i powiedziała z westchnieniem:
— Grosvenor Street.

Na Park Lane Louise, którą przeraził ruch i hałas, chwyciła ich mocno za ręce. A potem wyprostowała się jeszcze bardziej i zaczęła patrzeć uważnie przez okno. Vadim, którego twarz zmarszczyła się w uśmiechu, zrobił tryumfalny gest w stronę Kitty. W końcu Louise odprężyła się, zapaliła papierosa i przyjęła coś w rodzaju swej dawnej, dominującej postawy, przygotowując się do oceniania tego, co tej wiosny miała do zaoferowania Grosvenor Street. Ceglana fasada domu, w którym niegdyś mieścił się ich salon, nie zmieniła się, ale ulica zapchana była teraz zaparkowanymi samochodami i pełna mężczyzn z teczkami, których znajdowało się tu więcej niż eleganckich kobiet. Nagle zobaczyli młodą dziewczynę wychodzącą z domu.

— Dżinsy! — krzyknęła Louise. — *Tu vois, Vadim?* Za moich czasów to było nie do pomyślenia. I sweter zawiązany w pasie! Jak rzemieślnik!

— Wszystkie moje studentki tak się ubierają — powiedziała Kitty.

— *Mais c'était une demoiselle* — zaprotestowała Louise. — *Mais c'est la dégringolade, quoi?*

i Wyprostowała się znowu, wspaniała, jakby pod wpływem tego oburzenia wstąpiło w nią nowe życie. Vadim poklepał jej opuchniętą rękę.

— *Ma* Louise, za naszych czasów było inaczej. Wtedy liczyła się jakość. Ty jesteś ostatnią osobą w tamtym stylu. I najwspanialszą. Nie chcieli iść na herbatę, jakby przyrosli do rozgrzanej taksówki, w której wszystkie okna musiały być zamknięte.

— I wszyscy ci cudzoziemcy! — powiedziała Louise z oburzeniem.

Kitty uśmiechnęła się.

— To są turyści — zapewniła babkę. — Gdzie chcielibyście pojechać teraz? Robi się późno. Źle by było, gdybyśmy utkwili w korku.

Vadim i Louise spojrzeli na siebie, a potem popatrzyli błagalnie na Kitty.

— Na Percy Street — powiedzieli unisono. Dziwili się, że na Park Lane są stoiska z hot

dogami i lodami, wzruszali ramionami na myśl o podziemnym parkingu, krzywili się, widząc wszystkie te samochody i autobusy, z przerażeniem patrzyli na poruszające się jak w transie tłumy kupujących na Oxford Street. Nie mogli zrozumieć, jak to jest, że różne odmiany rocka ryczą ze wszystkich drzwi na raz.

— *La dégringolade* — powtarzała Louise.

W Soho Vadim przewracał z zachwytu oczami, wyobrażając sobie unoszące się tu zapachy i siebie samego w młodym wieku chodzącego sprężystym krokiem po chodnikach. Dom na Percy Street był taki sam jak kiedyś. Kitty kazała taksówkarzowi przystanąć. Nagle wszystko wydało się spokojne. Światło słońca gasło, przechodząc w pogodną i melancholijną szarość.

— Chcielibyście się trochę przejść? — dopytywała się Kitty.

Nie odpowiedzieli. Trzymali się za ręce.

— *Tu te souviens, ma Louise?* — zapytał cicho Vadim.

— Wszystko — powiedziała Louise tonem, jakiego Kitty nigdy u niej nie słyszała. — Pamiętam wszystko.

Kitty zostawiła ich w taksówce i wróciła po pięciu minutach z ciastem w tekturowym pudełku, połową funta grzybów i żółtymi tulipanami. Nigdy nie czuła się im tak bliska, nigdy tak serdecznie nie myślała o dziwnych początkach ich kariery i. ich jeszcze dziwniejszym wygnaniu. Czerwone słońce było już

nisko nad horyzontem, kończył się dzień, który początkowo zamierzała spędzić, zajmując się własnymi sprawami. Pocztówka od Maurice'a znajdowała się w jej torebce, a ona o niej nie myślała. Nie sposób było dostrzec współzależność między kulturą, której wytworem był Giselbertus z Autun, rzeźbiarz, autor tympanonu w zachodnim portalu, a kulturą, której wytworem jest jej babka. A jednak była to ta sama kultura. Kitty poczuła powodującą zawrót głowy potrzebę połączenia wszystkich jakby odrębnych żywiołów. Francji Maurice'a, Francji babki, Francji tradycji romantycznej oraz Francji, w której miała spędzić wyteśknione dwa następne tygodnie i w której rozstrzygnąć się miał jej los. Jestem zmęczona, pomyślała i zapragnęła wrócić do domu, usiąść w swoim mieszkaniu przy cichej uliczce i zastanowić się nad sobą. Gdyż poczuła się jak ktoś, kto jest na marginesie, poczuła, że jej osobowość rozpuszcza się w nasyconym roztworze przeszłości, a jej potrzeby się nie liczą. Siedzący w taksówce i wciąż trzymający się za ręce dziadkowie zdawali się uspokojeni. Podczas podróży powrotnej mieli mało do powiedzenia i widać było, że emocje przeżyte tego popołudnia bardzo ich wyczerpały. Jednak ta gimnastyka okazała się potrzebna, pomyślała Kitty. Bo oto zyskali coś, co mogli przeciwstawić serialom telewizyjnym, magazynom mody i chuście konsjerżki. Oto zyskali dowód na to, że kiedyś byli młodzi, pełni życia i pewni siebie oraz na to, że bez nich zaczął się schyłek. Dziękuję ci, kochanie, powiedział dziadek, za to piękne popołudnie. Piękne, tak, piękne, dodała babka. Kiedy stanęli na chodniku, wydali jej się bardzo starzy. Stali tam, chwiejąc się trochę, zadowoleni, że są już w domu. Z przyjemnością witali spokój panujący na tej ulicy, którą poprzednio gardzili, a poza tym wiedzieli, że to dobrze, że już wrócili, bo

duch Marie-Thérèse wymaga ich obecności w domu. Kitty pomogła im powoli wejść do wnętrza, wzięła płaszcz od Louise i usadziła ich w fotelach. Przez chwilę siedzieli w pokoju, w którym robiło się coraz ciemniej. Siedzieli, nic nie mówiąc. Byli tak zajęci wspomnieniami, że nie mogli troszczyć się o terażniejszość.

— Chcecie, żebym włączyła telewizor? — zapytała Kitty.

Z miłością i współczuciem rozejrzała się po pokoju, popatrzyła na fałszywe Ludwiki Piętnaste — stoły i krzesła, którymi Louise umeblowała niegdyś swój salon przy Grosvenor Street i które teraz, na francuską modłę, były ustawione pod ścianami. Popatrzyła na wiszącą pod sufitem lampę — matową kulę ze słabą żarówką i na zakurzony tiul w oknach. Wiedziała, że w ciemnej sypialni latem i zimą leży na łóżku szara futrzana narzuta.

— Wiesz co, Vadimie — powiedziała babka — napijmy się po kieliszku twojej mikstury.

Vadim bowiem — w szklanym słoju stojącym w kącie kuchni — pędził dziwną i niezwykle mocną śliwkową brandy. Od czasu do czasu słoje wybuchał i mieszkanie wypełniał silny zapach, który nigdy nie ulatniał się do końca. Vadim mówił, że ta brandy jest doskonała na wzmocnienie, ale rzadko udawało mu się namówić Louise i Kitty, żeby się napiły.

Usiedli przy owalnym stole w słabym świetle wiszącej u sufitu lampy i zjedli łyżeczkami odpakowane z tekturowego pudełka, podzielone na porcje ciasto, popijając lepką brandy z małych kieliszków. W przyćmionym świetle twarze staruszków wyglądały na wymizerowane.

Louise i Vadim siedzieli posepni i apatyczni, gdyż ciążyły im liczne niewesołe myśli. Kitty wiedziała, że pójda spać, gdy tylko wyjdzie. I sama poczuła się bardzo zmęczona. Marzyła o kąpieli i własnym łóżku, w którym mogła-

by po wielokroć odczytywać pocztówkę od Maurice'a. Odchrząknęła.

— Jadę w przyszłym tygodniu do Paryża — powiedziała. — Nie wiem, kiedy wrócę. Ale będę codziennie dzwoniła, jak zwykle.

Louise westchnęła.

— Na podróż ubierz się na szaro — poradziła. — W Paryżu szary kolor jest zawsze *correct*.

Wydawało się, że jest zubożniała, że jej to nie interesuje. Kiedy Kitty wstała, żeby wyjść, Louise odzyskała nieco swojej zwykłej surowości i przyjrzała się jej. Dziewczyna nie wyglądała na starszą niż pięć lat temu. Ale Louise wiedziała, że teraz na horyzoncie nie będzie żadnego Jean-Claude'a i wyczuwała, że może zjawi się ktoś inny. Nic na ten temat nie zostało powiedziane. Jednak Louise domyślała się, obserwując widoczną u Kitty chęć zadowalania innych, skupienie w jej oczach, bezwiedne półuśmiechy, czujność, samokontrolę i chęć cieszenia się nawet rzeczami błahymi. A poza tym Kitty wieczorami dzwoniła do nich bardzo wcześnie, jak gdyby chciała już ten telefon mieć za sobą. Louise wyczuwała we wnuczce miłość, mimo że wydawało jej się, że przedmiot tej miłości nie istnieje, gdyż nie zostało wymienione żadne imię, nie miały miejsca żadne zwierzenia. Louise pomyślała o okresie własnych, łatwych zalotów i o szybkim małżeństwie córki. Bała się, że tym razem będzie inaczej. Jednak ostatkiem energii, nie zważając na to, że jest bardzo zmęczona i ma ochotę zgarbić się na niewygodnym krześle, podniosła kieliszek.

— Wznieśmy toast, *ma filie* — powiedziała. — Toast. *Que tous vos rêves se réalisent*.

Vadim podniósł swój kieliszek. Kitty zrobiła to samo.

— *Que tous vos rêves se réalisent* — powtórzyli cicho.

A potem Kitty pocałowała babkę i dziadka, i wyszła.

IX

Na podróż Kitty ubrała się na szaro — bardziej dlatego, że chciała zadowolić babkę niż z jakiegokolwiek innego powodu. Pomyślała, że jeżeli będzie jej posłuszna w tej mało ważnej sprawie, to zdrowie Louise się nie pogorszy. Jej życiem rządziły właśnie takie drobne, nieracjonalne przesady.

Tak czy owak jej ubiór nie miał znaczenia, bo podróżowała sama, a jej towarzyszkami podróży okazały się osóбки, które postrzegala jako kłótlive i hałaśliwe, niechlujne i zdecydowanie młodsze od siebie, no i nie zasługujące na uwagę. Najwyraźniej dokonywało się właśnie przemieszczanie większej ilości młodzieży — jakaś szkoła czy organizacja przenosiła się na drugą stronę Kanału z zamiarem spędzenia na tamtym brzegu dłuższych wakacji

0 charakterze bliżej nieokreślonym, lecz z pewnością edukacyjnym. Duże dziewczyny, większe niż Kitty, szarpały się z nieforemnymi tobołami stanowiącymi ich bagaż. Miały na sobie nieprzemakalne kurtki i tenisówki, i zdradzały skłonność do obdarzania świadczącymi o wysportowaniu kopniakami wszelkich tobołów znajdujących się na ich drodze. Wyglądało na to, że nikt ich nie pilnuje, co mógł

potwierdzać fakt, że czuły się bardzo pewne siebie, wsiadając z krzykiem do pociągu, wnosząc swój dobytek do wagonów i wynosząc go z nich, rzucając się na siedzenia po to tylko, żeby za chwilę skoczyć na równe nogi i zacząć szukać przyjaciółek albo pokrzykiwać zachęcająco na te, które przysły później. Dziewczyny były dość ładne i miały włosy wyglądające tak, jakby przez kilka dni nie tknięto ich szczotką. Kitty podniosła głowę znad książki, kiedy wybuch śmiechu zasygnalizował późne pojawienie się jednej z nich. W przedziale nagle pociemniało, gdyż obleczone w swetry i spodnie ciała rzuciły się do okien, żeby powitać okrzykami szczerzącą zęby w uśmiechu dziewczynę o czerwonej twarzy, zgiętą wpół pod ciężarem wysokiej konstrukcji przytroczonej na plecach. Kiedy dziewczyna przecisnęła się przez drzwi, rozległy się okrzyki aprobaty. Kitty wróciła do książki. Pod koniec podróży czeka nas jeszcze raz to samo, pomyślała.

Postarała się jednak odprężyć i przypomniała sobie radę, jakiej udzieliła jej Caroline. Gdyż przed wyjazdem, kiedy była już ubrana do wyjścia i czekała na taksówkę, która miała przyjechać za godzinę, nie mogła się oprzeć pokusie i zadzwoniła do jej drzwi, żeby ją zapytać, czy dobrze wygląda.

— Wyglądasz bardzo dobrze — odrzekła Caroline bez entuzjazmu. — Chociaż nie wiem... czy nie uważasz, że może lepiej by było ubrać się bardziej kolorowo? Chcesz przecież po przyjeździe wyglądać jak najkorzystniej. Czy twój chłopiec wyjdzie po ciebie?

Kitty zarumieniła się.

— Nawet nie wiem, gdzie on w tej chwili jest — wyznała. — Zadzwoni do mnie, kiedy przyjedzie do Paryża.

Caroline przybrała minę kobiety doświadczonej.

— Tylko nie wpadaj w panikę, jeżeli nie za-

dzwoni — powiedziała. — I nie pokazuj po sobie, że tak ci na tym zależy. Pamiętaj, Kitty, to mężczyzna jest myśliwym.

To powiedziawszy, Caroline wygładziła sobie na piersi dość jaskrawą zieloną sukienkę i przyjrzała się własnym paznokciom. Dała Kitty do zrozumienia, że jest osobą, która potrafi poradzić sobie z wszelkimi jej problemami i że zawsze jest gotowa odbyć z nią naradę. Ale Kitty miała wrażenie, że ta liczba porad jaką uzyskała wystarczy na cały rok i, pocałowawszy Caroline w oba policzki, wróciła do własnego mieszkania, żeby tam w spokoju poczekać na taksówkę.

Teraz, siedząc w pociągu, bardzo się starała odprężyć i wyglądać sympatycznie. One za rok czy za dwa będą studentkami, uświadomiła sobie, podczas gdy obok, przy wtórze ogłuszającego jazgotu, rozgrywano partię kart. Kanał je uspokoi, pomyślała. Sama dobrze znosiła podróże morskie.

Ale nie lubiła podróżowania jako takiego, gdyż zdawało się ono zawsze pogłębiać jej poczucie izolacji — wrażenie, że nie ma swojego miejsca w żadnym jasno określonym kontekście. Prawie zazdrościła tym rozczochranym dziewczynom, które były tak podobne do siebie i które najwyraźniej zostały ukształtowane zgodnie z jakimś modelem przyjętym przez autorytatywny komitet, wiedzący, jak ten model powinien wyglądać. Kitty przeżywała to, co zawsze, kiedy pociąg przyspieszał — miała wrażenie, że traci poczucie tożsamości, że zapomniała jak wygląda i dokąd jedzie. Ale tym razem jestem szczęśliwa, przypomniała sobie. Nie będę sama. A jeżeli nawet, to w każdym razie niedługo. Przez krótką chwilę czuła się pocieszona. A potem sięgnęła do torebki i wyjęła z niej tworzące pasek cztery fotografie, które zrobiła sobie w dworcowym automacie w momencie, gdy do odejścia pociągu miała jeszcze pół godziny.

Spojrzała na nią szara, ładna, nienaturalnie czujna twarz, powielona czterokrotnie. Kitty westchnęła, złożyła pasek, wepchnęła go z powrotem do torebki i zaczęła wyglądać przez okno.

Ktoś potrącił ją łokciem w prawe ramię, i to wcale nie lekko. Kiedy się odwróciła, zobaczyła dziewczynę robiącą wrażenie osoby tak samo niesfornej jak ogromna szopa włosów, która okalała jej miłą i bardzo rumianą buzię. Była to dziewczyna z plecakiem. Stała teraz, tarasując przestrzeń między korytarzem a oknem.

— Przepraszam — powiedziała — czy pani jest Francuzką?

Kitty przeprowadziła w duchu próbę, wygłaszając bezgłośnie swoje zwykle wyjaśnienia, ale zaraz postanowiła obyć się bez nich.

— Nie — odrzekła — ale mówię po francusku zupełnie dobrze. Masz jakiś kłopot?

— Zastanawiałam się, czy pani nie wzięłaby ode mnie jabłka. Mama dała mi ich całą furę, wie pani, ze swojego sklepu. A ja ich nie mogę udźwignąć.

Kitty przyjęła jabłko i zapytała dziewczynę, dokąd ona i jej koleżanki jadą.

— Jedziemy na obóz. Aha, ja jestem Angela. Jedziemy do Neapolu.

Kitty popatrzyła na nią przerażona.

— Nie możecie biwakować we Włoszech — powiedziała. — A już z pewnością nie w Neapolu. Narazicie się na kłopoty.

— Co pani chce przez to powiedzieć?

Pozostałe dziewczyny podniosły głowy znad jabłek, kart i map, i patrzyły na nią ze szczerym zaciekawieniem.

— Nie sądzę, żeby dziewczęta w waszym wieku, na dodatek pozbawione towarzystwa...

Dziewczyny ryknęły śmiechem.

— My nie jesteśmy, jak to pani mówi, pozbawione

towarzystwa. Chłopcy pojechali pierwsi. Spotkamy się z nimi w Amiens. A poza tym jest pan Pascoe.

Na dźwięk tego nazwiska zaczęły się skręcać ze śmiechu.

— Oj, nie mów — jęknęła dość ładna dziewczyna siedząca naprzeciwko Kitty. — Bo nie wytrzymam.

— Kto to jest pan Pascoe? — zapytała Kitty.

— On jest z chłopcami — wyjaśniła Angela. — To niezmierny facet.

Clare się w nim kocha. Będziemy zbyt zajęte walką o niego, żeby martwić się o Włochów. Nawet ich nie zauważymy.

I znowu wybuchnęły śmiechem.

Biedak, pomyślała Kitty. Chociaż, nie wiem. Może jest do takich rzeczy przyzwyczajony. Ciągłe nie miała pewności, jakie wśród różnych ludzi obowiązują standardy zachowania i martwiła się, że jej własne zachowanie mogłoby być lub w istocie jest źródłem fałszywych sądów o niej.

— Pan Pascoe spotka się z nami w Dieppe — oznajmiła Clare z marzycielską miną. — Pomyśleć tylko, że będzie jechał tym samym pociągiem.

— Muszę na niego uważać — powiedziała Kitty. — Bo wygląda na to, że jest interesujący.

Jeżeli zobaczy pani wysokiego, przystojnego faceta i Clare czołgającą się u jego stóp, to będzie pani mogła być pewna, że to on — wtrąciła Angela.

— Słuchajcie, muszę się pozbyć chociaż części tych jabłek, zanim wsiądziemy na prom. Są takie ciężkie, a poza tym zajmują miejsce, a ja chcę jeszcze kupić fajki i wino.

— No to lepiej pozbądź się ich jak najprędzej — poradziła jej Kitty. — Bo dojeżdżamy już do Newhaven.

Przyjęła następne trzy jabłka i włożyła je do swojej starannie zapakowanej walizeczki. A potem wstała, chcąc uniknąć zamieszania, jakie na pewno powsta-

nie, gdy dziewczęta zaczną wysiadać z pociągu i wsiadać na prom.

— Zobaczymy się pewnie w pociągu we Francji — powiedziała Angela.

— Na promie będziemy musiały pilnować Clare, bo ona zawsze wymiotuje. Prawda, Clare?

— Tak — przyznała ładna dziewczyna, biorąc następne jabłko i wbijając w nie zęby. — Ale zwykle szybko mi to przechodzi.

Mimo to, pomyślała Kitty, ja siądę gdzie indziej.

Morze było spokojne, słońce przygrzewało, wiał przyjemny wietrzyk.

Kitty usiadła na pustym pokładzie z książką na kolanach. Panujący tutaj spokój podziałał na nią odświeżająco. Dziewczyny zniknęły — Kitty miała nadzieję, że pod pokładem — i panowała dobroczynna cisza. Kitty poczuła, że policzki jej się zaróżowiły i że na dźwięk dolatujących przez otwarte okno salonu strzępów francuszczyzny znika jej zdenerwowanie.

Podniosła twarz do błękitnego nieba i starała się wchłonąć z czystego powietrza dodatkową energię. Czas minął szybko i bez problemów. Kitty nie miała ochoty ruszyć się ze swojego miejsca na pokładzie, więc zamiast lunchu zjadła dwa jabłka otrzymane od Angeli.

Na kilka minut przed końcem rejsu przyłączyła się do niej wysoka, ładna Francuzka o błyszczących oczach. Kitty przywitała ją kiwnięciem głowy, a Francuzka powiedziała:

— Tylko pięć godzin podróży, a ja już jestem jakaś otepiała.

A potem, kiedy francuski brzeg był już lepiej widoczny, wstała, poprawiła płaszcz, odetchnęła głęboko i stwierdziła żarliwie:

— *Enfin. Rien na vaut la France.*

Kitty w tym momencie zgadzała się z nią. Rozleglejszy brzeg i szersze niebo zdawały się obiecywać jej odnowienie sił i pewności siebie, która

— Kitty była

tego w pełni świadoma — w ciągu ostatnich kilku tygodni ulegała stopniowej erozji. Pomyślała, że chciałaby teraz usłyszeć dźwięki Marsylianki i żałowała, że nikt nie zorganizował takiego powitania. Wzięła swoje rzeczy i poszła w stronę pomostu, a gdy się znalazła bliżej, spostrzegła, że przed nią idą dziewczyny. Czerwieńsze teraz na twarzach i jakieś przygaszone, wyglądały bardziej dziecinnie niż na ziemi ojczystej. Tak, przypominały dzieci, mimo że były takie duże. Ich okropne bagaże leżały w większym niż kiedykolwiek nieładzie, tworząc wręcz góry piętrzące się między nią a mołem.

— Halo — powiedziała Kitty do dziewczyny, która dała jej jabłko. — Dobrze się czujesz? Czy twoja koleżanka wymiotowała? Angela z trudem skupiła na niej wzrok. Ubranie miała nieco wymięte, co nie uszło uwagi Kitty.

— A, to pani — powiedziała niewyraźnie. — Clare? Nie, Clare czuje się dobrze. Spotkałyśmy w barze paru facetów i nieźle się bawiłyśmy. Nie miała na sobie nieprzemakalnej kurtki ani swetra. Była w trochę przybrudzonej koszulce trykotowej, na której widniała twarz i wskazująca ręka Lorda Kitchenera. Ta ręka wyłaniała się spomiędzy jej dużych piersi.

— Pani mówi po francusku, prawda? Czy mogłaby pani pomóc nam zawołać bagażowego? Co trzeba zrobić? Zawołać: *Garçon* }

— Nigdy — zaprotestowała przerażona Kitty. — Trzeba się do nich zwracać *per monsieur*. A poza tym wątpię, czy tu znajdziecie bagażowego. Będziecie musiały jakoś sobie poradzić.

Francuzka, z którą Kitty rozmawiała na peronie, spojrzała na nie z nie ukrywanym przerażeniem.

— Ależ one są pijane — syknęła do Kitty. — *Mais ce n'est pas permis. Elles ne savent pas se compoter dans le monde.*

Kitty zeszywniała.

— One są młode, madame — odpowiedziała po angielsku.

Kobieta spojrzała na nią podejrzliwie, a potem odwróciła się urażona.

— *Tout de même* — mruknęła.

— Głupia krowa — powiedziała Clare, zaznaczając w ten sposób, że jest tą, która wodzi rej w grupie.

Rozległy się gwizdy i piskliwe śmiechy. Przy ich dodającym animuszu wtórze dziewczęta, a wraz z nimi Kitty, przetaszczyły swoje bagaże na peron i do czekającego pociągu. Od czasu do czasu ich pochód łamał szyki. W końcu Clare i Angela, uwieszone na sobie, przewróciły się bezradnie na ziemię. Ruszyły dalej, zataczając się, dopiero wtedy, kiedy Kitty kazała im wstać i iść. Ich bagaż powiększył się o torby plastikowe wypełnione butelkami i kartonami papierosów. Kitty natomiast pozostała nieskazitelnie elegancka.

W pociągu dziewczęta bezzwłocznie zasnęły, i dlatego nie widziały wysokiego mężczyzny w koszuli z wykładanym kołnierzykiem, który ze wzgardliwym wyrazem twarzy zajrzał do przedziału. Kitty otworzyła drzwi i spojrzała na niego pytająco. Czowała się odpowiedzialna za dziewczęta.

— Jestem Pascoe — oznajmił mężczyzna cierpko niskim głosem. — Czy są tutaj wszystkie?

Kitty kiwnęła głową. On też kiwnął, zamknął drzwi i zniknął. Po pięciu minutach pojawił się znowu, otworzył drzwi i powiedział:

— W drugim końcu jest bufet. Myślę, że obojgu nam dobrze zrobi kawa. One nie obudzą się przed Paryżem — dodał. — A wtedy niech Bóg ma mnie w opiece.

— Dlaczego Bóg ma pana brać w opiekę? — zapytała Kitty, kiedy już wcisnęli się za mały metalowy stolik i usiedli. — Wydaje się, że to miłe dziewczyny.

— Dlatego — odpowiedział tonem jeszcze bardziej cierpkim niż przedtem — że mamy nocować w hotelu koło Gare du Nord. I one przez całą noc będą próbowały uciec i pójść oglądać widoki, jak to określają. Może sobie pani wyobrazić, ile tych widoków jest koło Gare du Nord. Te dziewczuchy będą chciały iść do nocnego klubu i pić szampana, i najedzą się rzeczy, których nie powinny brać do ust. I pomyśleć, że mógłbym teraz chodzić po Dolomitach, jak to sobie planowałem.

Westchnął teatralnie.

Kitty zauważyła, że jej rozmówca ma byroniczną głowę. A on doskonale zdawał sobie z tego sprawę, bo odwracał się bokiem, tak żeby zaprezentować półprofil. Był bardzo przystojny i Kitty rozumiała, dlaczego Clare jest w nim zakochana. Przypuszczała jednak, że dziewczyna nie ma dużych szans. Pan Pascoe bowiem zdawał się mieć dość zajęcia z dawaniem sobie rady z samym sobą.

— Nie wygląda pan na nauczyciela — odważyła się stwierdzić Kitty.

— Jestem kulawy — brzmiała jego ponura odpowiedź.

To po prostu nie może być prawda, pomyślała Kitty. O takich rzeczach czytuje się w powieściach z czasów pierwszej wojny światowej.

Pomyślawszy tak, zarumieniła się lekko, zdając sobie sprawę, że wykazuje brak wiary w jego prawdomówność.

— Czy to by panu nie przeszkadzało tam, w Dolomitach? — zapytała.

— Ani trochę — stwierdził ostro. — Kiedy brak mi ruchu, noga robi się sztywna. A podczas tych wakacji całą moją gimnastyką będzie sprawdzanie, jak zostały rozbite albo zwinięte namioty.

Pokręcił swoją piękną głową. Miał tak zde gustowaną minę, że Kitty zaczęła go żałować. Dziewczyny rzeczywiście były bardzo absorbujące

— wie-

działa to, a przecież spędziła z nimi zaledwie jeden dzień. A trzeba było jeszcze brać pod uwagę chłopców.

— Od dawna pan wykonuje ten zawód? — zapytała.

— Dopiero od kilku trymestrów — odrzekł. — Przedtem nie robiłem właściwie niczego szczególnego, tylko przez pewien czas pracowałem na roli w gospodarstwie ojca. A potem miałem wypadek samochodowy i zostałem odstawiony na boczny tor. Jeden facet, którego spotkałem w szpitalu, przyjaźnił się z dyrektorem tej szkoły. Potrzebowali zastępstwa, więc dałem się namówić. To piekło — powiedział po prostu. — Odejdę z tej pracy, kiedy rok szkolny się skończy. Z wielką ulgą.

Więc on naprawdę jest kulawy, pomyślała Kitty, zawstydzona. A ten facet w szpitalu był najprawdopodobniej lekarzem. Wygląda na to, że panu Pascoe rzeczywiście się nie wiedzie.

— Ja też jestem nauczycielką — powiedziała. — Lubię to zajęcie.

Ale on wcale nie zwrócił uwagi na jej słowa.

— Dzieciaki nie są takie złe — stwierdził. — Właściwie lepiej sobie radzę z nimi niż z tak zwanymi dorosłymi.

Mój drogi, pomyślała Kitty, prawdopodobnie tak będzie zawsze. Od chwili, kiedy usiedliśmy, nie spojrzałeś na mnie ani razu. A szkoda, bo wydajesz mi się miły, interesujący i jesteś wyjątkowo przystojny.

Ponadto myślę, że mogłabym polubić twoje towarzystwo. Gdybyś tylko nie był tak niemożliwie zajęty sobą. To bohater romantyczny, zawyrokowała. I na dodatek utykający.

Nie wypowiedziała głośno żadnej z tych uwag. Obserwowała tylko jego posepną twarz o ładnych rysach i długie palce zawijające w papierek i rozwijające wciąż tę samą kostkę cukru. Kiedy tak mu

się przyglądała — myśląc równocześnie, że on naprawdę jest kimś godnym uwagi — zaskoczył ją nagle tym, że podniósł wzrok, ogarniając ją krytycznym spojrzeniem. Oboje, z lekka zszokowani, nie odrywali od siebie oczu. Patrzyli tak na siebie, rumieniąc się, dopóki pan Pascoe nie odwrócił z ociąganiem wzroku i nie zaczął znowu zawijać swojej kostki cukru.

Po chwili odchrząknął.

— Byłbym pani zobowiązany, gdyby zjadła pani ze mną kolację — powiedział niedbale. — Dziś wieczorem.

Kitty uśmiechnęła się.

— I z uczennicami? — zapytała.

— Po tym, jak uczennice pójdą spać — odrzekł. — Ja naprawdę nie mogę odpowiadać za to, co- one zrobią później. W końcu nie będę ich trzymał pod kluczem. Nie mogę też stać pod drzwiami i pilnować każdej z nich.

— Zastanawiam się, dlaczego nie wysłano z nimi nauczycielki — powiedziała Kitty.

— Były takie plany, ale nauczycielka musiała nagle wrócić do domu. Jej matka przewróciła się i złamała nogę w biodrze.

— Niech się pan rozchmurzy — powiedziała Kitty, która normalnie nie mówiła takich rzeczy. — Przynajmniej pogoda jest ładna. Nie będzie tak źle. A ja nie mam nic przeciwko temu, żeby pomóc panu dziś wieczorem, jeżeli to ma dla pana jakieś znaczenie. Moglibyśmy razem z dziewczętami pójść gdzieś na kolację.

Uważała, że jest to propozycja do przyjęcia, jednak on nie wyglądał na zadowolonego.

— Będzie im się pewnie podobała taka samoobsługowa restauracja na rue de Rivoli. Mogą tam zjeść kurczaka z frytkami. Myślę, że po kolacji poczują się bardzo zmęczone. Zawieziemy je do

hotelu metrem, a potem będzie pan mógł odetchnąć. Dać wreszcie odpocząć swojej chorej nodze — dodała.

Pan Pascoe zastanowił się głęboko. Kitty widziała, że jest zbyt dumny, aby nalegać. I za bardzo przyzwyczajony do tego, że kobiety postępują tak, jak on chce, aby przyznać, że jej propozycja odbiega od tego, co pragnął osiągnąć. Szkoda, że jest taki, pomyślała. Bo byłoby może miło zjeść z nim kolację. Ta kolacja wypełniłaby mi dzisiejszy wieczór. Jednak z drugiej strony co będzie, jeżeli się okaże, że Maurice jest już na miejscu? I w hotelu czeka na mnie wiadomość od niego? Muszę jechać prosto do hotelu, zaraz po przyjeździe do Paryża. A potem, jeżeli się okaże, że nie ma wiadomości, będę mogła się z nimi spotkać na rue de Rivoli. Jednak po kolacji wrócę prosto do hotelu, bo może Maurice zadzwoni.

Zastanawiała się tak ze spuszczonej oczami, a kiedy je podniosła, zobaczyła, że on znowu się w nią wpatruje. I ponownie trochę się zarumieniła.

— Jest pani z kimś umówiona w Paryżu? — zapytał.

— W pewnym sensie — odpowiedziała.

Nie chciała jeszcze bardziej urażać jego dumy.

— Z kimś z pracy — mówiła dalej, widząc, że się zasepił. — Mamy zamiar obejrzeć razem kilka katedr.

— Ten ktoś to mężczyzna? — pytał dalej. Kitty wyobraziła sobie Maurice'a jadącego przez

Francję — jadącego samotnie, bez niej — i poczuła, że ogarnia ją smutek. Mogłam być z nim przez cały czas, pomyślała.

— Tak, oczywiście — powiedziała pospiesznie, bo uświadomiła sobie, że zaczyna wpadać w jeden ze swoich ponurych nastrojów.

— Jest pani bardzo ładna — stwierdził pan Pascoe

i widać było, że zaraz zrobił się zły na siebie za to, że się tak zdradza ze swymi myślami.

Nie można było mieć żadnych wątpliwości, że od dzieciństwa był przystojny i przyzwyczajony do tego, że wygląda lepiej niż inni.

Kitty uśmiechnęła się.

— Dziękuję — powiedziała niewyraźnie, a potem, odwracając się do okna, zawołała szczerze zdziwiona: — Ależ my już prawie dojeżdżamy! Nigdy jeszcze podróż nie upłynęła mi tak szybko!

Pan Pascoe westchnął ciężko. Dla niego ta podróż z pewnością nie jest przyjemna, pomyślała Kitty i zapytała:

— Czy chciałby pan, żebym panu pomogła dziś wieczorem? Mogłabym się spotkać z panem i dziewczętami w tej samoobsługowej restauracji. Przedtem chcę tylko sprawdzić, czy mój znajomy nie zostawił mi wiadomości w hotelu.

Pan Pascoe odwrócił się twarzą do okna i stał tak przez chwilę, demonstrując swój profil.

— To bardzo miłe z pani strony — powiedział w końcu. — Czy możemy się spotkać o wpół do ósmej? Myślę, że one będą chciały się przedtem umyć, czy coś takiego. A ja muszę rozdzielić pokoje.

Kitty uśmiechnęła się znowu.

— A więc o wpół do ósmej na rue de Rivoli. A teraz lepiej wracajmy do nich.

Chwiejnym krokiem przeszli przez pociąg. Przyszło im to z dużym trudem, gdyż korytarz był już zapchany bagażami; tłoczyli się też w nim ludzie. Kiedy dotarli do przedziału, dziewczyny właśnie budziły się ze snu. Ziewały i były rozczochrane, i wyglądały młodziej i bardziej niechlujnie niż przedtem, ale Kitty zauważyła, że ich młodość sprawiła, że niezwykle szybko odzyskały siły.

— Dziś wieczorem zjemy razem kolację — poinformowała je.

W tejże chwili pojawił się za nią pan Pascoe, a na twarzy Clare odmalował się wyraz zdumienia.

— Spotkamy się przy wyjściu — powiedział pan Pascoe. — Poczekajcie, aż wszyscy wyjdą i dopiero wtedy wynieście swój bagaż. Zróbcie to jak najsprawniej.

— Tymczasem mówię wam „do widzenia” — odezwała się Kitty, biorąc swoją walizeczkę. — Ale zobaczę się z wami później. Chcę tylko sprawdzić, czy w hotelu nie ma dla mnie wiadomości. Dobrze się czujesz, Clare? Nie masz mdłości?

— Dziękuję, czuję się świetnie — odpowiedziała Clare, tłumiąc swoje wybujałe uczucia.

Za kilka lat będzie z niej straszna baba, pomyślała Kitty, a potem zajęła się szukaniem taksówki. Cała jej uwaga skupiała się teraz na tym, co ją czeka w hotelu. Fakt, że dziewczyny w ogóle istnieją, prawie wyleciał jej z pamięci.

Kiedy taksówka szarpiąc posuwała się z trudem ruchliwymi ulicami, Kitty pograżyła się w marzeniach. Może Maurice rzeczywiście już przyjechał? Coś jej mówiło, że on już jest na miejscu, że wkrótce się zobaczą, że spędzą razem całe dwa tygodnie i że dzięki temu jej życie zmieni się, i to w sposób nieodwracalny. Nie zauważyła, że jest piękny wieczór, gdyż jej wzrok zwrócony był do wewnątrz. Trzymała głowę nieruchomo, traktując wysokie budynki przesuwające się po obu stronach za szybami samochodu jak końskie okulary zasłaniające tę część świata, która nie miała dla niej w tej chwili znaczenia. Oddała się całej sztuce antycypacji, gdyż sądziła, że będzie musiała stać się w niej biegłą. Paryż kipiał za oknami, nie zauważony, podczas gdy ona usiłowała sobie przypomnieć, czy dała Maurice'owi swój numer telefonu. Podała mu nazwę i adres hotelu. Och, Boże, to po prostu śmieszne, powiedziała sobie.

On na pewno już dzwonił i zostawił wiadomość, gdzie mam go szukać. Jednak okazało się, że żadna wiadomość na nią nie czeka. Kitty weszła na górę dość powoli i otworzyła drzwi pokoju. Podeszła do okna, jak gdyby spodziewając się, że zobaczy przez nie Maurice'a. Potem przez parę minut siedziała na łóżku. W końcu westchnęła, wstała i zaczęła się rozpakowywać. Umyła twarz i wyszczotkowała włosy, a następnie, nie mogąc już dłużej zwlekać, zbiegła na dół, wyszła na ulicę, na której panował wieczorny chłód, i udała się na rue de Rivoli na kurczaka z frytkami, którego miała zjeść w towarzystwie pana Pascoe i dziewcząt.

X

W hotelu, który Kitty uznała za odpowiedni dla swojej kieszeni, pokoje nie były ani wystarczająco dobrze ogrzane, ani wystarczająco dobrze oświetlone. W ciągu dnia Kitty potrafiła zignorować te bardzo nieznaczne niewygody, gdyż miała mnóstwo do zobaczenia i dużo roboty, a także wiele doskonałych pomysłów w związku z tematem, nad którym pracowała. Ale wieczorami nienawidziła wracać do hotelu. Męczył ją wtedy strach przed samotnym studiowaniem książek, o wiele bardziej dokuczliwy niż nuda nekająca ją na Old Church Street. Nie chciała siedzieć sama, bo miała przecież tak wiele do powiedzenia, bo przychodziło jej do głowy tyle myśli, którymi się mogła podzielić. Głowę miała tak pełną słów, a musiała je wszystkie zachować dla siebie. Po kolacji, którą zjadła w narożnym bistro — ogarniał ją niewytłumaczalny smutek. Myśl o tym, że w banalnie umeblowanym pokoju hotelowym ma zmagać się z pisaniem wykładu — co za dnia przychodziło jej łatwo, a wieczorem wydawało się zadaniem niewykonalnym — zaczynała łączyć się w jej świadomości z myślą o samotności, o wygnaniu. Wygnanie, mówiła do

siebie w duchu. Czułam to już kiedyś. Nie mogła sobie jednak przypomnieć, w jakich okolicznościach.

O dziewiątej zwykle kładła się do łóżka. Usiłując czytać przy słabym świetle, zmuszała się do ignorowania faktu, że Maurice nie zadzwonił i że nie było od niego wiadomości. Upłynął już tydzień od jej przyjazdu do Paryża. Każdego ranka zadawała sobie wiele trudu, żeby wyglądać jak najładniej — na wypadek gdyby Maurice zjawił się bez uprzedzenia.

Każdego ranka informowała też recepcjonistkę hotelową, kiedy wróci. — Spodziewam się wiadomości — mówiła. Wszyscy już o tym wiedzieli i wieczorem, kiedy

wracała po całodziennym czytaniu i spacerowaniu, kręcili głowami ze współczuciem. Kitty miała świadomość, że takie upokorzenia nie spotykają kobiet, które są kochane. Mimo że bezustannie przypominała samej sobie, że plany Maurice'a nigdy nie sięgają daleko w przód, że Maurice'owi często mylą się daty i że Maurice nie wie — nie może wiedzieć — że ona tak niecierpliwie czeka na jakiś znak od niego, czuła się rozczarowana.

Kiedy Maurice w końcu zadzwonił, była rozgoryczona i na jego pytania odpowiadała tak, jakby ją wyrwał ze stanu otępienia.

— Czy ja cię obudziłem? — zapytał Maurice. — Sam jestem wykończony.

— Gdzie jesteś?

To było wszystko, co chciała wiedzieć.

— W uroczym małym hoteliku koło Chartres — odpowiedział.

Nie mówił głosem człowieka zmęczonego.

— Właśnie zjadłem najlepszy posiłek w życiu. A katedra jest oświetlona. I cudowna. Słuchaj, Kitty, mógłbym zjawić się jutro na lunch. Rano chcę jeszcze popatrzeć na katedrę. Mógłbym przyjechać

po ciebie do hotelu koło pierwszej. Będiesz miała czas, by pójść do fryzjera, kochanie.

Kitty oparła się o wezglowie staromodnego łóżka, starając się ocenić sytuację. Gdzie on ma zamiar się zatrzymać po przyjeździe do Paryża? Nic na ten temat nie mówił. Po jego głosie można sądzić, że jest w dobrym nastroju, prawie w euforii. I powiedział: „Kochanie”. To z pewnością musi coś znaczyć, prawda? Kiedy ona zwracała się do Maurice'a czule— przy czym zawsze musiała się hamować, bo jemu nie podobałyby się zbytnia wylewność — pieszczotliwe słowa cisnęły jej się na usta z ogromną siłą i były całkiem szczerze. Uważała, że tak powinno być. Słowa oraz ich treść miały dla niej tak wielką wartość, że pragnęła, by i dla innych miały podobne znaczenie. Przypomniała sobie pana Millsa i jego nieudolne tłumaczenia. Jest pan dokładny, powiedziała mu kiedyś, a jednak gubi pan sens. Niech pan się postara zachować i dokładność i sens, tak, żeby wyłowić z tekstu wszystkie informacje. Mills spojrział na nią, nie rozumiejąc. Sam był zawsze zadowolony z własnych tłumaczeń. Dostyc tego, pomyślała. Muszę dzisiaj dobrze spać a jutro wyglądać jak najlepiej. Pójdę do fryzjera, chociaż byłam u niego dwa dni temu. Wykład może poczekać. Jestem przecież na wakacjach. Zobaczę wreszcie Maurice'a i będziemy razem. Wsiądziemy do samochodu i pojedziemy do Saint-Denis. Mimo to nie spała dobrze.

Na drugi dzień, o dziesiątej rano, była już gotowa i czekała. Dopiero powtarzające się pukanie pokojówki sprawiło, że wyszła z pokoju. Gdyby nie to, siedziałaby tam aż do przyścia Maurice'a. Zaczęła się włóczyć bez celu po nieciekawych ulicach w najbliższym sąsiedztwie. Nie chciała się oddalać. Jej plany i życzenia uległy zawieszeniu. Ulice spowijała szara mgła tworząca świat słabo zaznaczonych kon-

turów. Dźwięki zdawały się jakieś odległe. Był ranek, a ona miała wrażenie, że niebawem nadejdzie zmrok. Siedziała i piła kawę. Ruchy miała precyzyjne i celowe. Nic w jej wyglądzie nie zdradzało napięcia. Przypomniawszy sobie nudę poprzednich tygodni, wiedziona jakąś przekorą, zapragnęła zająć się pracą. To pragnienie — musiała przyznać — przychodziło nie w porę. Ale przecież nie wiedziała, jak długo pozostanie jeszcze w Paryżu i ile czasu będzie mogła poświęcić wykładowi.

Wróciła do hotelu, żeby zmienić buty i poprawić makijaż i fryzurę. Zrobiwszy to, usiadła po prostu przy oknie i zaczęła czekać. Słyszała, jak zegar wybija dwunastą, a potem, o wiele wcześniej niż się spodziewała, zobaczyła Maurice'a. Miał na sobie koszulę w niebieską kratę i czerwony pulower, i niósł kilka książek. Wyglądał jak ktoś, kto właśnie wyszedł z biblioteki, spędziwszy w niej uprzednio spokojne przedpołudnie. Nie dostrzegł Kitty i właśnie dlatego ona wybiegła na ulicę, chcąc jak najszybciej się z nim spotkać.

Pocałował ją lekko w oba policzki. Wyglądał bardzo dobrze, był nawet opalony.

— Chodź szybko i opowiadaj — powiedziała Kitty.

— Wiesz co, zostawię te książki w recepcji. I pójdziemy coś zjeść.

Umieram z głodu.

Ale ze mnie idiotka, pomyślała Kitty, patrząc na jego długie opalone ręce. Dlaczego nie wynajęłam mu tutaj pokoju. Chociaż może on już to zrobił sam, telefonując wczoraj wieczorem. Jeżeli tak, to dlaczego nie zanieśie tych książek na górę?

— Maurice — zapytała — nie zatrzymasz się w tym hotelu?

I czułym gestem położyła dłoń na jego dłoni.

— Mieszkam tuż za rogiem, kotku. Ni mniej, ni więcej tylko w hotelu Franklina Roosevelta. Tylko

że tam nie dostałem pokoju z łazienką. A ty masz łazienkę? Kochanie, pozwolisz mi się później wykapać?

A więc to będzie miłość po południu, pomyślała Kitty. *Mer de, alors.* Kotku. Kochanie. Na Kitty te słowa i widok zębów Maurice'a wbijających się w rzodkiewki działały bardziej pokrzepiająco niż stojąca przed nią sałatka z pomidorów, do której od czasu do czasu sięgała z roztargnieniem. Jej świadomość zarejestrowała wszystko: jego spuszczone rzęsy, brązową skórę, poruszające się precyzyjnie dłonie. Potem Kitty dała mu swoje pomidory, bo widziała, że ma na nie ochotę i podsunęła mu chleb. Zapomniała zupełnie o wcześniejszych rozczarowaniach. Była zdolna koncentrować się tylko na tym, co miała przed sobą: na nim, na swoim jeńcu o ustach błyszczących od oliwy. Po chwili zapytała:

— Gdzie zostawiłeś samochód?

A on, krojąc metodycznie kotlet, odpowiedział:

— Samochód pojechał już do Anglii. Znalazłem kogoś, kto zgodził się go odprowadzić. Będiesz jadła te kartofle?

Kitty oddała mu swój talerz. Maurice jadł za nich oboje, a jej się to podobało. Karmienie go było w tej chwili jedyną rzeczą, jaką chciała robić. Jednak fakt, że on pochłaniał wszystko z takim apetytem, podniósł wartość jedzenia, więc Kitty nabiła na swój widelec kartofel z jego talerza, bo ten wydał jej się o wiele smaczniejszy teraz niż wtedy, kiedy znajdował się na jej własnym. Jakiś mężczyzna siedzący samotnie przy sąsiednim stoliku uśmiechnął się blado, widząc do jakiego stopnia jest tym wszystkim pochłonięta. Wzrok Kitty spotkał się z jego wzrokiem i Kitty odpowiedziała mu uśmiechem. Popatrzyli na siebie poważnie ponad pochyloną głową Maurice'a, rozu-

miejąc się doskonale. Widzi pan, ja go kocham, powiedziała Kitty bez słów. Mężczyzna westchnął, poprosił o rachunek i podniósł filiżankę kawy, jakby wznosząc toast. Tak, pomyślała Kitty, szczęście. Wreszcie je mam. Kiedy odwróciła głowę w stronę Maurice'a, on uśmiechał się do niej.

— Cóż to, Kitty — powiedział — widzę, że się źle zachowujesz. No, dobrze — mówił dalej, patrząc na zegarek. — Jak możemy się dostać do Saint-Denis? Pewnie pociągiem. Okropnym pociągiem jadącym z Gare du Nord.

— Ależ Maurice — zaprotestowała Kitty — nie musimy chyba tam jechać dzisiaj? Myślałam, że chcesz się wykapać.

— Mogę to zrobić po powrocie. I musimy tam pojechać dzisiaj, kotku, bo rano lecę do Anglii.

— Ale Maurice...

— Wiem, wiem. To okropne. Przyjeżdża moja chrzestna matka i obiecałem rodzicom, że wrócę. A więc, jak widzisz, nie ma chwili do stracenia.

W pociągu zasnął, podpierając głowę dłonią. Kiedy Kitty odwróciła się od niego, jej wzrok padł na okno, na brudne, beznadziejne okno, za którym ciągnął się ponury krajobraz — wysokie domy mieszkalne, małe fabryczki oraz skomplikowana sieć drutów elektrycznych. W dudniącej kolejce podmiejskiej pełno było drobnych śniadych mężczyzn w dziwnych kapeluszach, mężczyzn wyglądających na takich, którzy przemykają się przez życie ukradkiem i którzy równocześnie są solidni, mężczyzn trzymających swój dobytek w tekturowych walizkach ściśniętych mocno między kolanami. Kitty poczuła, że jest zdenerwowana i obudziła Maurice'a.

— Proszę cię, nie śpij — powiedziała. — Ja nie będę wiedziała, gdzie wysiąść. Tu wszystko wygląda tak samo. Taki krajobraz ciągnie się pewnie aż do morza. Taka jest północna Francja.

Maurice popatrzył na nią łagodnie. Krótki sen spowodował, że był znowu opanowany i nieprzystępny jak zwykle, że nie miał w sobie już tej lekkości, energii i... tej beztroski, tak, beztroski, bo to, co demonstrował od chwili gdy przyjechał, nie było niczym innym. A przyjechał zaledwie przed trzema godzinami, zdziwiła się Kitty. I musiał odczuwać emocje podobne do moich. Dlaczego więc nie może zostać? Dlaczego nie chce zostać dłużej?

Jej z lekka melancholijny nastrój pogłębił się, kiedy szli do bazyliki, która przywodziła jej na myśl basztę otoczoną budowlami przypominającymi rzeźnie. Szare popołudniowe światło padało na to, czemu i słońce nie mogło dodać uroku — na ulicę pełną tanich sklepików, sklepów z końskim mięsem i samoobsługowych pralni. W Bar des Sports tkwiło kilka apatycznych, zgarbionych postaci. Przed jakąś kawiarnią stał, ziewając, kelner w samej koszuli i w długim czarnym fartuchu. Zrobiło się ciemniej i padał drobny deszcz. Zmoknie mu ten ładny pulower, pomyślała Kitty w chwili, gdy potykając się na śliskich kamieniach bruku, podchodzili do zachodniej fasady.

Kitty była bardzo rozczarowana tym, co zobaczyła. Rozeta okazała się pośledniej urody, kamienie nie zwietrzały równomiernie jak w innych starych budowlach, pojedyncza wieża stała ciężka i pozbawiona wdzięku. Rzeźby w głównym portalu okazały się tak płaskie, że Kitty zdawało się, że patrzy na odlewy w metalu. Nad głównymi drzwiami, zamkniętymi na amen, siedział wyrzeźbiony Chrystus na Majestacie, którego wiek był nieokreślony i którego ramiona przedłużone były o zwoje z tekstem głoszącym Jego chwałę. Małe figurki świętych, aniołów i doktorów Kościoła tańczyły w koło w półkolistej archiwolcie, spotykając się ponad Jego głową.

— Maurice — powiedziała Kitty tęsknie — tam

po prawej stronie stoi jakaś piękna osiemnastowieczna budowla. Nie moglibyśmy jej się przyjrzeć?

Pragnęła czegoś eleganckiego i racjonalnego, czegoś, co pomogłoby jej utrzymać równowagę ducha, bo Saint-Denis zdawało się świadczyć o nieracjonalności Boga. Maurice, wznoszący oczy do Chrystusa, zignorował jej pytanie. Stał na deszczu, przykuty do miejsca, z włosami pociemniałymi od wilgoci, podczas gdy ona, chcąc się schronić, podbiegła do bocznych drzwi.

W środku przez moment nie dostrzegła niczego, słyszała tylko kroki i nie wiedziała czy Maurice wszedł za nią. Znajdowała się w ogromnej nekropolii, na mieszczącym się w tej gotyckiej budowli cmentarzu, zarezerwowanym dla bogatych, sławnych i nieodwracalnie martwych. Gdzieś przed sobą słyszała głos przewodnika, chociaż nie widziała nikogo. Przypuszczała, że głos płynie z taśmy. Jakiś niewytłumaczalny lęk kazał jej pozostać w pobliżu drzwi. Maurice, dobrze widoczny w swoim czerwonym pulowerze, znalazł się przed nią. Był całkiem nieświadomy jej obecności albo zapomniał o niej, a ona miała zbyt mało pewności siebie, żeby mu o sobie przypomnieć.

Po chwili, przestraszona, zaczęła błądzić wśród grobowców. Od czasu do czasu zapominała o lęku, bo jej uwagę przyciągało piękno imion:

Dagobert, Childebert, Carloman, Frédégonde, Ermentrude, Blanche de Castille, Isabelle d'Aragon. Stopniowo dokuczliwy niepokój ustąpił i Kitty zdobyła się na odwagę i zaczęła patrzeć na rzeźby. Zaglądała przy tym do przewodnika, żeby się przekonać, czy zauważa to, co należy zauważyć. Grobowiec Dagoberta Pierwszego przypominał uporządkowaną bieliźniarkę, na której półkach stały rzędy figurek. Samego Dagoberta upakowano porządnie pod nimi. Wokół grobowca Ludwika de Valois maszerowały małe rzeźbione

postacie w pelerynach z kapturami, odprawiające żałobę. Książę zaś leżał płasko, ale wydawał się jakby nie całkiem martwy, gdyż oczy miał otwarte, a ręce uniesione w modlitwie. Na jego gotyckiej twarzy dostrzegła coś z tej bezkompromisowości i tej nie-złomności wiary, które dawały się zauważyć u Mau-rice'a. Natomiast Blanka Kastylska była zdecydowanie martwa. Jej pusta głowa zrosła się całkiem z metalową koroną i stanowiła z nią jedną całość.

Kitty niepokoił widok tych par królów i królowych, niekoniecznie połączonych małżeńskimi węzłami. Królowie ci i królowe leżeli jak na odwiecznych łożach małżeńskich. Ubranego bez przepychu Karlomana (według przewodnika zmarłego w roku 771) umieszczono obok Ermentrudy, a Filipa (zmarłego w roku 1131) obok Konstancji Kastylskiej. Mimo że wszyscy mieli wspaniałe szaty, korony i berła, otaczała ich atmosfera intymności, prywatności.

W kościele robiło się coraz ciemniej. Kitty zawróciła, skręciła za róg, poszła dalej i zaparło jej dech. Miała przed sobą podeszwy czterech bosych stóp i widziała w skrócie nagie ciała dwóch osób. Pod marmurowym katafalkiem leżały dwie marmurowe postacie, przedstawione najwyraźniej w chwili śmierci, gdyż pierś mężczyzny była wyprężona, a palce u jego stóp rozczapierzone pod wpływem bólu. Mężczyzna jedną ręką osłaniał sobie genitalia. Ciało kobiety wydawało się mniej napięte, ale jej kolana były przyciśnięte do siebie, a palce stóp podkurczone. Kitty zajrzała do przewodnika: Henryk Drugi i Katarzyna Medycejska, dzieło Germaina Pilona. Na katafalku znajdowały się dwie rzeźby z brązu — klęczące postacie króla i królowej wyglądających tak jak za życia. Kobieta była pełna wdzięku, wykwinna i miała we włosach perły, a mężczyzna, który sprawiał wrażenie ociężałego, ale wymownego i inteligentnego, gestem polityka wy-

ciągał długą rękę. Kitty wróciła do *gisants*, rzeźb przedstawiających martwe ciała króla i królowej. A więc to jest rzeczywistość. Śmierć. Jednak śmierć wydawała się rzeczą prawie do przyjęcia w sytuacji gdy człowiek miał towarzysza lub towarzyszkę. Każde z nich, zarówno Henryk jak i Katarzyna, we wspólnej męce, znało wstydlive tajemnice ciała tego drugiego. Nie zostali przedstawieni w sposób wyidealizowany — piersi kobiety były płaskie, a nogi grube. Gdyby nie rozczapierzone i podkurczone palce stóp, wydawać by się mogło, że jest po prostu noc i oboje śpią.

Teraz Kitty zobaczyła Maurice'a. Jego czerwony pulower stanowił jedyną barwną plamę widoczną w mroku. W całym tym ogromnym gmachu nie było nikogo prócz nich. Kitty, jakby cofając się w przeszłość, nasłuchiwała zdecydowanych kroków wiernych. Ale nic nie usłyszała. Rozejrzała się za świecą, którą chciała zapalić na intencję Marie-Thérèse, ale nie znalazła ani jednej. A potem zobaczyła, jak Maurice klęka przed figurą Matki Bożej obok grobowca Dagoberta i zapatrzyła się na jego głowę schyloną w modlitwie. Opuścił mnie, pomyślała, jestem sama. Oparła się o kolumnę. W gardle ścisnęło ją tak, że aż czuła ból. Próbowwała się modlić, ale nie mogła. A potem powiedziała bezgłośnie: Marie-Thérèse, moja kochana mateczko, czy jesteś przy mnie? Czy to jest to, czego pragnęłaś dla swojej córeczki w te wieczory, które były tak spokojne, że koily nawet twoje lęki, czy to jest to, czego pragnęłaś dla mnie wtedy, kiedy spacerowałyśmy razem, ramię w ramię, po ogrodzie? Czy widzisz go, czy widzisz tego mojego pobożnego ukochanego, na którego czekam w hotelowych pokojach, którego notatki przepisuję na maszynie, któremu gotuję kolacje i który nigdy się ze mną nie ożeni? On modli się do Madonny, do kamiennej pani o poobtłukiwanej

twarży. Czy patrzysz na mnie, czy patrzysz na tę swoją córkę, która nieraz zadziwiła cię i przerażała swoimi ambicjami? A może marzyło ci się coś mniej skomplikowanego, może marzyła ci się córka bardziej uległa, której postępowanie łatwiej przewidzieć? Nie przekazałaś mnie narzeczonemu, jak to powinna uczynić matka, ale tak prawdę mówiąc, prawie nią nie byłaś. Byłaś dzieckiem, być może jedynym, jakie kiedykolwiek będę miała. Czy odnalazłaś swojego męża a mojego ojca, którego nie znałam? Czy powiesz mi, kim jestem? I czy ty, która tak lubiała aby się tobą opiekowano, będziesz się opiekowała mną?

Po chwili osuszyła ostrożnie oczy i doprowadziła się do porządku. Maurice, na którego twarz powrócił łagodny uśmiech, podszedł teraz do niej. Zdawało się, że zmęczenie i zwątpienie nie mają do niego dostępu. Życie jest dla niego takie proste, pomyślała Kitty, przyglądając mu się. Maurice tymczasem, z rękami na biodrach, oglądał kapitele kolumn. Było już prawie całkiem ciemno. Kitty spojrzała na zegarek.

— Maurice — powiedziała z naciskiem — jest bardzo późno. Jedźmy już do domu. Strasznie mi się tutaj nie podoba.

Maurice ściągnął nieznacznie brwi.

— Jak możesz tak mówić? — zapytał. — Ja mógłbym tu chodzić godzinami.

— Ale przecież jutro wracasz do Anglii — powiedziała Kitty błagalnie.

— Mamy tak mało czasu dla siebie.

Maurice z westchnieniem wyciągnął swoją długą rękę, położył ją na jej ramieniu, po czym spojrzał jej uważnie w twarz.

— Dobrze, Kitty — powiedział. — Pojedziemy już do domu.

W drodze powrotnej milczał. Od czasu do czasu

wyciągał mały notesik i coś w nim zapisywał. Kitty czuła się tak, jakby tam, w kościele, okazała się natrętna. Była skrepowana. Ależ ja zwariowałam, pomyślała. Czuję się tak po prostu dlatego, że tyle czasu spędziliśmy z dala od siebie, co zakłóciło harmonię panującą przedtem między nami. To całkiem naturalne. Ponowne przyzwyczajenie się do siebie zajmuje ludziom trochę czasu. A Saint-Denis nie było może najlepszym miejscem na wycieczkę. Mam nadzieję, że z mojego powodu jego wykład nie okaże się fiaskiem.

Znalazłszy się znowu w hotelowym pokoju, odzyskała dobry humor. Zamówiła herbatę. Teraz patrzyła na Maurice'a, a on chodził po pokoju z filiżanką. Jego sygnet połyskiwał pod spodkiem. Zaraz po przyjściu Maurice zdjął mokry pulower i buty, i stał spokojnie, na wpół rozebrany i roztargniony, dopóki Kitty nie namówiła go, by wypił herbatę. Zjedli też łąpczywie dwa ciastka francuskie z nadzieniem z jabłek i dwa rogaliki nadziewane pastą migdałową, które ona przyniosła ze sklepiku obok. Z ich ust wydobywał się słodkawy aromat. Kiedy się całowali, Kitty poczuła, że ich oddechy pachną tak samo i przysięgła sobie, że nigdy nie zapomni smaku tego pocałunku.

A potem, kiedy on leżał już w wannie, Usiadła przy oknie i spojrzała na mokrą ulicę. Deszcz lał teraz strumieniami. W głębokich kałużach odbijały się światła latarni. Kitty zapaliła papierosa — pierwszego tego dnia, jak zauważyła ze zdziwieniem — i siedziała uspokojona. Czuła, że w tym fotelu wygląda szlachetniej niż zwykle, miała wrażenie, że jej głowa jest kształtniejsza i pełna wdzięku, a stopy mniejsze. Rozejrzała się po małym pokoju, który wydawał jej się mniej brzydki dzięki temu, że światło lamp było przyćmione, a także dzięki temu, że na łóżku leżało ubranie Maurice'a.

— Gdzie będziemy jeść? — zapytała bardzo głośno, tak żeby przekrzyczeć plusk wody.

Usłyszała, że Maurice wychodzi z wanny i idzie w stronę drzwi.

— Ależ Kitty — zaprotestował. — Co się z tobą nagle stało? Chcesz robić wszystko jednocześnie.

Zjedli w małej mrocznej restauracyjce niedaleko hotelu, bo deszcz rozpadał się na dobre. Tym razem to ona była głodna, a on ją obserwował. Zarumieniona i ożywiona, brała na widelec małe kawałki mięsa i kładła je na jego talerzu. Maurice milczał, jego niedawny wigor zniknął. Kitty przypuszczała, że wizyta w bazylice obudziła w nim na nowo myśli o Bogu i śmierci, a także wspomnienia tragedii

1 nadzieje na... Na co? Czy Maurice żywił jakiegokolwiek nadzieje? Jeżeli tak, to ona ich nie знаła. Śmiem twierdzić, pomyślała, a twierdzeniu mojemu towarzyszy pewność, a więc śmiem twierdzić, że człowiek wcale nie musi żyć wiarą. Rzecz zastanawiająca: ja żyję bez niej.

Rozstali się wcześniej, wcześniej niż się spodziewała. W westybulu jej hotelu Maurice położył ręce na jej ramionach i jeszcze raz uważnie jej się przyjrzał. Na jego twarzy nie było przy tym zwykłego maskującego uśmiechu. Oboje byli bardzo poważni. Żadne nie powiedziało słowa i chwila ta zdawała się trwać bez końca — nieodwracalna i doniosła.

Wreszcie odezwała się Kitty, starając się mówić tonem jak najbardziej lekkim:

— Jesteś zmęczony, kochanie. Idź i się wyśpij. Maurice oparł czoło o jej czoło, a potem już, już

miał coś powiedzieć, ale wyprostował się z westchnieniem.

— Dobranoc, Kitty — powiedział tylko i wyszedł na deszcz.

XI

Czy miło spędziła pani czas we Francji, panno Maule? — zapytał uprzejmie Mills.

— Tak, bardzo, dziękuję — odrzekła Kitty. — Mam nadzieję, że i państwu udało się tam pojechać.

— Mnie nie — powiedział Larter. — Pracowałem na budowie. Zarobiłem kokosy.

Pozostali uśmiechnęli się. Panna Fairchild zastąpiła swój dotychczasowy sweter wygniecioną bawełnianą bluzą. Poza tym nic się nie zmieniło.

Przerwa dobrze im zrobiła, wyglądają zdrowiej, stracili zimową bladość, nawet się trochę opalili, pomyślała Kitty. Właśnie w tej chwili do ich małej salki wdarło się szeroką smugą słońce. W tej smudze, która sięgała od okna do półek z książkami, ocierając się o głowy Lartera i Millsa i rozświetlając długie, karbowane włosy panny Fairchild, wirowały drobinki kurzu. Te zajęcia były ostatnimi w tym trymestrze i nie zanosilo się na to, że Kitty i jej studenci jeszcze kiedyś się spotkają.

Kitty odchrząknęła.

- Jak państwo wiedzą, jest to nasze ostatnie seminarium — powiedziała.

— Pomyślałam, że moglibyśmy dzisiaj zrobić dwie rzeczy. Przyjrzyjmy się

po raz ostami powieści *Adolf*, żeby się przekonać, czy jej zakończenie współgra z początkiem. A później moglibyśmy się zastanowić, co ta powieść mówi nam o bohaterze romantycznym jako o wyodrębnionym bycie, jako o zjawisku. A właściwie czy istnieje ktoś, kogo można nazwać bohaterem romantycznym, czy może jest to tylko archetyp ustanowiony przez samych romantyków. Kto chciałby zacząć?

— Mnie uderzyło to — zaczął Larter — że czytając powieść po raz drugi, o wiele łatwiej mogłem sobie wyobrazić jej koniec niż początek.

Kitty uśmiechnęła się.

— Czy mógłby pan to wyjaśnić? — zapytała. Larter zastanawiał się przez chwilę, a potem

powiedział:

— To wszystko jest tak ponure i człowiek nie ma pojęcia, dlaczego miałyby się kiedykolwiek skończyć. Opisy... — Kiwnął głową w stronę Kitty. — Pani ma rację. Takie właśnie wrażenie stwarzają słowa. Są absolutnie bezbarwne. Opisują bardzo gwałtowne emocje, ale są całkiem bezbarwne. Abstrakcyjne.

— Czy według państwa to jest w zgodzie z zasadniczym biegiem wypadków, czy się z nim kłóci? — zapytała Kitty.

— Kłóci się — odrzekł Mills.

— Jest w zgodzie — powiedział Larter.

— A więc, Philipie, uważa pan, że jest tu roz-dźwięk? — zasugerowała Kitty. — A pani, Jane?

— Mnie ta książka się nie podoba — oświadczyła panna Fairchild.

— Ma pani do tego prawo — stwierdziła Kitty — ale będzie pani musiała nam wyjaśnić dlaczego. Mogłaby pani to zrobić?

Zapadła cisza. Wszyscy czekali na słowa panny Fairchild. A potem Larter nie wytrzymał.

— Wracając do tego, o czym mówiłem. Wyobrażam sobie zakończenie, ale nie byłbym w stanie

tego zrobić, gdyby początek nie był absolutnie, rygorystycznie neutralny.
— Proszę o przykłady — powiedziała Kitty.

— No dobrze. Więc kiedy Adolf, postanowiwszy opuścić Eleonorę, pisze do swojego okropnego przyjaciela i informuje go o swoim postanowieniu, i kiedy list wpada w ręce Eleonory, Eleonora zaczyna chorować.

— Jej choroba jest bardzo nieokreślona — mruknęła Kitty.

— Tak, to oczywiście chwyt literacki, którym autor na dodatek posługuje się niezbyt zręcznie. Ale później oni idą razem na spacer. Na ostami spacer, bo ona jest w sposób oczywisty umierająca. I autor naprawdę po raz pierwszy odwołuje się do przyrody.

Mills przekartkował tekst.

— On po prostu mówi, że był to jeden z tych zimowych dni, kiedy słońce jest blade... kiedy nie ma liści... kiedy nie ma ptaków. Dla mnie to nie jest prawdziwy opis.

Kitty uśmiechnęła się.

— Oczywiście, chce pan, żeby autor napisał go inaczej. Chce pan, żeby książka była w ogóle inna. Podobnie jak Jane.

Panna Fairchild kiwnęła głową i zaczęła nawijać sobie na palec kosmyk włosów.

— Chodzi o to — Larter prawie krzyczał — że podczas tego spaceru, który wam wydaje się nieciekawym, rozlega się pewien dźwięk. I to jest wymiar, którego dotychczas brakowało słowom w tej powieści.

— Dobrze — wtrąciła Kitty. — Proszę dalej.

— No więc Adolf, podczas tego spaceru, którego opis zajmuje zaledwie jeden krótki akapit, bez wątpienia ku twojemu rozczarowaniu — zwrócił się do Millsa — nie słyszy niczego prócz szelestu zmarzniętej trawy kruszącej się pod stopami.

Larter zrobił dramatyczną przerwę.

Mills zdjął okulary.

— Nie widzę w tym niczego nadzwyczajnego — stwierdził.

— Według mnie to nie jest nadzwyczajne, tylko ważne, znaczące — odezwała się Kitty. — Po raz pierwszy mamy dostęp do świadomości autora, a nie tylko do jego opowiadania sucho przedstawiającego fakty. Przepaść między pisarzem a czytelnikiem zanika. I w końcu całkiem przestaje istnieć.

— Dla mnie zakończenie jest niezadowolające — powiedział Mills. — Niechby Adolf po prostu pozwolił Eleonorze umrzeć. Ale nie, on nie potrafi zostawić sprawy w spokoju. Musi znaleźć ten list napisany przed śmiercią. A potem musi udawać, że jest kimś innym, pisać do wydawcy, informować go, że manuskrypt trafił w jego ręce i twierdzić, że jest wart, aby go opublikować. A potem wydawca musi mu odpisać, przyznając mu rację, ale twierdząc jednocześnie, że z tej publikacji nie będzie żadnego pożytku.

Mills pokręcił głową.

— To jest przecież bardzo niezręczne.

— To jest niezręczne jako część składowa dzieła literackiego, ale w tym czasie autor nie pisze już powieści. Usiłuje oddalić od siebie coś, co się wydarzyło i z czego nie może się otrząsnąć. Czy mogą państwo wskazać, w którym miejscu to staje się widoczne?

Larter wypuścił kłęb dymu, wyjął długi, zażółcony palec spomiędzy kartek książki, i nakazując ciszę gestem dłoni, wyrecytował:

— „Nie był to już żal z powodu utraconej miłości, było to uczucie bardziej przygnębiające i mroczniej-sze. Miłość do tego stopnia identyfikuje się z przedmiotem miłości, że nawet w rozpaczy jest jakiś urok”.

Przerwał.

— To o to chodzi? — zapytał.

— Prawie — odparła Kitty. — Ale zaczął pan za wcześnie. Proszę dalej.
— „...Nie chciałem umrzeć wraz z Eleonorą. Miałem żyć bez niej w tym świecie-pustyni, który tak często pragnąłem zamieszkiwać w samotności. Zerwałem z tą, która mnie kochała. Złamałem to serce, które było towarzyszem mojego serca, które w swej niezmordowanej czułości z taką wytrwałością pozostawało mi oddane i byłem już pogrążony w samotności". To to — kiwnął głową, prawie nie zwracając uwagi na innych.
— Proszę dalej — powiedziała Kitty.

— „Eleonora jeszcze nie umarła, ale ja już nie mogłem powierzyć jej swoich myśli. Byłem już sam na świecie. Nie żyłem już w tej atmosferze miłości, którą ona mnie otaczała. Powietrze, którym oddychałem, wydawało mi się ostrzejsze, twarze ludzi, których spotykałem, bardziej obojętne. Cała natura zdawała się mówić mi, że nigdy więcej nie powinienem być kochany".

— Psychiatrzy nazywają to zjawisko „lękiem separacji” — wyjaśniła Kitty. — Jest ono bardziej powszechne niż przypuszczacie. Socjologowie winią za nie alienujące wpływy współczesnego życia miejskiego. Ale Adolf znajduje się w majątku gdzieś w samym środku Polski. Cierpi na tę dolegliwość w jej czystej postaci. Alienacja to zjawisko romantyczne. Co Adolf mówi pod koniec książki? Philip.

— „Jakże ciążyła mi ta wolność, do której tak tęskniłem! Jakże mojemu sercu brakowało tej zależności, która tak często wzbudzała moją odrazę! Poprzednio wszystkie moje działania miały cel. Miałem pewność, że każdym z nich albo odsuwam cierpienie, albo sprawiam przyjemność. Narzekałem z tego powodu. Niecierpliwiło mnie to, że kochające oczy śledzą moje kroki i że szczęście drugiej osoby jest z nimi związane. Teraz nikt mnie nie śledził.

Nikt się mną nie interesował. Nikt nie chciał zajmować mi czasu ani zaprzętać mojej uwagi. Żaden głos mnie nie wzywał, kiedy wychodziłem. Byłem naprawdę wolny, nie byłem już kochany, byłem człowiekiem obcym całemu światu".

— „Obcym dla wszystkich" — poprawiła Kitty. — On ma na myśli to, że stracił owo poczucie bliskości łączącej go z jedną osobą, które przedtem wprawiało go w taki gniew. Ale także to, że wkroczył w stan alienacji.

— A więc miałem rację — powiedział Larter — kiedy mówiłem o egzystencjalizmie.

— Miał pan rację w pewnym sensie — potwierdziła Kitty. — Ale nie należy dokonywać projekcji w przód. Constant nie jest egzystencjalistą. Dla niego jedynym sposobem wybrnięcia z tego dylematu jest generalne potępienie moralne Adolfa dokonane za pośrednictwem „wydawcy".

Dźwięcznym głosem przeczytała:

— „*La grande question dans la vie c'est la douleur que l'on cause, et la métaphysique la plus ingénieuse ne justifie pas l'homme qui déchire le cœur qu'il aimait. Je hais, d'ailleurs, cette fatuité d'un esprit qui croit excuser ce qu'il explique; je hais cette vanité qui s'occupe d'elle-même en racontant le mal qu'elle a fait, qui a la prétention de se faire plaindre en se décrivant, et qui, planant indestructible au milieu des ruines, s'analyse au lieu de se repentir*" 3. Jak widzicie, on jest bardzo

3. „Wielkie zagadnienie życia to ból, jaki się komuś sprawia; najprzemysłniejsza metafizyka nie uniewinni człowieka, gdy rozdarł serce, które go kochało. Nienawidzę zresztą owej pysznej inteligencji, której się zdaje, że usprawiedliwia coś, gdy zdoła coś wytłumaczyć; nienawidzę tej próżności, która mizdrzy się sama przed sobą, opowiadając zło, jakie wyrządziła; która ma pretensje wzbudzić współczucie swą spowiedzią i która, nietknięta pośród ruin, analizuje miast się kajać". Benjamin Constant, *Adolf*, przełożył Tadeusz Żeleński (Boy).

skrupulatny — dodała. — Nie dopuszcza do siebie myśli, że mogłyby istnieć jakiegokolwiek okoliczności łagodzące.

— Tak jak egzystencjaliści — zauważył Larter Przerwali, zmęczeni tą książką, czując, że mają jej

już z lekka dosyć. Za drzwiami, na korytarzu, rozległy się kroki, ktoś zakaszłał, ktoś wybuchnął śmiechem i kroki oddaliły się. Było bardzo ciepło. Kitty uświadomiła sobie, że te zajęcia nie idą zbyt dobrze.

— A co z seksem? — zapytał Larter, rozłupując zapałkę paznokciem kciuka. — Czy oni są kochankami? Czy może między nimi już wszystko skończone?

— Zamiarem autora jest, żebyśmy tego nie wiedzieli — powiedziała Kitty. — Z pewnością każde z nich jest niewolnikiem drugiego. Ale widzicie, czasami — dodała, mając przecucie nieszczęścia — miłość romantyczna może prowadzić do zgubnej w skutkach wierności. Albo nawet, w ostatecznym rozrachunku, do życia w czystości.

Duże, skośne oczy panny Fairchild zwróciły się na Kitty, jak gdyby ich właścicielka spodziewała się, że Kitty rozwinie ten wątek. A potem skierowały się na Millsa i na jego zegarek. Panna Fairchild sama nigdy nie nosiła zegarka. Teraz, odrzucając energicznie włosy na plecy, oświadczyła, iż myślała, że Adolf jest szalony.

— To bardzo ciekawe — powiedziała Kitty, skupiając się. — W osiemnastym wieku bez wątpienia uznano by go za dotkniętego obłędem. W tamtych czasach wiedziano wszystko o chorobliwej wrażliwości. Była to cecha zdecydowanie negatywna. Uważano, że ten, kto jest nią obdarzony miał pecha, bo, jak mowi Diderot, został nieszczęśliwie urodzony. Dlaczego więc ta cecha staje się tak ogromnie ważna w pierwszych latach dziewiętnastego wieku? Jane? Czy to ma coś wspólnego z utratą wiary?

Nagle Kitty zobaczyła oczami wyobraźni wewnątrz gotyckiego kościoła. Zobaczyła siebie siedzącą samotnie w ławce, zobaczyła świece płonące gdzieś po prawej stronie i gdzieś w tle usłyszała kroki. Przypomniła sobie, że w takiej sytuacji ogarnia ją uczucie dojmującej samotności. A jednak, pomyślała, byłoby z mojej strony intelektualną nieuczciwością, gdybym twierdziła, że takie właśnie uczucie okaleczyło Adolfa.

— Nie sądzę, by Adolf kiedykolwiek stracił wiarę — odpowiedziała pannie Fairchild. — Uważam bowiem, że nigdy jej nie miał. Przypuszczał zapewne, że w życiu można się oprzeć na rozumie. Bo chociaż Adolf zachowuje się nierozumnie, to rozumuje bez przerwy całą parą.

— Na tym prawdopodobnie polega jego choroba — wtrącił Larter.

— Tak, ale dla romantyków charakterystyczne jest to, że w sytuacjach nie do wytrzymania rozumują bez końca. Weźmy jakikolwiek przykład, z życia czy z literatury. Ta prawda jest aktualna do dzisiaj. Według romantyka moc rozumu nie działa. Albo raczej działa, ale nie jest w stanie spowodować jakiegokolwiek zmiany.

— No tak — zgodził się Mills. — A w osiemnastym wieku uważano, że zmianę można spowodować jedynie posługując się rozumem.

— A potem przyszła ta straszliwa świadomość — dokończył Larter, zapalając ostatniego papierosa i z roztargnieniem machając zgaszoną zapalką.

Panna Fairchild zamknęła książkę, a wraz z nią całą sprawę Adolfa i jego tragicznego losu.

— Taki rozum jest bez sensu — skonstatowała. Bezmyślność tej dziewczyny martwiła Kitty, która

wiedziała, że panna Fairchild wcale nie jest głupia. Może po prostu jej myśli zajęte są czym innym, zastanowiła się. Może ja ją nudzę, męczę. Mimo to nie uważam jej za osobę niesympatyczną. Myślę, że

jest raczej miła, chociaż nie interesuje jej to, o czym mówimy.

— Nie o to tutaj chodzi — odrzekła. — Romantycy twierdzili, że mają głębszą znajomość świata, że lepiej pojmują imponderabilia, że większa jest potęga ich uczuć. Twierdzili, że są bardziej wrażliwi na ciosy, bardziej lojalni i że przeżywają potężniejsze namiętności. Mogli mieć rację albo się mylić. Mamy tu do czynienia z dziełem literackim i chciałabym zwrócić uwagę, że w tym okresie literaturę, jak również wiele innych dziedzin twórczości przesycają wątki autobiograficzne.

Równocześnie jednak uważam, że ważne jest, aby w kategoriach określonych dyscyplin sztuki ujmować jedynie dzieło ukończone — wszystko jedno czy jest to dzieło muzyczne, czy malowidło, czy, jak w tym wypadku, powieść. Czy *Adolf jako* powieść jest dziełem udanym, czy nieudanym?

— Udanym — stwierdził Larter. — Do czasów Camusa nie powstał szkic o alienacji, który dałby się z nim porównać.

— I nigdy, przenigdy, nie powstała powieść, która dałaby się z nim porównać — powiedziała Kitty._

Przepraszam, że tak pedantycznie traktuję słowa, ale siła tej opowieści bierze się z przeciwstawienia bardzo suchego języka i bardzo gorących, prawie nie dających się kontrolować uczuć. Gdyby te uczucia zostały przedstawione w sposób przesadny, to pewnie i ja zareagowałabym tak jak Jane. Jednak wydaje się, że one są trzymane na wodzy, wydaje się, że nawet wtedy kiedy rozpacz jest bezgraniczna, istnieje kontrola. To jest bardzo eleganckie i bardzo ważne. A także nietypowe. Dlatego właśnie wybrałam tę powieść. Fakt, że została napisana wcześniej — w roku 1806 — powoduje, że można ją traktować jako przykład tej zmiany świadomości, która zaszła na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Pomyślcie tylko, Napoleon koronował się na cesarza

zaledwie dwa lata wcześniej. Niektórzy uważali wtedy, że żyją w jakiejś nowej erze. Inni, ci bardziej wnikliwi, postrzegali tę nową epokę jedynie jako okres przejściowy.

Przerwała, widząc, że to, co mówi, przestało ich nagle interesować.

— Są jakieś pytania? O co chodzi, John? — rzekła zdumiona, gdyż Larter bez ceremonii wyszedł z sali po to, żeby za chwilę wrócić z butelką białego wina i czterema kubkami pożyczonymi ze studenckiej kantyny. Mills odchrząknął.

— Chcieliśmy pani podziękować, panno Maule. Bardzo nam się podobały pani zajęcia. I z niecierpliwością czekamy na pani wykład.

— Brawo! Dobrze powiedziane! — zawołał Larter i zajął się butelką. Tymczasem panna Fairchild sięgnęła pod stół i wyjęła blaszane pudełko z herbatnikami.

— Ojej, Jane — powiedziała Kitty zdumiona. — To naprawdę bardzo miłe z pani strony. Wszyscy państwo jesteście bardzo mili — poprawiła się, gdyż jasne było, że na ten pomysł wpadli Larter i Mills.

Jednak fakt, że panna Fairchild tak się znalazła, że okazała się solidarna, że szczerze mówiąc przyłączyła się do reszty, wydał jej się bardzo krzepiący.

Wino, które Larter trzymał dotychczas w małym zlewku na podeście schodów, było przyjemnie schłodzone, a herbatniki, będące, jak przypuszczała Kitty, dziełem własnych rąk panny Fairchild, okazały się zaledwie strawne, co nie zmieniało faktu, że zostały przyjęte z uznaniem. Kitty jadła je ze smakiem, chociaż to popołudnie nie wydało jej się sukcesem. Może *Adolf* to nie ta książka, pomyślała, mimo że przedtem miała pewność, że dokonała właściwego wyboru. Może trzeba im było dać coś łatwiejszego. Na przykład *Pamiętniki* Berlioza.

— Teraz, kiedy nie mają już państwo zajęć, mogliby państwo poczytać coś dodatkowego — powiedziała. — Polecałabym *Pamiętniki* Berlioza.

— O, to świetne — zgodził się Larter. — Słuchaj, Kitty... To znaczy przepraszam. Panno Maule, nie ma pani fajki? Bo mnie się skończyły.

— Czy pani zostaje na tej uczelni? — zapytał Mills. — Ja pod koniec lata pożegniam się ze wszystkimi i wrócę do pracy. Ale chciałbym wiedzieć, jak się z panią kontaktować.

— Mam nadzieję, że uczelnia podpisze ze mną umowę — powiedziała Kitty, która wcale nie miała pewności czy tak będzie, a poza tym nie zadawała sobie trudu, żeby myśleć o przyszłości w tych kategoriach.

— Za pięć albo dziesięć lat powinniśmy urządzić sobie zjazd — stwierdził Larter, częstując się następnym papierosem Kitty i wkładając go do swojego pustego pudełka. — Powinniśmy się spotkać na stopniach katedry Świętego Pawła. I każde z nas powinno mieć wtedy przy sobie egzemplarz *Adolfa*, tak żebyśmy mogli się rozpoznać.

Wymachiwał butelką, usiłując napełnić kubek Millsa.

— No, nie kępuj się, ty moczymordo. Wszyscy wiedzą, że upijasz się co wieczór. A ty, Jane?

Panna Fairchild, która wypła wino duszkiem, tak jakby to było mleko, wyciągnęła swój kubek. Policzki miała lekko zaróżowione, a włosy przylgnęły jej do wilgotnych skroni. Trzymając butelkę w drżącej dłoni, Larter spojrzał na nią z miną człowieka pozbawionego nadziei. A ona, podobnie jak Kitty i Mills, zauważyła to nie pozostawiające wątpliwości spojrzenie, zmieniła zdanie w sprawie wina i pokręciła głową, spuszczaając oczy i rozchyłając z lekka wargi. Na krótką chwilę zapadła cisza. Po paru sekundach panna Fairchild wyciągnęła delikatną rękę, wzięła herbatnika i wbiła w niego swoje małe, równe zęby.

Kitty odetchnęła głęboko. *Merde, alors*, pomyślała. Larter powinien być przed tym chroniony.

— John, jeżeli pan chce, to proszę przyjść do mnie jutro. Dam panu bibliografię, a pan zrobi odbitki dla pozostałych.

Wstała i podniosła kubek.

— Za wasze zdrowie — powiedziała. — I dziękuję. Niezbyt dobrze poradziłam sobie z tą sytuacją,

pomyślała. Ale była tak bardzo zadowolona, że może uciec z tej małej salki, uciec od zapachów dymu i wina, i od smutnych refleksji, do jakich skłonił ją *Adolf*, że nie zastanawiała się dłużej nad tym, co powinna była zrobić. Tęskniła za uniwersyteckim ogrodem, gdzie ścieżki krzyżowały się pod drzewami ciężkimi teraz od letnich liści. Lubiła tam spacerować i spotykać kolegów, którzy skończyli już zajęcia, ale wciąż znajdowali się tak blisko, że można było z nimi wymieniać pozdrowienia. Kitty poszła szybko do pokoju Pauline i znalazła ją tam samą nad ogromnymi płachtami planu przyszłorocznych wykładów rozpostartymi na podłodze.

— Chodź na herbatę — zaproponowała. — Mam ochotę przejść się po ogrodzie jak normalny człowiek. Chcę zapomnieć o *Adolfie*. Wiesz, Pauline, chyba nie nadaję się do tej pracy.

— Błagam cię, Kitty, tylko bez autoanalizy. Romantycy mają na ciebie zły wpływ. Widzisz gdzieś moją torebkę?

— Pod rozkładem zajęć pierwszego roku. I szczerze mówiąc, Pauline, ta spódnica jest za gruba na taką pogodę. Jak się czuje twoja matka?

— O, zupełnie dobrze — powiedziała Pauline, muskając zniszczonym puszkciem do pudru całkiem nie umalowaną twarz. — Ale stan psa jest niepokojący. A co do tej spódnicy, to masz oczywiście rację.

— Na twoim miejscu odłożyłabym ją gdzieś głęboko do szafy. Albo w ogóle się jej pozbyła. Czy

uważasz, że *Adolf* wiernie oddaje męski sposób myślenia? To znaczy myślenia na temat miłości.

— Problem polega na tym, że kiedy pozbędę się tej spódnicy, to nie będę mogła nosić żakietu, a ten żakiet strasznie dużo kosztował. Najlepszy produkt Cheltenhama. Uważam, że *Adolf* to świetna powieść, ale wątpię czy jej autor jest przypadkiem reprezentatywnym. A jeżeli martwisz się o swój wykład, to bądź uprzejma nie mówić o tym głośno podczas gdy będziemy piły herbatę. Zatrzymaj to zmartwienie dla siebie, no i staw temu czoło.

— Czemu?

— Tradycji romantycznej, oczywiście — odparła Pauline, która nie na darmo była córką swojej matki.

Przy drzwiach zatrzymała się i obejrzała na Kitty, która głęboko się zamyśliła.

— Jesteś bardzo czerwona, Kitty. Mam nadzieję, że cię nie zdenerwowałam. Redmile wysoko cię ceni, o czym zresztą dobrze wiesz.

— Jeżeli jestem czerwona, to dlatego, że piłam. Gdybym myślała o pracy, byłabym blada z niepokoju. Nagle zaczęło mi się wydawać, że ciągle jest coś, czym się muszę zadrećcać. No, bo spójrz na siebie — planujesz już wykłady na przyszły rok. A ja co? Gdzie będę w przyszłym roku?

— Zabronili mi mówić z tobą o tym — powiedziała Pauline, uśmiechając się szeroko. — A poza tym chcę się napić herbaty. Patrz na rzeczy realnie, Kitty. Co się dzisiaj z tobą dzieje?

— Tego rodzaju torebki, Pauline, uważa się za praktyczne. Ale na twoim miejscu pozbyłabym się także i jej. Dzisiaj ja stawiam. Możesz jeść, ile chcesz.

— Zjem tyle, ile będę mogła — odrzekła Pauline, idąc przodem z praktyczną torebką, która obijała jej łydki.

Cieszyło ją, że w przyszłym roku będzie nadal widywała Kitty. Natomiast Kitty poczuła taką ulgę,

że zrobiło jej się niemal słabo. Pracowałam zbyt ciężko, pomyślała. Biore wszystko zbyt poważnie. Wrócę tu w przyszłym roku i postaram się zachowywać rozsądnie, jak Pauline. A z tym wykładem dam sobie radę. Muszę, bo przecież to za wykłady będą mi w przyszłości płacili. Poszła z Pauline do pokoju rekreacyjnego pracowników ścieżką prowadzącą przez ogród.

— Jesteś zawsze tak dobrze ubrana — powiedziała do niej Pauline.

Kitty zastanowiła się przez chwilę.

— Jestem *déclassée*, a takie kobiety są zwykle dobrze ubrane — stwierdziła.

Podniosła wzrok i zobaczyła dwie postacie idące w ich stronę.

— O, idzie profesor Redmile — powiedziała niedbałym tonem, mimo że serce zabiło jej mocniej.

I kiedy profesor Redmile i Maurice zbliżyli się, wszyscy czworo podnieśli ręce w geście pozdrowienia, uśmiechnęli się i poszli dalej.

Kitty Maule, roztargniona i najwyraźniej oślepią światłem słońca odbitym od krawędzi małej srebrnej wazy z kandyzowanymi owocami, które sfabrykował dziadek, stała nieruchomo na prześcieradle rozpostartym na środku salonu. Ubrana była w nie wykończoną jeszcze suknię z jedwabiu w kolorze miodu. Louise, z miną zaabsorbowaną, stała koło niej z centymetrem w jednej dłoni i papierosem w drugiej. Vadim, wydymając wargi i gładząc się palcami po brodzie, kiwał od czasu do czasu głową.

Kitty uważała ten obrzęd za męczący, kłopotliwy i niestosowny, mimo to stanowił on dla niej istotny wstęp do każdego ważnego wydarzenia.

Powtarzał się przez całe jej życie: za każdym razem kiedy szła na jakieś przyjęcie, kiedy jechała do krewnych we Francji albo kiedy zbliżały się jej urodziny, Louise szyła dla niej sukienkę. Ten obrzęd był jej tak dobrze znany, że prawie nie zauważała poszczególnych jego faz. Składały się nań ciche narady, poważne miny, przydługie macanie materiału, drapowanie, upinanie, skrupulatne poprawianie to szwu na ramieniu, to sposobu układania się spódnicy, to znowu rękawa, a także uszczypnięcia z tyłu w pasie i pod-

szywanie dołu. W sprawach kroju i koloru nie dochodziło nigdy do żadnej dyskusji, ponieważ Louise była tu zawsze dyktatorem. Wiedziała najlepiej, co jest odpowiednie na daną okazję. Jako produkt rue Saint-Denis i Percy Street, miała lepszą orientację w wymaganiach światowego życia niż wiele jej klientek, wiedziała, co się wkłada na królewskie garden party, co na przyjęcie weselne, a co jadąc do Glyndebourne, na południe Francji czy do Szkocji. To prawda, że nigdy jeszcze nie szyła sukni odpowiedniej dla osoby, która ma wygłosić wykład, nie miała jednak wątpliwości, że sprosta temu zadaniu. Zdawała sobie sprawę, że może to być ostatnia suknia, jaką w życiu uszyje, i mimo że wzrok miała słaby, mimo że palce jej sztywniały, mimo że nie mogła już klęczeć, wiedziała, że będzie klęczała i upinała i mierzyła. Wiedziała też, że z jedwabiu w kolorze miodu, który leżał owinięty w czarną bibułkę od śmierci Marie-Thérèse, bo dla niej był poprzednio przeznaczony, zostanie w końcu uszyta suknia nie tylko godna takiej krawcowej jak ona, krawcowej — której kariera była już prawie zapomnianą przeszłością — ale także mogąca przechylić szalę na korzyść przyszłości jej wnuczki. O tym, jak ta przyszłość ma wyglądać, Louise miała bardzo mgliste pojęcie. Absurdem wydawało jej się to, że wydarzenie tak bardzo wykraczające poza sferę jej własnych doświadczeń, którego nie mogła sobie nawet wyobrazić, że ta jakaś, jak sądziła, oficjalna okazja w miejscu pracy Thérèse do tego stopnia zaprzęta jej wnuczkę. A jednak wiedziała, że bez względu na to jak dziwaczne mogłyby jej się wydawać zajęcia Kitty, musi towarzyszyć wnuczce — jako przewodniczka i projektantka jej garderoby. Cokolwiek działo się w życiu Kitty, ona, Louise, pilnowała, żeby wnuczka była doskonale ubrana.

Sukienka, którą Louise zaprojektowała — prosta

koszulka z długimi rękawami — była niezaprzeczalnie elegancka, ale Kitty wydawało się, że jest zbyt modna, zbyt wspaniała, zanadto rzucająca się w oczy. Nastąpiła na ten temat mała sprzeczka, co było rzeczą bez precedensu, gdyż Louise zawsze wiedziała najlepiej i jej zdania się nie kwestionowało. Jednak tym razem Kitty okazała się nieugięta.

— Muszę mieć swobodę. Muszę się w niej ruszać — powiedziała. — Muszę mieć szerszą spódnicę. I kieszenie. Czy wystarczy materiału na żakiet? Nie patrz tak na mnie, Maman Louise. Wiem, że sukienka będzie ładna, ale nie może wyglądać na zbyt drogą.

Mówiąc to, chciała tak naprawdę powiedzieć: „Nie mogę w niej wyglądać zbyt staroświecko, nie mogę się tak rzucać w oczy”. Pomyślała o Pauline, która tak obojętnie odnosiła się do swojej workowatej spódnicy i o tym, że kontakty z nią były o tyle łatwiejsze niż kontakty z Caroline noszącą śmiałe kolory i wyszukane fasony. A co będzie się podobało Maurice'owi? — zastanowiła się. Na pewno nie coś obcisłego i prostego, na pewno nie suknia podobna do tych, które noszą modelki. Jak dla mnie, ten materiał jest zbyt strojny, zbyt rzucający się w oczy. A jednak potrzebna mi sukienka odpowiednia na uroczystą kolację. O Boże, sama nie wiem. Jestem taka skołowana.

— Maman Louise — powiedziała — zrób spódnicę plisowaną.

Louise słynęła kiedyś ze swoich plis. Nastąpiła narada z Vadimem.

— *Elle a peut-être raison* — stwierdziła Louise, starając się zyskać na czasie, gdyż czuła, że będzie to dla niej zbyt duży wysiłek. — *Une petite robe avec une jupe plissée. Ligne évasée. Avec un veston. Très décontracté. Tu vois le genre?*

Louise miała pewne obiekcje.

— *Le tissu est trop important* — mruknęła.

A potem zobaczyła wyraz oczu Kitty i po raz pierwszy w życiu pozwoliła dziewczynie zdecydować po swoim. I sukienka została skrojona, upięta i uszyta. A po tej dzisiejszej przymiarce miała być wykończona i Louise miała jej nigdy więcej nie zobaczyć. Jej twarz — niczym maska bez wyrazu — nie zdradzała żadnej z tych myśli. A potem Louise siedziała długo w nocy — pewnie zbyt długo — chcąc zrobić wszystko tak, żeby mogła być dumna z efektu.

Umówiły się, że Kitty nie wróci do siebie, dopóki sukni nie będzie gotowa, to znaczy pozostanie u dziadków od soboty do poniedziałkowego wieczoru. A w poniedziałkowy wieczór dzieło rąk Louise zostanie ocenione i otrzyma pieczęć ostatecznej aprobaty. To oznaczało, że Kitty ma mnóstwo wolnego czasu, bo Louise i Vadim byli tak całkowicie pochłonięci pracą, że nie mogli nawet wdawać się w rozmowy z wnuczką. Oboje wycofali się w swoje poprzednie życie. Zajęci udoskonalaniem sukni, zwracali się do siebie krótko, jak konspiratorzy, jak współsprawcy przestępstwa. Kitty po raz kolejny starała się usilnie pogodzić sprzeczności zachodzące między tym życiem, które wiodła z nimi i dla nich, a tym, którym żyła na zewnątrz. Bała się wielu rzeczy i miała jedną wielką nadzieję. Ta nadzieja okazywała się w końcu potężniejsza niż jej lęki. Ale równocześnie, o czym dobrze wiedziała, oznaczała koniec Therese i początek Kitty, dlatego myśl o sukience, którą stąd zabierze i o okazjach, przy których będzie ją nosiła, powodowała, że czuła na przemian smutek i radość. Widok babki klękającej przed nią po to, żeby wyrównać spódnicę, niepokój na twarzy dziadka i ten straszny moment, gdy Louise, nie mogąc wstać, wyciągnęła rękę, szukając yadima, i te chwile kiedy oboje z dziadkiem, posadziwszy ją ostrożnie w fotelu, stali nad nią,

dopóki nie przyszła do siebie i nie odpędziła ich, machając ręką — wszystko to podziało na Kitty jak choroba. • Po tym incydencie Kitty usiadła cicho w kącie i zaczęła przyglądać się dziadkom. A później poszła do kuchni i zrobiła dla nich i dla siebie mocną kawę. I dopiero po tym, jak Louise odstawiła filiżankę i westchnęła głęboko, i nawet zjadła trochę przyrządzonej przez Vadima czekoladowej leguminy, posypując sobie przy tym suknię cukrem pudrem, a następnie, strzelając palcami, powiedziała do Vadima: „*A toi, maintenant. Débarasse et aide-moi*”, po czym on rozpromienił się i zabrał tacę, a ona zaczęła ręcznie obrzucać szwy, Kitty odetchnęła, i czując nagle, że jest jej duszno, oświadczyła, że w razie potrzeby znajdą ją w ogrodzie.

Ale tak naprawdę to dręczył ją niepokój — tak wielki, że nie mogła dłużej usiedzieć na miejscu. Poszła więc na krótki spacer małymi uliczkami, gdzie kwitły wspaniałe letnie kwiaty i pozwoliła sobie myśleć o nadzwyczajnej uczcie, która ją czekała i która w stopniu o wiele poważniejszym niż wykład miała zadecydować o jej przyszłości. Dwa tygodnie temu, w niedzielę, była w domu i wkręcała właśnie w maszynę ostatnią kartkę, kiedy wpadł do niej całkiem nie zapowiedziany Maurice. Widziała go po raz pierwszy od powrotu z Francji. Nie posiadała się z radości. Poszła zrobić mu herbatę, a on usiadł i zaczął przeglądać jej wykład.

— Słuchaj Kitty, to jest naprawdę bardzo dobre — powiedział. — Powinnaś to uczcić.

Wydawał się szczęśliwy, nieskrępowany i o wiele bardziej zrelaksowany niż ona w jakichkolwiek okolicznościach. Kitty zapragnęła włożyć mu rękę za kołnierz i pogłodzić go po szyi. Wiedziała jednak, że nie powinna tego robić. Kiedy o tym myślała, Maurice ku jej zdumieniu ujął jej dłoń i rzekł:

— To będzie dobre lato, prawda?

Nie miała pojęcia, jak to rozumieć, ale instynkt podszeptał jej, że Maurice ma na myśli ich oboje. Wzięła jego rękę między swoje dłonie i zapytała:

— Pomożesz mi to uczcić? Przyjdiesz na kolację? Maurice roześmiał się i odrzekł:

— Nie, kotku, ty musisz przyjść do mnie. Wydam dla ciebie uroczystą kolację, po twoim wykładzie. Albo może lepiej w sobotę? Co ty na to, Kitty? Kitty, dlaczego tak na mnie patrzysz? W końcu ja już tyle razy jadłem u ciebie.

I roześmiał się znowu, i pocałował ją lekko w policzek.

A potem siedzieli oboje na sofie i omawiali sprawę kolacji.

— Ale kto będzie gotował? — zapytała Kitty.

— Och, mama wypożyczy mi swoją Manuełę, jeżeli ładnie poproszę. Albo wezmę kogoś innego. Nie martw się o to. Martw się, kogo zaprosić. Kogo, jak myślisz? Oczywiście profesora Redmile'a z żoną.

Kitty zamyśliła się głęboko.

— I profesora Rogera Fry'a z żoną? — powiedziała pytającym tonem.

Maurice wzniosł oczy do góry i wzruszył ramionami. .

— No, jeżeli to konieczne — zgodził się. — Jeżeli to konieczne, to tak.

— On przecież przychodzi na twoje wykłady — przypomniała mu. — A ona, przypuszczam, kocha się w tobie.

Maurice roześmiał się i odparł:

— Dobrze, ale to ty ich będziesz zabawiała.

— Oczywiście — zgodziła się. — Niepotrzebny nam nikt więcej, prawda? Sześć osób to dosyć.

Maurice, straciwszy zainteresowanie dla tej sprawy, podszedł do okna.

Trzymając ręce na biodrach, zapytał:

— Kim jest ta niesamowita kobieta z pomarańczowymi włosami i na strasznie wysokich obcasach?

Kitty też podeszła do okna.

— Ach, to Caroline. Caroline Costigan. Mieszka obok.

Dokąd Caroline mogła iść w niedzielę? Czy przypadkiem nie spotkała mężczyzny, którego imię zaczynało się na J.? Tego z branży rozrywkowej? Kitty była tak pełna życzliwości, że miała nadzieję, że to prawda i postanowiła zaprosić Caroline na kolację. W tej chwili kochała cały świat. Ze zmysłową rozkoszą wróciła do tematu uroczystej kolacji u Maurice'a.

— Sześć to dosyć, prawda? — zagadnęła.

— Sześć czego? — zapytał.

Był pogrążony w myślach. Stojąc tuż obok i opierając się o parapet okienny, Znajdował się daleko, o całe mile od niej.

— Sześć osób — roześmiała się.

Odwrócił się do niej ze swoim zwykłym łagodnym, stwarzającym dystans uśmiechem.

— Sześć? O, nie. Sądzę, że osiem to lepsza liczba. Pomyślę o jeszcze dwóch osobach.

Jego wcześniejszy entuzjizm jakby osłabł.

Mimo to jednak wokół tego obiecanego przyjęcia skupiały się od tamtej niedzieli myśli Kitty, a perspektywa wykładu zbladła, stała się mało ważna. Kitty wyobrażała sobie, że ta kolacja będzie bardzo uroczysta i zastanawiała się bez końca, czy jej suknia w kolorze miodu nada się na taką okazję. Prawdę mówiąc, spędziła większość wieczorów na Old Church Street, martwiąc się o to. Pytała też o radę Caroline. Pewnego wieczoru Caroline, usłyszawszy kroki Kitty na schodach, zmaterializowała się w drzwiach swojego mieszkania, za którymi jakiś głos mówił: „A teraz przenosimy się do naszych przyjaciół do Ambridge, gdzie Sid Perks odkrywa, że ma pewien kłopot” i weszła wraz z Kitty do jej

mieszkania. Caroline była zdania, że Kitty wygląda zbyt skromnie i bezbarwnie. Okazała się też tak uprzejma, że zaproponowała Kitty, że pożyczy jej trochę biżuterii.

— No bo wiesz, Kitty, twoje rzeczy mają świetny krój, ale potrzeba ci czegoś, co spowoduje, że będą wyglądały trochę bardziej efektownie. Możesz sobie pozwolić na coś rzucającego się w oczy.

Następnie Caroline przejrzała garderobę Kitty, przykładając suknie do własnej figury albo rozkładając je na łóżku. W chwili gdy kręciła głowę nad tym, co zobaczyła, Kitty postanowiła mimo wszystko włożyć nową sukienkę. Lady Redmile i żona Rogera Fry'a nosząca niefortunne imię Wendy z pewnością nie będą miały na sobie niczego bardziej wyszukanego. Kitty powiedziała o tym Caroline, którą następnie należało zaprosić na kolację.

— To prawda — zgodziła się Caroline. — I możesz zdjąć żakiet. Dzięki żakietowi nie będziesz musiała się martwić o płaszcz. A ja pożyczę ci swoje złote łańcuszki.

Kitty podziękowała jej. Caroline westchnęła.

— Ty to masz szczęście, Kitty — powiedziała. — Nie wyobrażasz sobie, jak ja bym chciała, żeby ktoś mnie zaprosił.

— Więc nie spotkałaś jeszcze tego faceta z branży rozrywkowej? — spytała Kitty.

— Jeszcze nie, ale byłam u Madame Evy w zeszłym tygodniu. Ona twierdzi, że do końca tego roku coś się u mnie zmieni, że wyniosę się stąd i zacznę nowe życie.

Takie wieczory zwykle kończyły się o wiele za późno, ale stały się czymś w rodzaju instytucji — Caroline była na swój nieco dziwny sposób atrakcyjna. Jednak Kitty, która zauważyła niewielki pokład tłuszczu na jej podbródku, modliła się do tych nieokreślonych sił, z których istnienia sporadycznie zdawała sobie sprawę, prosząc:

— Nie pozwólcie jej czekać zbyt długo.

Była niezwykle piękna pogoda. Bezdeszczowe, jasne wieczory sprawiały, że Kitty pragnęła obywać się bez rozpraszać uwagę towarzystwa, pragnęła siedzieć czy spacerować w samotności i myśleć o swoim niezwykłym losie. Jednak okoliczności powodowały, że musiała tkwić w chaotycznym, zmuszającym do przeprowadzania skomplikowanych kalkulacji świecie ubrań rozrzuconych na łóżku albo była skazana na stanie w halce w mieszkaniu babki. To ostatnie musiała czynić posłusznie i cierpliwie, gdyż babka uważała ją za osobę niewtajemniczoną, która nie zna się na rzeczy i nie ma ochoty zajmować się ozdabianiem siebie. Zdaniem Kitty natomiast ozdabianie to powinno być odbywać się w tajemnicy przed wszystkimi i tylko przy udziale jej samej. Czekala na ten sobotni wieczór, kiedy — w odosobnieniu, bez towarzyszących uwag, bez profesjonalnych ocen babki gotowej zawsze poprawić szwy na ramionach — przyszykuje się, a potem usiądzie spokojnie przy oknie, delektując się tak ogromną, że aż przekraczającą granice wytrzymałości przyjemnością czekania na taksówkę, która zawiezie ją do Maurice'a. Wiedziała, że tego wieczoru na pewno zechce zamknąć drzwi przed Caroline, która będzie pragnęła nadzorować wszystkie fazy rytuału z dogodnej pozycji osoby mającej większe życiowe doświadczenie. Wiedziała także, że musi odprawić jakiś własny rytuał. Wierzyła bowiem, że jeżeli nie będzie posłuszna własnym imperatywom, to coś pójdzie nie tak i nad całym tym wieczorem zaciąży złe fatum. Nie potrafiła powiedzieć, na czym ten rytuał ma polegać, ale zdawała sobie sprawę, że powinien on mieć coś wspólnego ze świadomością szczęścia, które ją spotkało, i pewnością, że jej wcześniejsze chaotyczne poszukiwania oraz lęki zostały zneutralizowane, ona zaś sama nie jest już petentką, lecz ma do

odegrania rolę w planach, które poczyniono wobec niej. Nie wiedziała komu czy czemu ma dziękować za tę nadzwyczajną wspaniałomyślność losu, jednak złożyła uprzejmy głęboki ukłon przed tym czymś, co obecnie uważała za Opatrzność, a po to, by go złożyć, musiała być sama. Siedząc w ogrodzie u dziadków uświadomiła sobie, że nadszedł dla niej czas pożegnania z tymi, którzy towarzyszyli jej w pierwszej części jej wędrówki i że musi się teraz przygotować do innego życia. Żadnych więcej wróżek, żadnego wyczekiwania w hotelowych pokojach, żadnego potulnego przyjmowania rad Caroline. Od dziś będzie bardziej stanowcza, postara się okazywać więcej charakteru. Będzie jadła porządne posiłki, nie będzie wpadała w panikę *przed* wykładami, będzie sobie radziła ze wszystkimi i nie pozwoli nikomu, żeby ją zdominował. Zegnała się z własną uległością, z cechą, która sprawiła, że podobnie jak matka, za długo pozostawała dziewczynką. Mam trzydzieści lat, powiedziała sobie. Mam już trzydzieści lat. Więc najwyższy czas na to. Przez dwa dni siedziała w ogrodzie i spacerowała po ulicach. I miała zapamiętać te dwa dni jako niemal mistyczny czas obietnic i przeczuć spełnienia. Wszystkie godziny dnia były jednakowo jasne, ciche i nasycone przeżywaniem, a słońce zdawało się stać w miejscu. W miejsce pragnień i ożywienia pojawiło się wielkie skupienie, jakiś spokój, coś dziwnego i nowego. Kitty miała wrażenie, że zachodzi w niej prawdziwa metamorfoza, jednak nie miała pojęcia, na czym ta metamorfoza polega. Od czasu do czasu wracała do mrocznego wnętrza domu, do zapachu kawy i śliwkowej brandy Vadima, do tego wyciszenia, które zawsze towarzyszyło skupieniu się Louise na własnym dziele. Sprzątała talerze po lekkim posiłku, jaki zjedli z roztargnieniem, sprzątała skórę od chleba twardniejącą już w upale,

skórkę kielbasy czy sera, obierki po jakimś owocu, puste szklanki z odrobiną wina na dnie. Zakor-kowywała butelkę i odstawiała ją na miejsce, a później po cichu opróżniała popielniczkę i umieszczała ją ponownie przy łokciu Louise. Ciężki, matowy, żółty jedwab tworzył małą sadzawkę na kolanach babki. Żakiet był już wykończony, uprasowany przez Vadima, i wisiał w drugim pokoju na manekinie krawieckim. Opinał jego łabędzie łono i opadał rozkloszowany na wypukłe biodra. Ale sukienka, sukienka! Chwilami Kitty wydawało się, że sukienka nie zostanie nigdy skończona, że skrupulatne szycie będzie trwało wiecznie, że zawsze znajdzie się jeszcze jeden szew do wykończenia, jeszcze jedna plisa do poprawienia, że sukienkę trzeba będzie spruć i zacząć szycie od początku. Kitty miała wrażenie, że już dłużej nie usiedzi w cichym pokoju ani w cichym ogrodzie. Zaczynała ją ogarniać niecierpliwość. Czowała tę niecierpliwość w sobie, sygnalizowało ją mocniejsze niż zwykle bicie serca. Chciała przebrnąć przez czas dzielący chwilę obecną od owej decydującej soboty, chciała mieć już za sobą wszystkie podróże i przymiarki, a także wykład, no i wszystkie posiłki, które będzie musiała zjeść w dzielącym ją od tej soboty czasie, chciała siedzieć już przy oknie, w końcowym momencie oczekiwania, na chwilę przed rozpoczęciem owego cudownego wieczoru.

W końcu nie wytrzymała napięcia panującego w salonie. Louise od dwóch dni nie ruszała się ze swojego fotela. Kitty, wychodząc na słońce, wyniosła pod powiekami jej obraz, obraz starej kobiety w zakurzonej czarnej sukni posypanej na piersi cukrem pudrem. Ta kobieta z kamienną twarzą, opierając na stołeczku opuchnięte stopy, szła szybkimi, zdecydowanymi ruchami, wokół niej krążył w milczeniu Vadim z miną czujną, prawie srogą. Oboje znajdowali się w pokoju, który — obojętny na całą wspaniałość

przyrody pyszniącej się na zewnątrz — był pełen zapachów i zamknięty. Znalazłszy się w ogrodzie, Kitty usiadła i oddała się czekaniu. Czekwała aż miną uprzykrzone godziny. Bardzo długo było widno, wskutek czego straciła rachubę czasu. Powtórzyło się to następnego dnia, i następnego. Aż w końcu, w poniedziałek, usłyszała, że otwiera się jedno z okien. Odwróciła się i zobaczyła głowę dziadka. Dobiegły ją jego słowa: — *Ça y est. Viens, Thérèse*. Stojąc na prześcieradle rozpostartym na środku pokoju, poddała się, a Louise włożyła jej ostrożnie suknię przez głowę. Potem Vadim obrócił ją i obciągnął suknię, a potem znowu Louise podniosła suknię za ramiona i puściła ją, chcąc, żeby dobrze się ułożyła na figurze. Kitty stała nieruchomo. Louise zrobiła krok do tyłu, wzięła papierosa i zaczęła kontemplować swoje dzieło. Kitty stała tak, dopóki babka nie wypaliła papierosa i nie zakończyła lustracji. Nie padło ani jedno słowo. Potem Louise odwróciła się do Vadima i kiwnęła głową. Twarz Vadima rozjaśnił szeroki uśmiech i Vadim pocałował Louise w policzek. Następnie pozwolono Kitty przejrzeć się w lustrze. Suknia była prześliczna, taka lekka, taka swobodna. Sławne plisy załamywały się na kolanach, a długi zakiet wyglądał elegancko. Nie, nie mogę do niej nosić biżuterii Caroline, to wykluczone, pomyślała Kitty. Żeby jej nie urazić, założę łańcuszki przed wyjściem, a potem je zdejmę i schowam do torebki. I muszę pamiętać, żeby je założyć, kiedy będę wracała na Old Church Street, bo Caroline może jeszcze nie spać. Następnie Kitty spojrzała na babkę, która dała jej znak, żeby się przeszła, a potem, kiedy znów stanęła na prześcieradle, i kiedy babka usiadła, powiedziała: — Jest wspaniała.

Zdjęła sukienkę i dała ją Vadimowi, a on zapakował

ją ostrożnie w kilka warstw bibułki i włożył do torby. Tak jakbym była klientką, pomyślała Kitty, czując ukłucie w sercu. Uklękła przy fotelu babki, pragnąc położyć głowę na zniszczonym aksamicie poręczy. Kiedy już wróciła jej zdolność mowy, wyszeptała:

— Dziękuję.

Louise spojrzała na nią pozornie bez emocji, a nawet z pewną pełną dystansu powagą. A potem wyciągnęła rękę, uszczypnęła Kitty w brodę i powiedziała:

— *Vas-y, ma filie.*

Napili się razem kawy. Było tak późno i ogarnęło ich takie zmęczenie, że niewiele mieli sobie do powiedzenia. Kitty chciała poczekać, aż dziadkowie położą się spać, ale oni nie zgodzili się na to. Westchnęła, uświadamiając sobie, że musi ich opuścić, gdyż długi dzień wreszcie się skończył, a czas kontemplacji minął. Pomyślała też, że wkrótce nadejdzie czas działania i poczuła, że ta uroczysta myśl wyprowadziła ją z równowagi. Bardzo zapragnęła się jej pozbyć, bo wiedziała, że na takie myśli nie ma miejsca w jej nowym życiu, w życiu, w którym wszystko jest możliwe. Zebrała więc dość energicznie filiżanki, wmaszerowała do kuchni, doprowadziła ją do porządku i spróbowała spłoszyć nastrój, który ich ogarnął. Wzięła swoje rzeczy, pocałowała na dobranoc dziadków i wyszła na wieczorne powietrze, oddychając głęboko. Kiedy obejrzała się jak zwykle, żeby im po raz ostatni pomachać, zobaczyła w oknie ich twarze — dwie białe maski, które malały w miarę jak oddalała się, idąc tyłem i wciąż machając ręką.

XIII

Kitty, stojąc przy bramie i machając na pożegnanie ręką, zobaczyła jak Pauline Bentley ostrożnie sadowi matkę w samochodzie. Przyjechawszy do nich, zaproponowała, że zostanie w domu i popilnuje p_{sa} — po to, żeby umożliwić im jedyną w roku wycieczkę, jaką pani Bentley zgadzała się odbyć, mimo że nienawidziła gdy przewożono ją środkami lokomocji, nad którymi nie miała kontroli. Celem wycieczki była wenta odbywająca się w pewnym dużym domu w sąsiedniej wsi. Pani Bentley знаła poprzednich właścicieli tego domu i uważała, że jako zwolenniczka „starego reżimu” ma obowiązek popierać akcję dobroczynną, którą organizowano przy tej okazji. Mimo to jednak, kiedy już się znalazła na miejscu, wyrażała głośno swoją dezaprobatę za każdym razem, kiedy ktoś potrząsał jej przed nosem puszką na datki. Przed wyjazdem pani Bentley poinformowała Kitty, że posiedzą z Pauline w ogrodzie różanym, którym się zawsze zachwycała, porozmawiają z kilkoma osobami, wypiją herbatę i wrócą do domu.

Kitty, stojąc przy bramie, zobaczyła je oczami wyobraźni w sytuacji, w jakiej ona sama nigdy się

nie znalazła — stały w towarzystwie wielu ludzi

o szerokich horyzontach, swobodnych jak one, i rozmawiały. Co one mają na sobie? — zastanowiła się. Czy to odpowiednie ubranie? Pani Bentley pojechała w sandałach, a w kieszeni noszonego na co dzień kardiganu ukryła swoje blaszane pudełko. Pauline zaś miała na sobie byle jakie spodnie. Ja bym się bardziej postarała, pomyślała Kitty.

Ale Pauline, całkiem nieświadoma jej dezaprobaty, prowadząc matkę po kępach trawy była przekonana, że stara się aż nadto, zwłaszcza że matka zapomniała, gdzie jest i głosem jak zwykle donośnym domagała się informacji.

— Nie mogę sobie przypomnieć, co tu robię — powiedziała, stając jak wryta i osłaniając przed słońcem nie widzące oczy — chociaż śmiem twierdzić, że to, że tu jestem ma jakieś znaczenie. Tylko jakie? Jakie, moja droga? Czy przemycasz mnie do domu starców? Czy porzucisz mnie tu, na środku tego pola czy trawnika, cokolwiek to jest? A mówiąc bardziej na temat, czy mam dość czasu, aby zapalić?

— Wiesz bardzo dobrze, mamo, że to jest wspaniałe przyjęcie, podczas którego będziesz się przez cały czas świetnie bawiła.

— No to kiedy ono się zacznie? — okazała zainteresowanie pani Bentley.

— W chwili gdy wydostaniemy się z tego okropnego parkingu i znajdziemy się w głównym ogrodzie. Pomyślałam, że mogłybyśmy usiąść przy różach

1 powdychać ich zapach.

— Ach — powiedziała pani Bentley — już wiem. Dom Grettonów. I całkiem nieznanymi ludziami, którzy na pewno mi powiedzą, że wspaniale wyglądam. Napijemy się herbaty?

— Jest dopiero trzecia piętnaście.

— Nie widzę w tym nic złego.

— Jeżeli przypomnę sobie, gdzie postawiłam sa-

mochód, będziemy mogli robić, co zechcesz — stwierdziła Pauline, oglądając się przez ramię.

— Szkoda, że ta twoja koleżanka z nami nie przyjechała. Chyba nie jest jej zbyt wesoło — jedynie w towarzystwie psa. Chociaż pies jest oczywiście zadowolony.

Tymczasem Kitty była w tej chwili całkowicie pogrążona w tradycji romantycznej, a pies zachowywał stosowną w tej sytuacji ciszę.

— Ona-przygotowuje ostateczną wersję wykładu, mamó — wyjaśniła Pauline, nie mijając się wcale z prawdą. — Wykład odbędzie się we wtorek. Po powrocie opowiemy jej, co się tu działo.

— Dlaczego mówisz tak powoli? Czy coś jest nie w porządku?

— Dlaczego coś miałyby być nie w porządku? — zdziwiła się Pauline, która właśnie zauważyła Maurice'a Bishopa zdradzającego jakieś niezwykle u niego podniecenie. — Chodźmy tędy — dodała, biorąc matkę za łokieć.

Było jednak za późno, bo wycofując się teraz, zachowałyby się niegrzecznie.

— Mamó — powiedziała Pauline. — Jest tu Maurice Bishop.

— Ach, Maurice — zawołała pani Bentley. — Jak mi miło! Jest z tobą matka?

Pauline i Maurice popatrzyli sobie przeciągle i ostrzegawczo w oczy.

— Jak się pani ma, pani Bentley? — zapytał Maurice. — Wygląda pani po prostu wspaniale. Czy mogę przynieść pani herbatę?

— Dziękuję bar... O co chodzi, Pauline? Źle się czujesz?

— Wybaczysz nam, prawda, Maurice? — powiedziała Pauline. — Tu jest taki tłum, że chyba przejdziemy się po ogrodzie różanym, a potem pojedziemy na herbatę do domu.

Kiwnęła dwa razy głową na pożegnanie, chwyciła matkę za ramię i skierowała ją w sposób zgoła niedelikatny do ogrodu różanego, w którym siedziały przez dziesięć minut. Przez cały ten czas pani Bentley na przemian robiła Pauline wymówki i zaciągała się na wpół tłącym się papierosem, a Pauline prawie nic nie mówiła.

— Zachowałeś się tak apodyktycznie, Pauline. Chciałam porozmawiać z Mauricem. W końcu znam go od małego. Przyszedł już do siebie po tej historii z narzeczoną?

— Naprawdę, mamó, nie potrafię powiedzieć. Odrobina tłącego się tytoniu spadła na spódnicę pani Bentley. Pauline strzepnęła ją mechanicznie. Pani Bentley przyszła do głowy intrygująca myśl.

— Czy ty się w nim kochasz, Pauline? Wcale bym się temu nie dziwiła. Jednak to nie usprawiedliwia takiego zachowania. Trzeba mieć trochę przebiegłości, moja droga. Nie ma sensu tak demonstrować swoich uczuć.

— Prawdę mówiąc — odpowiedziała Pauline — ja go raczej nie lubię. Właściwie nigdy go nie lubiłam. Pojedziemy do domu i zrobimy niespodziankę Kitty? Ona jest w końcu naszym gościem.

W samochodzie pani Bentley stwierdziła, że chce pojechać na wykład Kitty, ale Pauline powiedziała jej, że podróż byłaby dla niej zbyt męcząca.

— Ale ja ją tak lubię. Powiedz mi, Pauline, jak ona wygląda? Pauline zastanawiała się przez chwilę.

— Wydaje się bardzo ładna, kiedy jest ożywiona i wygląda dość nieciekawie, kiedy nic jej nie podnieca.

Pani Bentley kiwnęła głową.

— To się kiedyś nazywało *journalière*. Co jeszcze możesz o niej powiedzieć?

— Ubiera się bardzo dobrze, aż za dobrze. Och,

sądę, że jest dość atrakcyjna. Na uczelni jest bardzo ceniona.

— Ma taki ładny głos — stwierdziła pani Bentley. — I mówi taką doskonałą angielszczyzną. Dzisiaj rzadko spotyka się taki precyzyjny sposób wyrażania się. To oczywiście dlatego, że jest cudzoziemką.

— Ależ mamó. Ona się urodziła w Londynie. Chociaż zgadzam się, że robi wrażenie osoby, która tutaj nie czuje się całkiem u siebie. Która jakby usiłuje nauczyć się reguł.

— Ja bym powiedziała, że jest dobrze wychowana, a to mówi samo za siebie. Tubylcy nie muszą w końcu tak bardzo zawracać sobie głowy podobnymi rzeczami.

Pauline z wielu powodów nie chciała mówić o Kitty, która, jej zdaniem, miała przez nie okropny weekend. Odwróciła więc uwagę matki od tego tematu, usiłując przekonać ją, że powinna rzucić palenie. Czyniła to zresztą, z obowiązku, co najmniej raz w tygodniu.

— Dzisiaj omal się nie podpałałaś.

— Nie zauważyłam tego nawet — powiedziała pani Bentley z roztargnieniem. — Ale pomyśl tylko, jakie efektowne byłoby to zejście. Może nawet wspomnieliby o tym w radio.

— Szkoda, że nie kupiłam ciasta w jednym z tych stoisk — rozmyślała głośno Pauline. — Kitty pewnie umiera z głodu.

Ale Kitty spędziła całkiem przyjemne senne popołudnie w małym ogrodzie. Z zabobonnym lękiem przeczytała swój wykład, mimo iż wiedziała, że jest skończony i nawet dobry. A potem poszła do sklepu i kupiła paczkę bladych ciasteczek, które następnie przypiekła w tosterze. Postawiła też czajnik, dzięki czemu w chwili gdy Pauline i pani Bentley pojawiły się w domu, herbata była gotowa. Uważała, że przynajmniej tyle powinna zrobić. Bo Pauline była

dla niej taka miła, zapraszała ją przecież, no i obiecała, że w każdej chwili może zawieźć ją na stację. Teraz Kitty bardzo już chciała wracać do Londynu, do tego podniecającego, absorbującego rytuału, który sobie wymyśliła i na myśl o którym doznawała dreszczu emocji. I kiedy zapytała już panią Bentley czy wybaczy jej wczesny wyjazd zaraz po herbacie, wyjaśniając przy tym, że ma jeszcze trochę pracy, co było nieprawdą, i kiedy już poklepała głęboko uśpionego psa i zobaczyła utkwiony w siebie wzrok zamyślonej Pauline, doszła do wniosku, że wizyta dobiegła całkiem naturalnego końca. Pocałowała panią Bentley, która była tym zaskoczona, ale i zadowolona, że potraktowano ją z taką serdecznością.

— Życzę ci dużo szczęścia we wtorek, moja droga — powiedziała pani Bentley jak zwykle donośnie. — Pamiętaj, masz mówić tak, żeby twój głos kierował się w koniec sali. I spróbuj nie patrzeć na nikogo w szczególności. Bo inaczej słuchacze pomyślą, że dajesz jakieś tajemne znaki, a ty sama zaczniesz się zastanawiać, co w twoim zachowaniu sprawiło ich w takie zakłopotanie i w końcu się zdenerwujesz. Rada pani Bentley nie napawała optymizmem. Kitty czuła jednak, że warto z niej skorzystać. Muszę pamiętać, że mam nie patrzeć na Maurice'a, pomyślała.

W samochodzie mówiła mało. Myślała o ciężkich przejściach, które czekały ją w nadchodzącym tygodniu. Jej wykład miał się odbyć wieczorem, a profesor Redmile zaprosił ją przed wykładem na kieliszek sherry.

— Chociaż, panno Maule, jestem pewien, że nie będzie pani potrzebowała drinka dla kurażu. Znamy jakoś pani pracy. Wiemy, że jest wspaniała, wspaniała.

To małe przyjęcie, pomyślała Kitty, będzie bardziej męczące niż sam wykład. Była to prawda, gdyż na przyjęciu miało się pojawić sporo ludzi, a profesor

Redmile za każdym razem przy takiej okazji szczegółowo informował obecnych o pracach związanych z Nowym Gmachem. Jego goście, z oczami szklistymi ze znudzenia, zawsze pili za dużo i Kitty już sobie ich wyobrażała, jak śpią podczas wykładu, rozdzierając powietrze swoim donośnym chrapaniem. Wyobrażała sobie też, że w momencie gdy jest już po wszystkim, trzeba ich budzić, trącając łokciem. Jeżeli chodziło o sam wykład, mogła zaufać własnemu maszynopisowi i sukni uszytej przez Louise. Jeżeli się nie zdenerwuję, pójdzie mi dobrze. Cokolwiek mówi pani Bentley, muszę pamiętać, żeby nie krzyczeć. W takiej sukni się nie krzyczy. I od dziś do soboty muszę się porządnie wysypiać. Londyn leżał cichy w upale i mimo że pogoda była piękna, ulice wydawały się wyludnione. Kitty dotarła do swojego mieszkania w dziwnym stanie — niespokojna, a równocześnie senna. Przypisywała ten stan faktowi, że ostatnio jej praca wymagała skupienia, a także słowom pani Bentley, która ją ostrzegła, że podczas wykładu ma na nikogo nie patrzeć. Była zdenerwowana tym ostrzeżeniem. Przedtem wyobrażała sobie bowiem jak z zapalem rozmawia ze słuchaczami, a słuchacze z takim samym zapalem jej odpowiadają. Marzyła o swobodnej wymianie zdań, jaka dotychczas zwykle jej nie wychodziła. A teraz okazywało się, że ma to być kolejny pełen napięcia występ solo. Westchnęła i weszła do mieszkania.

Zza ściany dobiegał donośny teatralny głos opowiadający o kradzieżach owiec w Anglii elżbietańskiej. W kilka minut później do drzwi zapukała Caroline, która za chwilę ukazała się oczom Kitty w fioletowej sukience z drukowaną bawełny, w fioletowych sandałach i z powiekami pokrytymi do kompletu fioletowym cieniem. Najwyraźniej spędziła cały dzień, pracując nad swoim wyglądem, gdyż jej włosy i paznokcie były nieskazitelne.

— Dzięki Bogu, że wróciłaś — powiedziała. — Umierałam z nudów. Posunęła się w głąb mieszkania Kitty, pozostawiając za plecami opowieść o kradzieżach owiec.

— Na wsi musiało być cudownie. Ty, Kitty, to masz szczęście. Mnie nikt teraz nigdzie nie zaprasza.

— Ale przecież wszyscy twoi przyjaciele... — zaczęła Kitty.

— Teraz, po rozwodzie, nikt nie chce mnie znać. Wiesz jak to jest, kiedy kobieta zostanie sama. Żony zwierają szeregi. Kobieta samotna jest zagrożeniem.

Kitty, która nie wyobrażała sobie, że Caroline mogłaby stać się zagrożeniem, nic na to nie powiedziała. A potem, zorientowawszy się, że Caroline ma zamiar spędzić u niej ten wieczór, zaczęła się zastanawiać, ile ma w domu jajek.

— Zjesz ze mną, prawda? — zapytała uprzejmie i zaraz, jeszcze uprzejmiej, zasugerowała: — Może byś wyłączyła radio i dała sobie z nim na trochę spokój? Bo przecież nie interesują cię owce z czasów elżbietańskich.

Caroline roześmiała się, zniknęła, a potem pojawiła się znowu, ciągnąc za sobą obłok zapachu.

— Właściwie to nie chce mi się jeść. Jest za gorąco. Może byś mi pokazała, w co chcesz się ubrać na ten wykład? Nie widziałam jeszcze tej sukni.

Kitty popatrzyła na jej twarz, zarumienioną i pałającą dziecięcą ciekawością, po czym poszła posłusznie do sypialni, żeby się przebrać. Suknia prezentowała się tak dobrze jak zawsze, ale Kitty nie podobało się to, co zobaczyła. Jestem spięta, pomyślała. I mam dosyć towarzystwa kobiet. Tak bym chciała zobaczyć się z Mauricem. Tak bym chciała, żeby to on był teraz tutaj ze mną, a nie Caroline. Dlaczego on do mnie nie przychodzi? Czy dla zwrócenia na siebie jego uwagi muszę wygłaszać

wykłady? I czy muszę unikać jego wzroku, tam, na sali wykładowej? Czy mam odwrócić oczy w chwili gdy poczuję potrzebę otrzymania jakiegoś znaku od niego? Dlaczego on każe mi tak długo czekać?

— Bardzo ładna — powiedziała Caroline niezdecydowanie. — Ale czy nie sądzisz, że powinnaś trochę ją ożywić? Gdybyś założyła moje łańcuszki i jakiś efektowny szal, to myślę... Właściwie to trzeba by trochę przystroić twoją twarz, jeżeli nie masz nic przeciwko takiemu wyrażeniu. Nie ruszaj się. Wrócę za minutkę.

Wróciła z całą baterią buteleczek, słoiczków i pędzelków, a także parą sandałów na bardzo wysokich obcasach. Kazała Kitty przymierzyć sandały, a potem pobiegła do łazienki po ręcznik, udrapowała go na ramionach Kitty i zabrała się do przeobrażania jej. Malowała ją z wielką przyjemnością, podśpiewując sobie. Muszę jej na to pozwolić, pomyślała Kitty, tłumiąc ziewanie. Najwyraźniej dzięki temu będzie miała przyjemniejszy wieczór. Chociaż ja z tego samego powodu mam wieczór popsuty.

Caroline z dumą pokazała Kitty jej własną twarz ożywioną jaskrawymi kolorami: zielonym na powiekach i dziwnym ceglasteróżowym na policzkach i ustach. Kitty wyglądała jak marne faksymile Caroline. Kiedy została przystrojona łańcuszkami i szalami, stwierdziła z pewnym zainteresowaniem, że przypomina prostytutkę, którą kiedyś widziała wychodzącą z George-Cinq. Wyłoniło się jej drugie ja — cyniczne, inteligentne i całkowicie francuskie — ja nie należące do kobiety wygłaszającej wykłady, pragnącej żyć w harmonijnej prostocie, zgodnie z przekonaniem i obyczajami większości przyzwoitych ludzi.

Przerażająca twarz, na którą teraz patrzyła, zawierała w sobie obietnicę ogromnej pewności siebie i znajomości życia. Ta twarz należała do

kobiety, która wie, jak zaskarbiać sobie sympatię, jak czarować. Caroline na jej widok nie posiadała się z zachwytu.

— Wiesz, Kitty, czasami wyglądasz na trochę przygnębioną, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, że tak mówię. Tak jakbyś... No, nie wiem, tak jakby ktoś cię nie chciał, czy co. Musisz wykazywać więcej inicjatywy. Nic się nie wydarzy, jeżeli będziesz tylko siedziała w domu. — Westchnęła. — Wiem, co mówię.

Miała taką tragiczną minę, że Kitty poszła do kuchni nastawić czajnik. Zdejmując sukienkę, z twarzą wciąż umalowaną, zastanawiała się, jak się pozbyć Caroline o rozsądnej porze i jak usunąć wszelkie ślady jej pomocy przed położeniem się do łóżka.

Zgodziły się, że lato tego roku jest niesamowite, a ten wieczór wyjątkowo piękny. Kiedy zjadły jajecznicę, Kitty zaproponowała, żeby się przeszły nad rzeką, ale Caroline nie chciała. Wyglądało natomiast na to, że chce rozmawiać o ludziach, których Kitty nie zna, o takich, którzy, jak to określała, należeli do jej kręgu w czasach, gdy wiodło jej się w życiu najlepiej. Kitty słuchała uprzejmie, ale z roztargnieniem. Zobaczę się z nim pojutrze, pomyślała. A później mogę do niego zadzwonić w sprawie soboty i dowiedzieć się, czy jest coś, co mogę zrobić. To idiotyczne, że odnoszę się do niego z taką nieśmiałością. Ale dzieje się tak tylko wtedy, kiedy jesteśmy z dala od siebie. Wydaje mi się, że nasze spotkanie w Paryżu było tak dawno temu. Dobrze by było, gdybyśmy mogli tam wrócić, w lecie. I tym razem samochodem. Bardzo bym chciała, żeby mi pokazał Francję. Ja nie mogę mu pokazać niczego, bo nie można się spodziewać, że zainteresuje go to, co ja wiem. Niech ta Caroline już sobie idzie, bo chcę zmyć całe to świństwo z twarzy. Caroline, która z minuty na minutę czuła się coraz

bardziej rozczarowana, wyszła wreszcie, zakończywszy swój monolog jakimś żałobnym akcentem, a za chwilę przez ścianę zaczęły się sączyć dźwięki ostatnich wiadomości. W kilka minut później Caroline zapukała ponownie do drzwi Kitty.

— Zapomniałam życzyć ci szczęścia — powiedziała. — Ale na pewno wszystko ci się uda. Zajrzę jeszcze jutro i zobaczę, jak się masz.

Wobec tego, pomyślała Kitty, mam wszelkie powody, żeby jutro wyjść z domu. Zwariuję, jeżeli jeszcze raz zechce robić mi makijaż. Będę musiała po prostu posiedzieć w parku. Chociaż dość mam przesiadywania tam w samotności. Chcę, żeby wszystko się wreszcie zmieniło. Nie chcę już być sama.

Posprzątała w kuchni, a potem poszła do sypialni, w której wciąż można było znaleźć ślady wysiłków Caroline. Kitty wygładziła kapę i odstawiła na bok buteleczki, które Caroline zapomniała zabrać. Kierując się nagłym impulsem, jeszcze raz włożyła na siebie suknię i spróbowała przyjrzeć się sobie w lustrze całkiem beznamiętnie. Zobaczyła wdzięczną postać, której widok pozostawiał jednak sporo do życzenia. Ta osoba była chyba zbyt oficjalna, zbyt skrepowana sobą. Louise powiedziała by o niej, że jest starannie ubrana i że jej strój jest dobrze przemyślany. Potem Kitty uświadomiła sobie, co ją tak niepokoiło od chwili, gdy przyniosła suknię do domu i obejrzała się w niej we własnym mieszkaniu, we własnym pokoju. Wyglądam tak, jak na weselu Jean-Claude'a, pomyślała.

Jean-Claude ożenił się z hałaśliwą, drobną, ciemnowłosą dziewczyną imieniem Christiane, a Louise, chcąc, żeby Kitty reprezentowała rodzinę, wysłała ją na wesele. W wiejskim kościółku w rodzinnej miejscowości panny młodej odbyła się bardzo ładna ceremonia ślubna, a po południu wszyscy uczestniczyli w gigantycznym posiłku trwającym aż do

godziny piątej. Pewna kuzynka — posiadaczka dość imponującej fortuny — użyczyła na ten cel swego domu, przed którym, na trawniku, goście usiedli przy długim stole, żeby pić szampana do każdego z licznych dań. Kitty była rozbawiona, ale czuła, że ogarnia ją lekki smutek. Nasilił się on zwłaszcza w chwili gdy Jean-Claude, który, jej zdaniem, zapomniał o niej zupełnie, podniósł kieliszek, pijąc jej zdrowie — zdrowie gościa z Anglii — i gdy ona sama musiała oczywiście podziękować. Teraz twoja kolej, zawołali chórem. Twoja kolej, wołali filozoficznie nastawieni wujowie i stare, łakome ciotki. Kiedy odłożysz książki, przyjdzie czas na ciebie. Już niedługo. Kitty uśmiechnęła się na to, kręcąc głową, a oni zaczęli dolewać szampana.

A kiedy już skończyli biesiadować, kiedy światło dnia zaczęło gasnąć i kiedy zerwał się lekki wiatr, w którego podmuchach zatrzepotały rogi adamszkowego obrusa, weszli do domu i rozpoczęli tańce. Tańczyli wszyscy — i otyłe ciotki, i pomarszczeni wujowie, i Christiane w białej sukni, bardziej hałaśliwa i bardziej ożywiona niż zwykle. W końcu Jean-Claude poprosił Kitty do tańca i objął ją prawie tak jak kiedyś, a ona poczuła na włosach ciepłe tchnienie jego oddechu. Jednak teraz była trochę onieśmielona, bo wydawało się jej, że Jean-Claude bardzo się zmienił na lepsze. Był tak eleganckim i obiecującym młodym człowiekiem, że z trudem przypominała sobie hotelowy pokój, w którym na rozchwierutany stoliku przy oknie leżał w zatłuszczonym papierze zwinięty plasterek szynki. Jean-Claude miał teraz zawód i był żonaty, mógł zrobić karierę i zanosilo się na to, że wkrótce zamieszka w *maison de caractère* na przedmieściu, w domu, który wraz z Christiane dostał w prezencie od teściów. Kitty nie miała pojęcia, co mówić, więc milczała. Kiedy taniec się skończył, Jean-Claude pocałował ją lekko i powiedział:

— Powinnaś zawsze nosić ten kolor. Bardzo dobrze ci w żółtym. No i zaproś mnie wkrótce na swoje wesele. Mam nadzieję, że będziesz taka szczęśliwa, jak ja dzisiaj.

Kiedy zapadł wieczór, ciotki i wujowie siedzący w fotelach pod ścianami i popijający małymi łyżkami kawę zaczęli wypytywać o Louise. Kitty usiłowała im powiedzieć, że Louise i Vadim czują się dobrze i wciąż są sobie bardzo oddani, i mówiąc o nich, z bólem serca uświadomiła sobie, że jej dziadkowie nie mają odwagi oczekiwać z radością na inne wesele, gdyż to wesele wydaje się już czymś niemożliwym. Ciotki i wujowie kiwali głowami. Jej słowa były im niepotrzebne, gdyż sami ocenili sytuację. Ocenili też pełną wdzięku, starannie ubraną dziewczynę, która tak bardzo się od nich różniła. Zapakowali do pudełek ptifurki, które miała zawieźć do domu, i dali jej butelkę szampana. Kazali też poprosić dziadków, żeby wypili za zdrowie panny młodej, a sami obiecali we właściwym czasie wypić za zdrowie Kitty. Wieczór zakończył się trochę smutno. Zrobiło się chłodno i Kitty była bardzo zmęczona. Odjeżdżając samochodem należącym do któregoś z gości, usłyszała dźwięk akordeonu wciąż grającego w pustym oświetlonym pokoju.

Wspomnienie tamtego wieczoru wróciło do niej teraz z ogromną siłą. Zastanowiła się ze zdziwieniem, jak mogła przez tak długi czas nie pamiętać tych chwil. Wtedy, po jej powrocie z Francji, Louise i Vadim, słuchając opowiadania o weselu, kiwali głowami, a potem oglądali fotografie, które ze sobą przywiozła: sporo zdjęć państwa młodych, jedno zdjęcie Christiane ubranej w białą suknię i spoglądającej rozkazująco przez ramię, i jedno przedstawiające całą rodzinę — wszystkich jej członków stojących z podniesionymi kieliszkami za długim stołem przykrytym adamaszkowym obrusem. Ach,

wzdychali. I pogryzali ptifurki i mówili: „Nie, nie. Zatrzymamy tego szampana. Na inną okazję”. I każde z nich, podobnie jak Kitty, w głębi duszy zastanawiało się, kiedy ta okazja nastąpi.

Ale potem, poznawszy Maurice'a, Kitty zaczęła mieć swój własny pogląd na to, jak powinno wyglądać wesele. Uświadomiła sobie, że takie uroczce popołudnie jak to we Francji — popołudnie z otyłymi ciotkami i starannie ubranymi wujami — na pewno się nie powtórzy. W związku z czym zaczęła ją nękać myślenie, że może tak nie wypada. No bo przecież te ciotki i ci wujowie pamiętają jej matkę (powinna mieć to na względzie, mimo że i tak nie byłoby jak sprowadzić ich na wesele). Kilkoro z nich, nawet po tak długim czasie, uroniło łzę na wspomnienie smutnej śmierci Marie-Therese. Kitty była wzruszona, a równocześnie zażenowana, gdy patrzyła jak łzy spływają ciotkom po czerwonych policzkach, mijając rozmazane usta i jak te ciotki, trzymając eleganckie chusteczki w grubych, upięściionych palcach, ścierają sobie z twarzy obfity makijaż. O własnym weselu nie śmiała myśleć, chyba że... chyba że o takim, które byłoby doskonalszym powtórzeniem wesela Jean-Claude'a. To wesele odbyłoby się w tym samym wspaniałym domu bogatej kuzynki, przed którym, na tym samym zielonym trawniku, stanąłby taki sam długi stół. Niezwykłość i czar całej uroczystości tak zachwyciłyby pana młodego, że zapomniałby on o wszelkich barierach i przewycięzył wszelkie narodowe uprzedzenia. Jednak myśląc o tym wszystkim teraz, Kitty dochodziła do wniosku, że ta dziewczyna, którą była podczas wesela Jean-Claude'a, i ta którą jest teraz, to dwie różne osoby. Wydawało jej się, że zbyt długo koncentruje się na czymś, na co nie byłoby miejsca w tamtych czasach, że jest teraz mniej prostoduszna, mniej naturalna, bardziej nerwowa, i że ciotki i wujowie — gdyby ją

widzieli tego niedzielnego wieczoru, po całym dniu spędzonym w ciemnym domku w środku Anglii — pokręciliby skonsternowani głowami, zasznurowaliby usta i napisaliby do Louise, domagając się wyjaśnień. To nie jej wina, pomyślała Kitty, stojąc nieruchomo w sypialni. To wcale nie jej wina. To moja wina.

To była jej wina, bo to ona została zwolenniczką czegoś, co, jej zdaniem, stanowiło tradycję narodu jej ojca, mimo że nigdy tego ojca nie знаła i nie miała właściwie pojęcia jaki był. Ojciec, ten młody żołnierz z wypłowiałej fotografii, został przez nią uznany za symbol Anglii zwyczajnej, podczas gdy Maurice stał się w jej oczach symbolem Anglii idealnej. Żadnego z tych symboli nie cechowała przy tym ta solidność, którą miały w sobie czerwone policzki, i akordeon, i sprytna Christiane w białym welonie, w sukni ze starannie ułożonym trenem i z wyrazem twarzy zdradzającym głębokie emocje, patrząca przez ramię — tak jak jej kazał wioskowy fotograf. Kitty nauczyła się nie pamiętać oddechu Jean-Claude'a na włosach ani tego, że Jean-Claude życzył jej, żeby była tak szczęśliwa jak on w dniu ślubu. Zastąpiła tamte wspomnienia podziwem dla niedbałości i wdzięku tym silniej działającego, że wyciszonego, oraz plikiem notatek, na zebranie których miała aż za dużo czasu. Odkładając suknię, pomyślała: zdecydowałam się na to w dniu, gdy go poznałam. Nie mogę się teraz cofnąć, nie mam się do czego cofać. Będę czekała z nadzieją. Wieniec zamiast popiołu. Muszę czekać i mieć nadzieję. Bo każdy się zmienia i ja też się mogę zmienić.

W chłodnym łóżku, wśród cichej nocy, ogarnęły ją spokój i wielkie zmęczenie. Myślała o swoim dziwnym weekendzie i o jeszcze dziwniejszym tygodniu, jaki ją czekał. Nie ma takiej siły, powiedziała sobie, która by mnie rozdzieliła z tym, co kocham. Jest rzeczą naprawdę całkiem stosowną i raczej zabawną,

ze muszę wygłosić ten wykład, że muszę go wygłosić po to, abym mogła zacząć się uczyć nowego życia, w którym profesor Redmile, Pauline i wszyscy inni zastąpią wujów i ciotki. W tym życiu nie będzie muzyki, szampana ani tańców, tylko szeroki świat, i książki, i katedry, a ja będę się uczyła i posyłała dziadkom pocztówki, żeby im okazać, że o nich nie zapomniałam. Zresztą tak naprawdę to już ich zostawiłam w tyle. Ich sposób istnienia nie jest moim. A mój — nie jest ich sposobem. Zapadając w sen, wyobraziła sobie życie pełne i szczęśliwe, życie, w którym będzie nauczala i uczyła się, robiła notatki i zapamiętywała. Widziała siebie — spokojną i miłą, opanowaną i zawsze na miejscu. Jeszcze raz otworzył się przed nią krajobraz Gloucestershire i zobaczyła, że Pauline i pani Bentley doskonale się w nim mieszczą. Przypomniała sobie, jak piła herbatę w ogrodzie hotelu The Manor i uznała, że takie życie jest czymś całkiem możliwym oraz doszła do przekonania, że jeżeli los da jej szansę takiego życia, będzie umiała nim żyć. I kiedy oddech jej się uspokoił, kiedy odwróciła się na bok, żeby zasnąć, poczuła się pewnie — jej zdecydowanie i ambicja były teraz czymś oczywistym, a przetrwanie nadchodzącego tygodnia wydało jej się rzeczą całkiem możliwą. I pomyślała z miłością i wzruszeniem o Jean-Claudzie tańczącym z panną młodą, i o toaście „za zdrowie gościa z Anglii” wzniesionym przez niego szampanem, który zagrzał się na słońcu, i o oddechu Jean-Claude'a na swoich włosach, i w końcu zasnęła. Ale później tej nocy płonęła wielkim ogniem.

XIV

Ta noc była tak strasznie niepokojąca, że kiedy Kitty z trudem zbudziła się z krótkiego snu, jaki ją w końcu zmorzył, i usiadła na łóżku, usiłując stanąć twarzą w twarz z dniem, który nie oferował jej nic poza kolejnym przeglądaniem maszynopisu, poczuła nagle, że jest osobą pokonaną i potrzebuje pomocy.

Słońce stało już wysoko i grzało bardzo mocno, a prognoza pogody, płynąca właśnie z radia Caroline potwierdzała, że ten dzień będzie znowu dniem wyjątkowym. Ostrzegano kierowców, żeby jeździli ostrożnie po rozgrzanym i topiącym się asfalcie. Kitty Maule spróbowała wypić kawę i nie udało jej się to. Zjadła więc jabłko, wzięła długą, chłodną kąpiel i włożyła starą bawełnianą sukienkę. I właśnie wtedy przypomniała sobie o wróżce.

Staneła jak wryta na środku pokoju z dłońmi zaciśniętymi w kieszeniach spódnicy, zastanawiając się, czy powinna powiedzieć Caroline, że wybiera się do Madame Evy. Ale zaraz doszła do wniosku, że musi milczeć i, kierując się w stronę drzwi, podświadomie zapragnęła poruszać się bezgłośnie. Wstrzymała oddech i wstrzymywała go, dopóki nie wyszła z budynku.

Gardziła sobą, a równocześnie, gnana wewnętrznym przymusem, szła ulicami zastanawiając się, czy wróżka będzie mogła ją przyjąć. Nie była w stanie zaakceptować odmowy ani możliwości, że wróżki nie ma w domu. Okazało się jednak, że kot siedzi bez ruchu na parapecie jednego z okien małego domku z drzwiami pomalowanymi na kolor butelkowej zieleni, a wróżka jest u siebie. Kiedy Kitty zadzwoniła, Madame Eva otworzyła drzwi natychmiast. Była ubrana w kombinezon w kwiaty, patrzyła łagodnie przez okulary, a w ręce trzymała ścierkę do kurzu. — Dzień dobry, kochanie — powiedziała. — Chcesz, żebym ci powróżyła?

Kitty, nie będąc w stanie wymówić słowa, kiwnęła głową.

Kobieta zawahała się.

— Miałam właśnie iść po zakupy. W taki upalny dzień człowiek nie ma ochoty robić tego w późniejszych godzinach. — Spojrzała na Kitty uważniej. — Jesteś bardzo spięta, prawda? — Włożyła ścierkę do kieszeni kombinezonu, a potem gestem dłoni zaprosiła Kitty do środka. — Zrobię sobie tylko kawę. Wejdz, kochanie. Znasz drogę.

Kitty zagłębiła się z ulgą w miękkie, brudne poduszki leżące na zapadniętym fotelu i zapatrzyła się na wirujące w porannym słońcu pyłki kurzu, który wzbił się, kiedy usiadła. Znalazłszy się tutaj, nie miała ochoty ruszyć się z miejsca przez cały dzień. Zmęczenie i przerażenie, które odczuwała dotychczas, nagle zniknęły, chociaż serce biło jej mocno, a ręce drżały. Kot, który wsunął się po cichu za nią, ułożył się na małym stoliku przy oknie i ziewał od czasu do czasu. Madame Eva weszła ciężkim krokiem z filiżanką kawy i usiadła w skrzypiącym plecionym fotelu naprzeciwko niej. Przez dłuższą chwilę nic nie mówiły, ale Kitty, słysząc

raczej niż widząc jak Madame Eva pije małymi łykami swoją kawę, czuła, że wróżka ją ocenia.

— Wyglądasz świetnie — powiedziała w końcu Madame Eva. — Byłaś na wsi? Jesteś niezwykłą dziewczyną — dodała, wycierając usta złożoną bladozieloną papierową chusteczką — naprawdę niezwykłą. Pamiętaj, nie oceniaj się zbyt nisko.

Kitty uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością. Znowu usłyszę prawdę, pomyślała. Tak jak zeszłym razem. Usłyszałam ją wtedy, chociaż teraz nie pamiętam szczegółów.

Wzdychając jak zwykle, Madame Eva sięgnęła do torby i wyjęła kryształową kulę. Wypolerowała ją dużą jedwabną chustką do nosa. Wyglądało na to, że dzisiaj, w tak upalny dzień, jest mniej niewzruszona, bardziej niespokojna niż zeszłym razem. Kitty przypomniała sobie, jak Madame Eva poprzednio narzekała, że ta praca tak ją męczy, że nawet czesanie się sprawia jej trudności i przypomniawszy to sobie, spojrzała na piramidę włosów wróżki, które były bez zarzutu. Madame Eva poruszyła się w fotelu, a potem pochyliła się, wzięła dłonie Kitty w swoje ręce i milczała przez chwilę.

— Myślałaś ostatnio o weselach — powiedziała w końcu.

Kitty wzdrygnęła się, podniosła na nią wzrok, ale zaraz, czując, że dłonie wróżki mocniej przyciskają się do jej dłoni, spuściła oczy.

— Tak, tak, myślałaś o weselach. Gdzieś na wsi? Kitty kiwnęła głową, ale milczała. Kobieta znowu westchnęła i poruszyła się w fotelu.

— Widzę pokój. Jest w nim dużo ludzi. Ty siedzisz naprzeciwko nich. Nie wiem, co to znaczy.

— Ale ja wiem — mruknęła Kitty, przymykając oczy w jakimś sennym oczekiwaniu na to, co zaraz usłyszy.

— Sukces — powiedziała nagle kobieta i wbiła

w nią bystry wzrok. — Wspaniały sukces. Nie ma potrzeby się martwić. Oderwała jedną dłoń od dłoni Kitty i znowu wytarła sobie usta zieloną papierową chusteczką, którą zaraz włożyła do kieszeni kombinezonu.

— A później? — odważyła się zapytać Kitty bojaźliwym tonem.

Kobieta znowu westchnęła.

— Wielu ludzi cię podziwia — powiedziała powoli. — Jesteś otoczona dużą liczbą osób.

Kitty, dla której nie znaczyło to nic, postanowiła zignorować tę uwagę.

Kobieta znowu się poruszyła. Najwyraźniej dokuczał jej upał.

— Czy wiedziałaś, że zostaniesz ważną osobą? — zapytała. — Wokół ciebie są ludzie. Nie będziesz sama. Dotychczas dość często bywałaś sama, prawda?

Kitty kiwnęła głową.

— To się skończyło — oświadczyła wróżka. — Teraz to się już skończyło. Nie będziesz już tak osamotniona. Poczujesz się bezpieczna, ustabilizowana. — Pochyliła się. — I będziesz się cieszyła dużym szacunkiem — dodała.

Serce Kitty waliło jak młotem. Spojrzała z wdzięcznością na wróżkę. Na górnej wardze Madame Evy pojawiły się kropelki potu i widać było, że jej ciężkie ciało źle funkcjonuje w futerale z nylonu w kwiaty. Jednak ręce obejmujące dłonie Kitty pozostawały suche i silne, i Kitty ze zdumieniem uświadomiła sobie, że te dłonie sprawują nad nią stanowczą kontrolę, powodując, że siedzi zapadnięta głęboko w brudny fotel, mimo że nagle naszła ją ochota, żeby wyjść. Tak, zachciało jej się wrócić do domu, gdzie zrobiłaby sobie przyzwoite śniadanie i posprzątałaby porządnie. A potem, korzystając ze słońca, poczytałaby coś sen-

sownego. Na myśl o odruchu, który sprawił, że tu przyszła, ogarnął ją wstyd.

Poczuła, że Madame Eva odwraca jej dłonie i, spojrzawszy w dół, przekonała się, że wróżka przygląda się ich wnętrzom.

— Ty też masz pewne cechy medium — powiedziała Madame Eva. — Wiedziałaś o tym?

— Czasami mam takie dziwne stany, które dla mnie samej są zagadką. Ale to na pewno zdarza się każdemu?

— Tak, do pewnego stopnia. — Madame Eva zawahała się, a potem wypuściła dłonie Kitty ze swoich. — Kochanie, czy jest coś, o co mnie chciałaś zapytać?

— Powiedziała pani, że widziała pani wesele — odrzekła Kitty nieśmiało.

— Czy odbędzie się ono niedługo?

Kolejna bladozielona papierowa chusteczka została wyjęta z pudełka.

— Ach tak — odezwała się Madame Eva. — No tak, wesele.

Wyglądała na zamyśloną. Westchnęła jeszcze raz i jeszcze raz wyjęła kolorową chusteczkę ze stojącego obok pudełka.

— Życzę ci szczęścia, kochanie. Wszystkiego najlepszego. Płacisz tyle, co zeszłym razem. Twoja koleżanka ma się dobrze, prawda?

— Wydaje mi się, że jest trochę osamotniona — odparła Kitty, wręczając pieniądze.

— No tak, tak. Ale to nie potrwa długo. No, kochanie, wszystkiego najlepszego.

Madame Eva odprowadziła Kitty do drzwi. Kot śmignął pod ich nogami, oddalił się, biegnąc wzdłuż ulicy i zniknął. Popatrzyły obie za nim, dziwiąc się, że mimo upału jest taki ruchliwy. Zbliżało się południe i upał skłaniał do szukania cienia. Kitty i Madame Eva odruchowo przysłoniły sobie oczy dłońmi.

— Dla mnie jest za gorąco — westchnęła Madame Eva. — Prawdę mówiąc, nie chce mi się wychodzić. Zadowolę się tym, co mam w domu. — A co pani chciała kupić? — zapytała Kitty. — Mogłabym to pani przynieść. Ja lubię taką pogodę.

Madame Eva spojrzała na nią i uśmiechnęła się.

— Chciałam kupić tylko chleb — powiedziała. — I dwie puszki sardynek. Jedną dla mnie, a drugą dla kota. I parę pomidorów. Wszystko inne mam w domu. Na pewno możesz to dla mnie zrobić? Dzięki temu nie musiałabym wychodzić. No to dobrze, weź moją portmonetkę, kochanie. I nie spiesz się. Będę przez cały dzień w domu.

Kitty wyjęła pieniądze z jej portmonetki i włożyła je do swojej. Skreśliła w rozgrzaną ulicę, a potem zawahała się, weszła do jakiejś kawiarni i zamówiła spore śniadanie. Zjadła je z przyjemnością, zostawiła duży napiwek i postanowiła, że po załatwieniu sprawunków dla Madame Evy pójdzie po przyzwoite zakupy dla siebie. Nie bardzo zdawała sobie sprawę, która jest godzina, bo jej głowę zaprzętało to, co usłyszała od wróżki: myślała o tym, że będzie osobą szanowaną, myślała o sukcesie i weselu. Ogarnęła ją taka euforia, że z rozkoszą wystawiała twarz db letniego słońca i oddawała się dziwnemu chwilowemu lenistwu.

Zrobiła zakupy dla Madame Evy i wróciła pod jej dom. Kiedy jednak zadzwoniła, nikt jej nie otworzył. Zadzwoniła więc ponownie, zaskoczona, gdyż Madame Eva mówiła, że nie ma zamiaru wychodzić.

Cofnęła się i spojrzała w okna na górze. Panowała zupełna cisza. Później uchyliły się drzwi sąsiedniego domu i ukazała się najpierw głowa dużej, spokojnej blondynki, a potem całe jej krępe ciało. Blondynka ubrana była w spodnie i jaskrawoniebieską, bawełnianą bluzkę.

— Pani do pani Cartwright? — zapytała.

— Do Madame Evy — odrzekła Kitty niepewnie. — Zrobiłam jej zakupy.

— Zdaje mi się, że wyskoczyła gdzieś na chwilę — powiedziała sąsiadka, wyciągając rękę po torbę. — Wezmę to, dobrze?

— Ale ona mówiła, że nie ma zamiaru wychodzić — mruknęła Kitty, wręczając jej torbę z zakupami.

— Na pewno nie poszła daleko. Myślę, że ją pani spotka gdzieś w pobliżu.

I drzwi zostały zamknięte — grzecznie, lecz stanowczo.

Kitty, nieco zbита z tropu, ruszyła powoli w stronę głównej ulicy. To, że Madame Eva, o której teraz musiała myśleć jako o pani Cartwright, wyszła z domu — mimo że wyglądało na to, że przeraża ją sam taki pomysł — wydało jej się dziwne, a nawet niepokojące. Dotarłszy do rogu, odwróciła głowę i ucieszyła się, bo zobaczyła wrózkę wyłaniającą się z kotem w ramionach z małego zaułka naprzeciwko domu. Madame Eva zauważyła ją i pomachała jej ręką. Kitty odpowiedziała tym samym, czując dziwną ulgę. A potem obie, idąc tyłem, machały sobie, dopóki nie straciły się z oczu.

Kitty była zdumiona, kiedy zorientowała się, że dochodzi pierwsza.

Nagle reszta dnia przestała być problemem. Kitty kupiła gazetę, wróciła do kawiarni i zjadła lunch. Przejrzała gazetę, zamówiła kolejną kawę i poczekała aż inni goście wrócą do pracy. W kawiarni zapanowała cisza zakłócana jedynie syczeniem ekspresu do kawy i pozbawionym melodii, melancholijnym pogwizdywaniem właściciela-Włó-cha. Kitty siedziała przy ogromnej szybie okiennej i przez jakiś czas patrzyła pobłaźliwie na ulicę. Po chwili — przekonawszy się, że widok ludzi za bardzo ją rozprasza, nie dając się skupić na ważnych myślach — spuściła oczy i spojrzała na szklany wazonik,

w którym tkwiły trzy ciemnoczerwone przywiędłe goździki. Obróciła wazonik i podniosła go, zbliżając kwiaty do nosa, i poczuła słodkawy zapach zgnilizny. Następnie potarła policzkiem o cienkie i nieskończenie miękkie płatki, dziwiąc się, że łodyżka jest taka jędna, a budowa kwiatów tak skomplikowana. A potem postawiła wazonik, zapaliła papierosa i uśmiechnęła się blado na myśl, że czas upływa i że wkrótce będzie mogła powędrować do domu i zrobić sobie filiżankę herbaty. Wtedy wieczór będzie już blisko, wieczorem zaś najpierw popracuje, a później położy się wcześniej spać ze świadomością, że w przyszłości wszystko pójdzie gładko.

Ale na razie siedziała, przyglądając się goździkom, podczas gdy dym z papierosa snuł się wokół jej głowy. Siedziała tak, dopóki właściciel kafejki, Włoch, nie zawołał:

— Jeszcze jedną kawę, signora?

Wtedy drgnęła, kiwnęła głową i powiedziała:

— I rachunek.

A potem dała mu swoją gazetę i, oddychając głęboko, zgasiła papierosa, wypiła kawę i wyszła na ulicę, gdzie ludzie — dobrodusznie, jak gdyby ciesząc się z tej niedogodności — narzekali na upał. Idąc do domu, czuła się tak jakby prześniła ten dzień. Jej senny nastrój utrzymywał się nawet wtedy, kiedy po raz kolejny przeglądała maszynopis, a później myła głowę i zmieniała pościel. Senna atmosfera sprawiła, że usiadła w oknie. Siedząc tam, nie zauważyła, że światło przygasa, a cienie się wydłużają. Ruszyła się z miejsca dopiero o ósmej, zrobiła sobie kawę, zjadła jabłko i zaraz potem poszła spać.

Spała snem ciężkim i głębokim, i obudziła się bardzo spokojna.

Wyszła z domu przed jedenastą. Idąc ubrana w żółtą suknię, z miną wcale nie wystraszoną, czuła, że sprostą wszystkiemu, co ją czeka tego

wspaniałego dnia. Pojechała na uczelnię sama i z przyjemnością przeszła się pieszo od stacji aż na miejsce. Zjadła lunch z Pauline, a potem spędziła popołudnie w jej pokoju. Nie absorbująca obecność przyjaciółki podziałała na nią kojąco. Pauline nie odrywała wzroku od rozkładu egzaminów. Nie chciała brać udziału w całej tej ceremonii inicjacyjnej. Uważała, że Kitty wygląda jak posłuszne dziecko przed przyjęciem i mimo iż wruszało ją, że przyjaciółka z taką nadzieją oczekuje na wszystko, co ma się zdarzyć, odrzucała myśl o tym, że sama mogłaby być odpowiedzialna za udzielanie jej jakiegoś nadzwyczajnego psychicznego wsparcia. Miała dosyć takich rzeczy w przeszłości.

— W porządku — powiedziała w końcu, szorując sobie twarz puszką do pudru. — Miejmy *to* wreszcie za sobą. To znaczy to przyjęcie Redmile'a. Reszta to historia, a ja nie biorę za nią odpowiedzialności. Chodź, Kitty, naprzód, patrz przytomnie. Masz bardzo ładną sukienkę. Jesteś pewna, że wiesz, o co w tym wszystkim chodzi? Bo wyglądasz, jakbyś śniła.

Kitty odchrząknęła.

— Jestem gotowa — odparła.

— Aaa, panna Maule — zawołał profesor Redmile. _ i doktor Bentley. Jakże mi miło. Proszę, proszę, wejdźcie panie.

Sprawdzał się w tej roli — musiały to przyznać. Udawało mu się utrzymywać atmosferę nieustającego radosnego ożywienia — aż do wyjścia ostatniego gościa. Bywał na tylu przyjęciach, że nie musiał się prawie wcale zastanawiać, co mówić. Wiedział, że wszelkie uwagi mające jakiegokolwiek znaczenie są przy takich okazjach nie na miejscu, zwłaszcza że człowiek nie był w stanie usłyszeć odpowiedzi, jeżeli ta ostatnia została w ogóle udzielona. Na przyjęciu było sporo ludzi. Kitty zauważyła profesora języka

hiszpańskiego i profesora języka niemieckiego, i ponurego Rogera Fry'a z żoną, oraz różnych Przyjaciół Uniwersytetu. Maurice'a nie było. Kitty wzięła kieliszek sherry i poczuła ukłucie strachu. Nie na myśl o wykładzie — bo mając notatki była pewna, że go wygłosi, bez względu na to, jak źle się będzie czuła. Ale na myśl o tych ludziach, którzy mieli zostać jej kolegami i współpracownikami, i którzy nagle wydali jej się tacy obcy! Obcy był i Redmile powtarzający swój zwykły zaśpiew: „Doskonale! Wspaniale! Wspaniale!”, i jego niezadowolona sekretarka Jennifer krążąca ze standardową butelką sherry, i Roger Fry z twarzą zbyt szybko czerwieniejącą, i jego żona opychająca się orzeszkami ziemnymi. Obce wydawały jej się też wysokie głosy hałaśliwych Przyjaciółek, z których żadna nie wiedziała, kim jest Kitty i jaką gra tu rolę. I te ich okropne ubrania, pomyślała Kitty. Trzymała się blisko Pauline, nie chcąc wypływać na to obce morze, dopóki nie zostanie ono oswojone dzięki obecności Maurice'a. Kiedy pojawi się Maurice, ona, Kitty, zacznie odżywać.

Podszedł do nich profesor Redmile, przeczesując sobie palcami rzadkie lecz długie włosy.

— Będzie pani miała wspaniałą publiczność, panno Maule. Nie jest pani zdenerwowana, mam nadzieję?

Kitty nagle uświadomiła sobie, że jest zdenerwowana.

— Odczuję ulgę, kiedy będzie po wszystkim — uśmiechnęła się.

— Oczywiście, oczywiście. Żeby poczuła się pani lepiej, powiem że potem nastąpi coś dobrego. Oczywiście, teraz jeszcze nie mogę zdradzić niczego więcej. Ale myślę, że może pani czuć się pewnie. Aaa, jest Maurice. Zaczynałem już myśleć, że coś go zatrzymało.

Maurice, nie wiadomo dlaczego ubrany w smoking i niezwykle przystojny, pozdrowił kilka osób. Wszystkie te osoby, w chwili gdy się pojawił, pospieszyły w jego stronę, opuszczając swoich rozmówców i małżonków i przerywając rozmowy. Kitty, z twarzą promieniejącą wskutek doznanej ulgi, zignorowała ostrzegawcze spojrzenie Pauline i zrobiła ruch wskazujący na to, że chce podejść do Maurice'a. Ale on, uśmiechając się co prawda do niej, uciekł w inną stronę i Kitty została na środku. Stała tam, patrząc wyczekująco — nieco przerażona. Dlaczego jest tak uroczyście ubrany? Dokąd idzie? Dlaczego ona nic o tym nie wie? Uświadomiła sobie, jak mało wie o jego życiu i ta myśl była teraz dla niej czymś zdecydowanie niepożądanym, bo Kitty tak ogromnie pragnęła czuć się pewnie, tak bardzo chciała cieszyć się niczym nie zmaconą nadzieją.

Pauline spojrzała na nią i powiedziała dość pospiesznie:

— Wydaje mi się, Kitty, że powinnaś coś zrobić w sprawie Lartera. On chyba cię polubił.

— Ale on jest dobrym studentem — odrzekła Kitty.

— On najwyraźniej rozrabia w mieście. Mówiąc „w mieście”, mam na myśli fabrykę rowerów i tę okropną kawiarnię koło stacji, do której chodzą

, kierowcy dalekobieżnych ciężarówek. Może byś z nim porozmawiała? Bo nas nie będzie chciał słuchać. Uważa nas za emerytów, którzy nie mają pojęcia, co to radość seksu. Co zresztą w niektórych wypadkach jest prawdą — dodała po chwili.

— Naprawdę, nie sądzę, że mogłabym... — zaczęła Kitty, ale w tej chwili podszedł do niej profesor Redmile, z powodu upału bardziej jowialny niż zwykle.

— Kiedy pani będzie gotowa, panno Maule, przedstawię panią bardzo krótko — powiedział. — Powodzenia. To dla niej nie lada przejście — dodał,

nie zmieniając tonu i zwracając się do Przyjaciela Uniwersytetu stojącego na lewo od niego.

Pauline tymczasem dotknęła ramienia Kitty i kiwnęła głową, wskazując nią w stronę drzwi. Ale przecież, pomyślała Kitty rozdrażniona, ja nie jestem głucha. Potrafię sobie poradzić. Właściwie trochę mnie to wszystko nudzi. Chciałabym, żeby po wykładzie ktoś mnie zabrał na kolację, tak żebym nie musiała wracać prosto do domu, w którym będzie czekała Caroline.

— Cześć, Maurice — zagadnęła z udawaną nie-dbałością. — Pewnie nie pójdziesz na wykład? Zanudziłbyś się na śmierć.

Maurice uśmiechnął się do niej tak, jakby znał wszystkie myśli, które przyszły jej do głowy od chwili gdy pojawił się w tym pokoju.

— Oczywiście, że pójde. Dobry wieczór, Pauline.

— Dobry wieczór — odpowiedziała Pauline, zaciskając dłoń na ramieniu Kitty i ponaglając ją, żeby szła naprzód.

Kitty poczuła, że ogarnia ją panika. Nie jestem na to gotowa, pomyślała. Nie będzie to takie łatwe jak przypuszczałam. Jej wzrok pobiegł w stronę Maurice'a, którego zatrzymała jedna z Przyjaciółek. Maurice mrugnął do niej ponad głową Przyjaciółki, a ona poczuła się znowu dobrze.

Podczas przemówienia profesora Redmile'a, który wygłaszał coś, co sam nazywał kilkoma uwagami przedstawiającymi referentkę i co jakimś dziwnym trafem zawierało dość szczegółowy opis planów budowy Nowego Gmachu, Kitty była spokojna. Sprawiała wrażenie, że słucha tego, co mówi profesor Redmile, chociaż przez cały czas miała przed oczami dłoń siedzącego w pierwszym rzędzie Rogera Fry'a przyciśniętą do skroni. Przerażało ją to, że widzi i rozpoznaje tyle osób. Wiele z nich, wiedziała to z doświadczenia, zaczynało już drzemać, a jej albo

uda się wyrwać ich z tego stanu, albo nie. Maurice na szczęście siedział przy drzwiach i Kitty wiedziała, że dzięki temu będzie mogła od czasu do czasu spojrzeć na niego niepostrzeżenie. Poczwała, że ten wykład jest profesjonalnym wyzwaniem, któremu ona, Kitty Maule, musi koniecznie sprostać. Sala była zaskakująco pełna. Znajdowali się w niej nie tylko studenci romanistyki, ale także różni ciekawscy, którzy traktowali takie wieczorne wykłady jak walki byków lub gladiatorów — chodzili na nie po to, żeby zobaczyć czy główny aktor zostanie zraniony. Panował zabójczy upał. Kiedy profesor Redmile zdawał się dochodzić do korzystnego dla siebie wniosku, Kitty wyprostowała się, rozluźniła zaciśnięte dłonie i odchrząknęła. Pozwoliła sobie jeszcze raz spojrzeć na Maurice'a, a potem jej wzrok padł na Lartera podnoszącego kciuk i bez skrzepowania dodającego jej odwagi szerokim uśmiechem. Kitty też się uśmiechnęła i kiedy profesor Redmile przy wtórze cichych oklasków odwrócił się do niej, poczuła się pewnie.

— Szanowni państwo — zaczęła swoim czystym głosem — chciałabym, jeśli państwo pozwolą, przeanalizować pewne aspekty tradycji romantycznej, tradycji, która i dzisiaj ma na nas wpływ, chociaż my być może nie jesteśmy tego świadomi. Mimo iż wydaje nam się, że wiemy, kim jest romantyk, sami romantycy nie zawsze to wiedzieli. Po sali przeszedł cichym pomrukiem śmiech i wykład się rozpoczął.

XV

W nieopisanym upale i w jasnym świetle wczesnego poranka Old Church Street przypominała opustoszały śródziemnomorski port. Puste, ciche, zalane słońcem chodniki były pokryte kurzem. Wychylając się z okna o siódmej rano w sobotę, Kitty Maule czuła zapach rzeki płynącej w odległości stu jardów stąd. Woda w rzece miała niski poziom i bardzo cuchnęła. Słońce wyssało z Kitty cały apetyt, a także prawie całą zdolność myślenia i Kitty nie mogła wyobrazić sobie chwili, kiedy zacznie się wieczór i przygaśnie oślepiające światło, a mały tłumek zbierze się na chodniku przed pubem po to, żeby tam stać — spokojnie, w ciepłym, mlecznym powietrzu aż do zapadnięcia zupełnych ciemności.

Ubieranie się w taką pogodę wydawało się czymś nienaturalnym i Kitty rozważała możliwość pozostania w szlafroku aż do chwili gdy będzie trzeba zacząć szykować się na wieczór. Wiedziała jednak, że tak się nie robi, a poza tym fantastyczne światło słońca wzywało ją, aby wyszła i odczuła jego siłę, tak jakby pozostawanie w zamknięciu było jakąś perwersją. W całej Anglii rozsądni ludzie siedzieli w cieniu U, których wielkie słońce upajało, ofiarowywali mu

prostodusznie swoje twarze i ciała, oczekując, że zostaną przemienieni w kogoś całkiem innego, kogoś różniącego się zdecydowanie od ich codziennego bladego ja. Nie mając własnego ogródka, Kitty była zmuszona wędrować pobliskimi wybielonymi światłem ulicami albo siedzieć na małym skwerze nad rzeką. Bała się tego miejsca, bo przywodziło jej na myśl tamte dwie kobiety — starą matkę i córkę, a także dlatego, że siadywała tam Caroline, wy-emanując z siebie niezadowolenie. Dobry nastrój Kitty miał wystarczającą moc, by dotrwać do wieczora, jednak uważała, że szkoda by było dopuścić, aby ktoś go niepotrzebnie spłoszył. Mimo to spędziła większą część przedpołudnia na skwerze.

Miała mnóstwo do przemyślenia. Znalazła się w sytuacji dla siebie niezwyklej — w sytuacji osoby mającej powodzenie i odnoszącej sukcesy. Ku swemu niezbyt wielkiemu zdziwieniu, zdała egzamin, jakim był dla niej wykład, wprost celująco. A po wykładzie wróciła samotnie do domu z dobrym samopoczuciem, niemal ze świadomością własnej wartości. Miała pewność że w przyszłym roku dostanie stałą posadę i że, co za tym idzie, skończył się dla niej okres terminowania. Przez dwa dni — dzięki tej świadomości, a także dzięki nadziei na przyjemną przyszłość — miała miłe poczucie bezpieczeństwa. Uważała, że jej przyszłość okaże się przyjemna w tym sensie, że będzie odpowiadała jej skromnym wymaganiom, że będzie stanowiła właściwy efekt jej starań o osiągnięcie pozycji, która w pewien sposób pozwoli jej zaakceptować własne nietypowe pochodzenie, gdyż pochodzenie to da jej przewagę w zakresie znajomości języka. Jej przyszłość miała być przyjemna także i w tym sensie, że ona, Kitty Maule, miała w końcu zyskać poczucie, że znalazła swoje miejsce w świecie i że jest związana z instytucją, w której jej ambicje — tak samo skromne jak jej doświadczenie — mogą się

zrealizować. To tyle, jeżeli chodzi o stronę zawodową. A jeżeli chodzi o silniejsze uczucia i większe radości, to miała zamiar zaufać wydarzeniom, które staną się następstwem uroczystej kolacji Maurice'a (będącej też jej własną). Po raz pierwszy w życiu miała nie zakłóconą niczym wiarę, że przyszłość okaże się dobra.

Park był pusty. Wzdłuż Embankment, w skrzącym powietrzu, dudniły ciężarówki. Słońce grzało tak mocno, że Kitty prawie nie mogła czytać. W porze lunchu do parku przyszło kilku mężczyzn. Przyniesli ze sobą z pubu po szklance piwa, rozluźnili krawaty, a potem pozdejmowali koszule. Kitty wstała, oślepiona słońcem, zdając sobie sprawę, że powinna pójść do domu coś zjeść, i że upłynęło więcej czasu niż przypuszczała. Pragnęła, żeby dzisiaj wszystko było racjonalne i przemyślane, chciała panować nad wszystkim — tak jak panowała w ów zdumiewający wtorek, pragnęła doskonałości. Przyniosła do domu chleb, ser i dwie brzoskwinie, po czym zrobiła sobie mocną kawę, nie wiedząc, co począć z resztą popołudnia. Panowała cisza, więc doszła do wniosku, że Carohne nie ma w domu, chociaż było dla niej oczywiste, że pogoda zdecydowanie musiała ją zniechęcić do pójścia do Harrodsa.

— Co ty tam robisz, tak dzień w dzień? — zapytała kiedyś.

Caroline wyglądała tak, jakby nie wiedziała, o co jej chodzi.

— Ależ ja tam nie chodzę codziennie. Czasami chodzę do Harvey'a Nicolsa.

Wyglądało na to, że uważa tę odpowiedź za wyczerpującą. Kitty poczuła nagle, że brak jej Carohne. Z chęcią usłyszałaby dźwięki płynące z jej radia — jakąś audycję dla kobiet czy inny kojący hałas świadczący o tym, że normalne życie płynie dalej. Ta cisza naprawdę ją niepokoiła. Kitty wy-

chyliła się znowu przez okno, jakby to był sposób na przywołanie Caroline, ale ulica okazała się pusta. O Boże, pomyślała, naprawdę łatwiej jest pracować. Nie jestem stworzona do bezczynności. Ale zaraz odsunęła od siebie tę heretycką myśl, której miejsce zajęło lekkie znużenie, rozdrażnienie i pragnienie popisania się przed państwem Redmile i całą resztą. Poczowała się tak, jakby w jej zasięgu pojawiła się nagle konkretna strategia, którą można było teraz zastosować. Ta strategia miała prowadzić do umocnienia jej pozycji przez pokazanie tego, co dotychczas było starannie ukrywane. Naprawdę nie ma potrzeby dłużej tego ukrywać, stwierdziła. Ukrywając to dalej, stracę twarz, a nie na odwrót. Oto paradoks.

Nalała sobie resztkę kawy i z zadowoleniem pomyślała, że jej salonik znajduje się w cieniu, a słońce świeci w okna naprzeciwko. Pomyślała też, że może rozsądnie byłoby trochę odpocząć, chociaż niecierpliwe oczekiwanie i pewność tryumfu wprawiły ją już w stan napięcia. To, co teraz przeżywała, różniło się od niewinnej przyjemności, z jaką dotychczas oczekiwała zawsze na przyjęcie. Jej odczucia były teraz bardziej skomplikowane. Towarzyszyło im bowiem pragnienie zdecydowanego zaznaczenia własnego istnienia — przeżycia czegoś podobnego do tego, co miało miejsce w tamten upalny wieczór w zatłoczonej sali wykładowej. Postawiła filiżankę na stoliku przy łóżku, zdjęła sukienkę i położyła się, zadowolona, że naokoło panuje cisza. Leniwym ruchem wyciągnęła rękę w stronę książek leżących obok filiżanki — w stronę historii architektury gotyckiej, *Adolfa* i Biblii należącej niegdyś do Marie-Thérèse. Nagle te książki wydały jej się pozbawione zalet. Dopomogły mi osiągnąć cel, pomyślała z uśmiechem, nie będę już ich potrzebowała. Dziękuję wam, dodała uprzejmie. Musiała zasnąć, bo jej następną jasną myślą było

pytanie: „Która jest godzina?” Kiedy oprzytomniała, ogarnęło ją nieoczekiwane uczucie żalu, tak jakby uświadomiła sobie, że mogła wykorzystać ten dzień jakoś bardziej sensownie — zamiast poświęcać go całkowicie na rzecz wieczoru. Strapiona usiadła na łóżku, mając nadzieję, że nie wpadnie w panikę podobną do tej, która ją czasami ogarniała — nagle i bez ostrzeżenia. Uprzytomniała sobie, że się martwi, czy w tym upale będzie mogła jeść i już sama myśl

o jedzeniu przyniosła ze sobą echo tamtego strasznego okrzyku: „Marie-Therese! Marie-Therese!” Było to źródło wszystkich jej nieszczęść. Ale to już minęło, zapewniła sama siebie, zmagając się z rozpaczą. Ta panika to rzecz całkiem nieracjonalna, spowodowana złym samopoczuciem i niskim poziomem cukru we krwi. Zrób sobie herbatę, a po herbacie wyjdź i kup wieczorną gazetę. Postąpiła zgodnie z własną radą, jakby to była rada jakiejś innej osoby, ale zauważyła, że jej dłoń trzymająca filiżankę lekko drży.

Na ulicy poczuła się lepiej. Ubrany w kombinezon właściciel sklepu z warzywami miał na plecach plamy potu, nie takie już małe dzieci, zgarbione w wózkach spacerowych, trzymały palce w buzi, jakby chciały powrócić do stanu niemowlęstwa. W tym upale, który bił z chodników i rozchodził się falami od przejeżdżających autobusów, rozmowa z obcymi wydawała się rzeczą łatwiejszą niż zwykle. Kitty złapała się na tym, że sprawdza, która jest godzina, jakby stale obliczała, kiedy najlepiej pójść do domu

1 zacząć się szykować. Nie chciało jej się wracać, chwilowo wolała pozostać na tej rozgorączkowanej, męczącej ulicy, wmieszać się między zwykłych ludzi i nie wyróżniać się spośród nich jako ta, którą wkrótce czeka wielki egzamin czy też wielki tryumf. Zapragnęła móc wrócić do zwykłego domu po zwykłym dniu zwykłej pracy, usiąść w ogrodzie na leżaku i zjeść posiłek, nie musząc martwić się o jego

przygotowanie, popatrzeć jak światło blednie i gaśnie, a potem wejść do wnętrza i położyć się w skromnym łóżku, mieć przed sobą perspektywę nocnego snu i kolejnego dnia — takiego samego jak ten, który się właśnie skończył. Ale moje życie nie będzie takie, pomyślała. Wygląda na to, że wszystko będzie trudniejsze niż przypuszczałam.

Kiedy weszła do mieszkania, usłyszała, że przez radio nadają właśnie wiadomości. Ulga, jaką odczuła zdając sobie sprawę, że Caroline jest w domu, wyparła na margines jej świadomości nękające ją poprzednio myśli. Kitty zadzwoniła do drzwi Caroline, co było rzeczą prawie bez precedensu. Caroline ukazała się w drzwiach. Miała na sobie należący kiedyś do jej męża stary jedwabny szlafrok w pais-leyowski wzorek, a jej oczy były zapuchnięte.

— Dobrze się czujesz? — zapytała ją Kitty.

— Prawdę mówiąc, niezbyt — odrzekła Caroline, - Chciałam właśnie wziąć parę aspiryn i pojsc do łóżka. Masz coś do czytania, Kitty?

Kitty znalazła kilka książek w miękkich okładkach i ostami numer *Vogue'a*, który miała zamiar nazajutrz zanieść babce.

— Potrzebujesz czegoś? — zapytała. — Ja później wychodzę, więc zastanów się teraz.

— Ach tak — powiedziała Caroline, ziewając i klepiąc się dłonią po ustach. - Ta kolacja u twojego ukochanego. Nie, nie chcę niczego. Dziękuję. Musisz mi później wszystko opowiedzieć. Mam nadzieję, że jutro będę się czuła dobrze. I dzięki za *Vogue*.

To mówiąc, zrobiła taki ruch jakby chciała zamknąć drzwi, ale Kitty, ogarnięta zabobonnym lękiem, wyciągnęła rękę i powiedziała:

— Życz mi szczęścia!

— Ależ Kitty, nie potrzebujesz tego, idąc na kolację! Pomyśl tylko o mnie. O tym, jak tu leżę. To powinno poprawić twoje samopoczucie.

I drzwi się zamknęły.

Nie wyglądała dobrze, stwierdziła w duchu Kitty. Jeżeli naprawdę zanosi się na to, że się rozchoruje, to powinnam zostać w domu. Spojrzała na zegarek. Było wpół do szóstej, a ona miała zjawić się u Maurice'a o wpół do ósmej. Poczuję się lepiej po kąpieli, pomyślała. Powinnam już chyba zacząć się szykować, bo w ostatniej chwili wszystko może się zdarzyć. Siedząc w wannie, próbowała odpędzić od siebie myśl o tym, że Caroline nie życzyła jej szczęścia. Ale czy nie odpędzała od siebie przez całe życie wszystkich znaków i złowrogich zapowiedzi, wszystkich uświęconych czy nie uświęconych wróżb? Pomyślała, że tylko osoba bezwstydnie przesadna poszukuje podobnych potwierdzeń przyszłych zdarzeń, ale, rzecz dziwna, ta świadomość, zamiast zmniejszyć jej lęk, zintensyfikowała go tylko. Wątpiła czy kiedyś jeszcze zdobędzie się na to, żeby wejść do kościoła, gdyż czuła się bardziej niż kiedykolwiek wykluczona, a fakt, że wszystko, o co prosiła, mniej więcej się spełniło, nie przyczyniał się w żaden sposób do zmniejszenia owej ostrożności, która zawsze istniała w jej relacjach z niewiadomym. Wzruszyła niecierpliwie ramionami. Jestem jak ci okropni ludzie, którzy po wygraniu dużej sumy w totalizatora sportowego przysięgają, że nie zmieni to ich życia. Nie zasługuję na swoje szczęście. I muszę już zacząć działać — jest za dziesięć szósta.

Kiedy była już ubrana, poczuła, że jest spokojniejsza, jakby bardziej dojrzała, bardziej opanowana. Taksówkę zamówiła poprzedniego wieczoru w miejscowej firmie, więc teraz nie miała już nic do roboty. Pozostawało jej tylko czekać. Usiadła przy oknie, tak jak niegdyś przewidywała, i spróbowała odzyskać zapał i poczucie, że właśnie ma przed sobą największą

szansę, spróbowała na krótką chwilę wskrzesić ten realizm, który powinien był zastąpić, e, naiwne podekscytowanie. Przykro mi, pomyślała i pram wymówiła następujące słowa: powinnam bardziej) się cieszyć, powinnam stać się bardziej, warta Maunce a, dorosnąć do jego poziomu. Wygląda jednak na to, że nigdy do niego nie dorosnę. Zastanawiam się tylko dlaczego. Próbowała przywołać obraz Maunce a, ale pod jego nieobecność było to takie trudne. Nie wiadomo z jakiego powodu, nigdy nie udało jej się wyobrazić sobie jego twarzy. Nie miała jego fotografii, a w świadomości nosiła tylko jakiś kontur, jakąś sylwetkę, jakby widzianą na tle słońca, a także — przypominające jej się czasem mimo woli — obrazy ucha, dłoni i nieprzystępnego uśmiechu. Po raz kolejny zastanowiła się, dokąd on się wtedy wybierał, ubrany w smoking. Może jego matka wydawała uroczystą kolację, a on się wyrwał na wykład i zaraz potem wrócił na przyjęcie? Bod&ce Maurice'a byli właścicielami domu na Ebury Street, w którym miał dość duże własne mieszkanie w suterenie. Tak, to musiało być jakieś spotkanie rodzinne, domyślała się Kitty, urządzone przed wyjazdem rodziców do Gloucestershire. Zamyśliła się. Znajdowała się tak daleko od podobnych przyjęć, jak jej babka od Glyndebourne. A jednak Louise zawsze wiedziała, co wypada, a co nie. Nie istniał więc powód, dla którego ona, Kitty, nie miałyby też tego wiedzieć.

Jeszcze jedno, ostatnie spojrzenie w ustro. Wyglądała dobrze albo raczej najlepiej jak ty ko potrafiła. Była odpowiednio ubrana. Wyglądała tak, jak wypadało wyglądać przy takiej okazji. Usłyszała, że ulicą jedzie taksówka i że ta taksówka zwalnia, a potem się zatrzymuje. Wychyliła się przez okno i dała znak kierowcy, że schodzi. Kiedy zamykała drzwi, pojawiła się Caroline z chusteczką przyciśniętą do nosa.

— I pomyśleć, że w taki upał złapałam katar — powiedziała niewyraźnie. Wyglądała starszej niż zwykle, była prawie brzydka.

— Powodzenia, Kitty. Wyglądasz bardzo ładnie. Pewnie się nie zobaczymy, kiedy wrócisz. Ale może byś wpadła jutro.

— Czy mi się powiedzie? — zapytała Kitty.

— Oczywiście. Co się z tobą dzieje? Ale wiesz, ja wolę tę sukienkę z moimi łańcuszkami — dodała.

Było to błogosławieństwo z zastrzeżeniami, ale musiało wystarczyć.

— Dobry wieczór pani — powiedział taksówkarz. O Boże, pomyślała Kitty przerażona, gdyż był to absolwent Haileybury College, który czasami ją woził, zawsze gubił drogę i bez przerwy mówił, bez przerwy opowiadał jej przez ramię o czasach, kiedy miał farmę w Zambii. — Widzę, że dzisiaj jest jakaś wielka okazja?

— Dobry wieczór — odrzekła Kitty.

Było dość wcześnie i jeszcze w domu przyszło jej do głowy, że mogłaby poprosić taksówkarza, żeby pojechał okrężną drogą, ale teraz, zorientowawszy się z kim ma do czynienia, chciała jak najprędzej się z nim rozstać. Postanowiła, że kiedy wysiądzie, przejdzie się kawałek i, oddychając świeżym powietrzem, postara się udawać, że jest to wieczór taki jak inne.

— Jestem zaproszona na uroczystą kolację — wyjaśniła uprzejmie. — Proszę na Ebury Street.

Taksówkarz był jak zwykle po kilku drinkach, więc w rozgrzanym wnętrzu samochodu unosił się zapach whisky.

— Chyba już niedługo przestaniemy się widywać — oświadczył. — Bo chcę znowu spróbować szczęścia w Afryce. Wie pani, mam tam jeszcze kontakty. Polityka to sztuka robienia tego, co możliwe. Wie pani, kto to powiedział?

Taksówka, szarpiąc od czasu do czasu, jechała powoli wzdłuż King's Road, a kierowca perorował na ten sam temat, co zwykle:

— Ten kraj jest skończony. Nikomu się już nie chce pracować. Eksport spadł prawie do zera. Wszędzie pełno tych cholernych cudzoziemców. Stały poziom bezrobocia. Oto czego potrzebuje ten kraj. Potrzebny tu ktoś taki jak Churchill. Albo pani Thatcher. Bo nie można radzić sobie gorzej niż ta banda. Te cholerne związki wszystko pieprzą, proszę wybaczyć tę łacinę.

Kitty wstrzymała oddech, gdy samochód śmignął obok jakiegoś rowerzysty, omal go nie przewracając.

— Zdenerwowana? — zapytał taksówkarz, starając się robić sympatyczne wrażenie. Trzymał przy tym rękę na oparciu przedniego siedzenia i odwracał się w jej stronę. — Jeśli wolno mi tak powiedzieć, wydaje się pani bardzo spięta. Ale wygląda pani ślicznie.

Kitty przełknęła ślinę. Dojeżdżali do małego trójkąta na Pimlico Road, gdzie kończyło się jej terytorium, a zaczynał teren Maurice'a. Kitty poczuła, że nagle ogarnia ją radość. Zaczęła drzeć z podniecenia.

— Proszę mnie tutaj wysadzić — powiedziała. — Chciałabym się trochę przejść.

Taksówkarz podjechał z fantazją do krawężnika, równocześnie otwierając drzwi. Kiedy zatrzymali się gwałtownie, przyjrzał się Kitty bez żenady.

— Ma pani coś przeciwko temu, że spytam, co to za okazja? — zapytał z wdziękiem podchmielonego. — Co to za wielka gala?

Kitty z ulgą wysiadła z samochodu i zaczęła wdychać ciężkie wieczorne powietrze — jak ktoś, kto znajduje się na brzegu morza.

— Proszę mi życzyć szczęścia — poprosiła, podając taksówkarzowi dwa funty.

— Ależ oczywiście, życzę go pani z całego serca — odrzekł, wciskając pieniądze do pękatego portfela. — Jeżeli już się nie spotkamy...

— Ach, rzeczywiście — przypomniała sobie Kitty. — Pan wraca do Afryki. Ja też życzę panu szczęścia.

Stała na chodniku i machała mu ręką, a on tymczasem wziął ostry zakręt i odjechał szybko w stronę Sloane Square.

Kitty obejrzała kilka wystaw sklepowych, a potem postanowiła pójść prosto do mieszkania Maurice'a i zobaczyć czy on nie potrzebuje przypadkiem pomocy. Kiedy skierowała się zdecydowanym krokiem w stronę Ebury Street, zauważyła z przerażeniem, że jest już wpół do ósmej. Poczowała, że policzki jej płoną, a serce zaczyna mocno bić. Maurice powiedział jej, żeby przyszła prosto do sutereny. Dotychczas odwiedziła go w domu tylko raz, wkrótce po tym jak się poznali — była na dużym przyjęciu, wśród wielu zaproszonych gości. Kitty cieszyła się, że odesłała taksówkę i że podchodzi do domu bez hałasu. Wieczór był łagodny i jasny, a ona patrzyła z miłością na piękne, brudne miasto. Wkrótce znajdzie się tam, gdzie zawsze chciałam być, pomyślała, w jego domu. Ale muszę podejść do tego rozsądnie. Będę tu przecież naprawdę wyjątkowym gościem.

Usłyszała, że ktoś ją woła, obejrzała się i zobaczyła ze zdziwieniem Johna Lartera w bardzo obcisłym tabaczkowym welwetowym garniturze.

— John! — krzyknęła. — Co za niespodzianka. Skąd pan się tu wziął? To znaczy, skąd się pan wziął w Londynie? — dodała pośpiesznie.

— Co za szczęście, że panią spotykam — uśmiechnął się szeroko Larter.

— Zdaje mi się, że mam, jak to się mówi, „towarzyszyć pani”.

Zastanawiałem się, czy powinienem wpaść do pani mieszkania, czy może powinniśmy się spotkać gdzieś tutaj.

— Towarzyszyć mi? — zapytała Kitty.

Tak, dano mi do zrozumienia, że jesteśmy

jakby parą. Chyba że źle coś zrozumiałem. Profesor Bishop kazał mi się panią opiekować. Może zresztą wszyscy powinniśmy to robić.

Roześmiał się i przeciągnął sobie dłonią po rozczochranych włosach.

— To miło z pana strony, John — odrzekła Kitty i pomyślała: „Jak to miło ze strony Maurice'a. On naprawdę chce, żeby to był mój wieczór”. Kiedy podeszli do drzwi suterenu, usłyszeli podniesione głosy. A kiedy zadzwonili, drzwi otworzyły się gwałtownie i ukazał się w nich w całej okazałości profesor Redmile. Lady Redmile siedziała na sofie, kiwając głową i uśmiechając się, a Roger Fry i jego żona, najwyraźniej sprzecząc się o coś, stali ze wzrokiem utkwionym w kieliszki. Maurice'a nie było. Kitty odetchnęła głęboko i pozdrowiła wszystkich, patrząc z zachwytem na znajome ciemnoczerwone ściany. Nic się tutaj nie zmieniło. Mieszkanie było urządzone w sposób wskazujący na to, że jego właściciel jest zamożniejszy niż zwykle bywają profesorowie uniwersytetu. W tym otoczeniu państwo Redmile'owie aż rozpływali się, świecąc odbitym światłem, podczas gdy Roger Fry i jego żona zdawali się pozostawać w permanentnej opozycji. Profesor Redmile był tak zachwycony tym, co go otacza, że zachowywał się jak ktoś, kto jest u siebie. Nalał Kitty sherry i podniósł swój kieliszek.

— Musimy coś uczcić — oświadczył. — Tak, musimy uczcić dwie rzeczy. A może trzy — poprawił się. — Ale o tym nie mogę nic powiedzieć, dopóki nie przyjdzie Maurice.

— A gdzie jest Maurice? — zapytała Kitty.

— Och, chyba w kuchni ze swoją pomocnicą — odpowiedział profesor Redmile. — Uroczy jak zwykle. Prosił mnie, żebym przejął dowodzenie. No więc — mówił dalej, nalewając sherry do kieliszków i marszcząc lekko brwi na widok Lartera podsuwa-

jącego swój — musimy, jak mówiłem, uczcić dwie rzeczy. Jedną jest to, że panna Maule została zaangażowana do nas do pracy. — Podniósł znowu kieliszek. — A drugą — tu przybrał ton jeszcze bardziej liryczny — jest przyjęte przez nas z żalem, naprawdę z wielkim żalem, przeniesienie się Mau-ric'e'a do Oksfordu. Tak — podniósł rękę, żeby uciszyć pomruk zdumienia. — Tak. Oczywiście przykro mi z tego powodu. Ale jaki to zaszczyt dla naszego uniwersytetu i jaki szczęśliwy dzień w życiu Maurice'a.

Kitty poczuła, że robi jej się zimno. Nie powiedział mi, pomyślała. Roger Fry odchrząknął.

— Czy to oznacza, że nie będziemy mieli przyjemności usłyszenia jego wykładów o katedrach Francji? — zapytał.

Kitty zauważyła, że żona dość mocno kopnęła go w kostkę.

— Postarałem się, żeby kontynuował wieczorne wykłady tak długo, jak to będzie możliwe — uśmiechnął się profesor Redmile. — Jeżeli jednak jakieś inne zajęcia czy przyjemności — tu mrugnął — zmuszą go do wcześniejszego zakończenia cyklu, to oczywiście odniesiemy się do tego ze zrozumieniem.

— No, tak, tak, oczywiście — powiedział z zapalem Roger Fry.

Larter, zrozpaczony, wzniosł oczy do nieba, i całkiem zrezygnowawszy z zachowywania pozorów, nalał sobie kolejnego drinka.

— Może Maurice'owi trzeba pomóc — powiedziała niewyraźnie Kitty, wstając.

— Nie należy się o to martwić, moja droga — uspokoił ją profesor Redmile. — Nasz gospodarz i nasza gospodyni zapewnili mnie, że przyłączą się do nas tak prędko, jak tylko będą mogli.

W tejże chwili drzwi otworzyły się i Kitty zobaczyła w końcu Maurice'a, a z nim pannę Fairchild,

ubraną jak zwykle w bawełnianą spódnicę. Panna Fairchild niosła dużą wazę z zupą, a Maurice pomagał jej utrzymać równowagę, obejmując ją w pasie. Larter, widząc twarz Kitty, wypił szybko to, co miał w kieliszku. — Proszę bardzo, panno Maule — powiedział tubalnym głosem profesor Redmile, który niczego nie zauważył — proszę mi pozwolić poprowadzić się do stołu.

Zajęli miejsca przy stole. Maurice i panna Fairchild siedli u przeciwległych jego końców. Brakowało mi informacji, pomyślała Kitty, usiłując zapanować nad drżącymi rękami. Po prostu, brakowało mi informacji. Miała wrażenie, że znalazła się ponownie w początkowej fazie gry — gry, którą, jak sądziła, rozgrywała dotychczas zgodnie z regułami. No i była jeszcze pozostała część wieczoru — musiała przez nią przebrnąć. Profesor Redmile coraz bardziej promieniał.

— Muszę wyznać, panno Maule, że rozmawialiśmy o pani, zanim się pani pojawiła. Próbowaliśmy zgadnąć, która pani połowa pochodzi z Francji. Żona Rogera Fry'a wybuchnęła nagle piskliwym śmiechem.

— Matka Kitty była Francuzką — stwierdził Maurice. — Mam rację, prawda Kitty?

— Mój ojciec służył w wojsku — powiedziała powoli Kitty Maule. — Umarł, zanim się urodziłam.

I biorąc łyżkę, przygotowała się do jedzenia.